

dziennikarze wędrowni

lato 2013

W numerze:

Mozaika religijna Rosji

Bartosz Jastrzębski, Jędrzej Morawiecki

Fakty wiary

Maciej Skawiński

Nieco teologii

Hermann Hesse

Święta gościnność i boskość przybysza

Maria Magdalena Morawiecka

Trzecia Rzesza snów

Charlotte Beradt

Zaczarowanie

Hermann Broch

Legenda o Drogowskazie

Michael Ende

Spis treści:

Mozaika religijna Rosji	
Cerkiew, Bartosz Jastrzębski.....	3
Krasnojarsk zero, Jędrzej Morawiecki.....	9
Trawka Czyngiz-Chana, Jędrzej Morawiecki.....	18
Fakty Wiary, Maciej Skawiński.....	24
Nieco teologii, Hermann Hesse.....	29
Święta gościnność i boskość przybysza,	
Maria Magdalena Morawiecka.....	34
Matrioszka w hidżabie, Maciej Falkowski, Iwona Kaliszewska.....	38
Trzecia Rzesza snów, Charlotte Beradt.....	42
Zaczarowanie, Hermann Broch.....	47
Legenda o Drogowskazie, Michael Ende.....	52
Rzeczywista płynność, Jędrzej Morawiecki.....	61
Gostolin, Maciej Skawiński.....	62

© Dziennikarze Wędrowni, lato 2013.

Prowadzący wydanie: Jędrzej Morawiecki, Maciej Skawiński.

Zespół Dziennikarzy Wędrownych tworzą także: Bartosz Jastrzębski, Artur Kuma-
szyński, Filip Łepkowicz, Anna, Jan, Joanna, Maria Magdalena, Zuzanna Morawieccy.

Wędrowali z nami również: Krzysztof Caputa, Łukasz Dziedziński, Jolanta Krysowata,
Urszula Smerecka.

Projekt graficzny: Mieszko Budzyński, Maciej Skawiński.

Zdjęcie na pierwszej stronie: Maciej Skawiński.

Opracowanie informatyczne: Mateusz Skawiński.

Wstępniak. Reaktywacja

Powróciliśmy.

Zmieniliśmy się. Zmieniły się media.

Wędrówka się nie zmieniła.

Jesteśmy.

Dziennikarze Wędrowni 2013

Bartosz Jastrzębski

Cerkiew

Cerkiew to ambasada Wieczności, placówka dyplomatyczna w kraju ogarniętym przez Ciemność. Jeśli na zewnątrz jest czas, w środku musi panować zatrzymanie, odwrócenie plecami do przepływu dziejów. Każda zmiana będzie korupcją, odpadaniem od przedwiecznego wzoru. Zachód wypracował ideę: „łaska nie niszczy Natury”. Tu wydaje się panować inny pogląd: łaska wymiata Naturę jak zeschnięte liście, jak śmieci, jak pogrobowe szczątki. To bowiem, co zwiemy Naturą, jest stężalym w złowieszcze kształty Upadkiem.

ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

Dachy krasnojarskich cerkwi są błękitne lub jasnozielone. Z lekka jedynie zaokrąglone lub proste, spadziste, w niczym nie przypominają wschodnich, cebulastych, bogato zdobionych kopuł najbardziej znanych świątyń moskiewskich, nasuwających nieodparte skojarzenia z pałacami orientalnych lub bajkowych zgoła władców z baśni tysiąca i jednej nocy. Być może to dlatego że Orient jest za blisko, niemal tuż za miedzą, i architekci oraz wierni nie czuli potrzeby go przywoływać. Budowle te należą do nielicznych starszych obiektów w centrum miasta. Otoczone przez stalinówki i chruszczówki, bądź nadużyte biurowce z lat siedemdziesiątych sprawiają wrażenie jakby wpadły tu z innej zupełnie opowieści. W pewnym sensie może tak właśnie powinno być, może to najwłaściwsze wrażenie w związku z nimi. Wszak cerkiew, czy szerzej nawet, całe prawosławie, w stopniu nieporównywalnym z katolicyzmem czy ruchami protestanckimi, od świata się odwraca. Akosmiczność i ahistoryczność są spadkiem po bizantyjskim przodku – czujemy je tak samo wyraźnie w rosyjskim chramie, jak i we wtórnie zislamizowanym, a potem religijnie wypatroszonym, lecz wciąż monumentalnym wnętrzu stambulskiej Hagii Sophii bądź w małych, zagubionych w górach cerkiewkach Serbii i Bułgarii. Chrześcijaństwo wschodnie wpatrzone jest w boskość przeświecającą przez ikonę; to ikona jest jej realną obecnością, oknem, przez które Świętość zagląda do ponurej izby upadłego świata. Jeśli prawosławie przepatruje byt, to tylko w poszukiwaniu boskich energii, które Grzegorz Palamas, w sporze z okcydentalistą Baarlamem z Kalabrii, odróżnił od Bożej istoty, i twierdził, że w ich świetle może już tu, na ziemi, chodzić człowiek. Theosis, przeobóstwienie, uchrystosowanie wręcz, jak powiada Evdokimov, to wielki temat teologii prawosławnej, to proces, w którym wierny już za życia „przeprowadza się” do innej przestrzeni metafizycznej i eschatologicznej. Nawet jego ciało zostaje przekształcone w ciało subtelne, ciało świetlne, ciało chwały. Jest w świecie, ale już nie z tego świata. Bo ten świat jest nie do uratowania, nie do poprawienia, nie możliwy do zreformowania, jedyne co może zrobić – to przeminać, zniknąć, spłonąć w blasku boskich energii.

Nie miłujcie świata

ani tego, co jest na świecie.

Jeśli kto miłuje świat

nie ma w nim miłości Ojca.

Wszystko bowiem, co jest na świecie, a więc:

pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha tego życia

nie pochodzi od Ojca lecz od świata.

Świat zaś przemija a z nim jego pożądliwość;

(1 J 2,15-17)

Z tych słów św. Jana prawosławie wyciąga jak najdalej idące wnioski – a może po prostu pojmuje je zupełnie dosłownie. Świat to kosmiczna pułapka, w którą wpadły, w którą zostały wciągnięte okruszyny boskiej substancji, boskiej poświaty. Ludzie to cząsteczki zrujnowanego Bożego projektu, drobinki wirujące w ciemnościach, zdolne jednak odbijać w sobie Przedwieczne Światło. Jak płatki złota na dnie wyschłej studni reflektują migotliwie odległą, słabą już lunarną lunę. Kraina, w którą wpadły jest skażona, mroczna i zimna. Ontologiczna skaza bytu sięga samych jego trzewi, samych posad i fundamentów. Naprawić go nie można inaczej niż mocą Bożego podmuchu, huraganu z samej Wieczności, który władny jest uczynić wszystko nowe, powlec suche kości żywym ciałem. W świecie zaś jest cierpienie, cierpienie wypełnia wszystko, cierpienie jest materią, z której zbudowano to ponure gmaszysko. Tylko przemieniony Światłem wgląd jest w stanie dojrzeć pod tą trupią skorupą słabe, stłamszone Życie. Życie to drży niespokojnie, wyrывa się, trzepocze – płochliwe, błyszczące, delikatne. „Rozłupcie drzewo, ja tam jestem. Podnieście kamień, a znajdziecie mnie tam...”¹ - powiada Życie. Szuka czego, by się tu ucześcić, a nie zatracić zupełnie, szuka innego życia lub samego siebie, jakichś ścieżek w popiele, w pylnym, szarym krajobrazie... Pobrzmiewa wyraźnie na Wschodzie zafascynowany orfizmem Platon i bliskowschodni gnostycyzm - koncepcje, które wsączyły się i wtopiły w grecką teologię, dostały się do jej głębokiego krwiobiegu, mimo heroicznego sprzeciwu Ojców. Usłyszeć też możemy daleki pogłos buddyjskich czterech szlachetnych prawd. Cerkiew jako świątynia to ambasada Wieczności, placówka dyploma-

1 Teksty z Nag – Hammadi, przeł. W. Myszor, ATK, Warszawa 1979, s. 221.

tyczna w kraju ogarniętym przez Ciemność. Ambasady w takich okolicznościach służą jak wiadomo jednemu przede wszystkim celowi – ucieczce, przez ambasady się ucieka do lepszych światów. I w żaden sposób nie mogą one fraternizować się z wrogim otoczeniem. Nie powinny ani służyć, ani upodabniać się do tego, co na zewnątrz. Jeśli na zewnątrz jest czas, w środku musi panować bezczas, zatrzymanie, odwrócenie plecami do przepływu dziejów. Każda zmiana będzie korupcją, odpadaniem od przedwiecznego wzoru, fatalnym w skutkach przekształcaniem magicznej formuły uzdrawiania. Zachód wypracował ideę: „Łaska nie niszczy Natury”. Tu wydaje się panować inny pogląd: Łaska wymiata Naturę jak zeszcłe liście, jak śmieci, jak pogrobowe szczątki. To bowiem, co zwiemy Naturą, jest stężalym w złowieszcze kształty Upadkiem. Gnijący, przeżarty robakami rozkładu, niemożliwy ani do strawienia, ani do wydalenia owoc, zalegający się w trzewiach zatrutego kosmicznego Adama. Prawdziwą i jedyną religią Słowian był i pozostał gnostycyzm. W prawosławiu, choć nigdy się ono do tego nie przyzna, pod płaszczem teologicznych, ortodoksyjnych formuł bije czarne, spłoszone, nieme serce gnostycyzmu. I to nie zarzut - to pochwała. A dotyczy to nie tylko prawosławia, spójrzmy w co wierzyli ojcowie naszego narodu, najwięksi spośród polskich poetów... W każdym razie kryptognostycki charakter rosyjskiej formacji duchowej nie uszedł uwagi polskiego międzywojennego historyka filozofii Bogumiła Jasinowskiego. W jego pracy *Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja* jest to jedna z naczelných, szeroko uzasadnianých tez. Powiada on tam: „Sądzymy, że udało się nam w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości ustalić dwie tezy zasadnicze. Pierwsza: filozofia i literatura rosyjska przepojone są – i to z tej właśnie strony, w której zdawała się tkwić największa ich oryginalność – pierwiastkiem gnostycko-manichejskim; druga: bujnie rozplenione sekciarstwo, z natury swej odznaczające się bardziej indywidualnym wśród mas rosyjskich ujmowaniem życia religijnego, jest w niemałej mierze realizacją już nam znanych tendencji gnostycko-manichejskich”². A w innym miejscu dodaje: „Gnostyckie akcenty w literaturze (zwłaszcza Dostojewskiego i Mereżkowskiego) i filozofii rosyjskiej (zwłaszcza

2 B. Jasinowski, *Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2002, s. 221.

Sołowjow i Bierdiajew), będące podźwieniem starodawnych tradycji hellenistycznego Wschodu, są w stopniu niemalym źródłem swoistego czaru, jaki wywiera tak często twórczość duchowa rosyjska, w większej zaś mierze – źródłem niepokoju psychicznego, w jaki wprawia ona narody Europy Zachodniej. [...] Europa bowiem dawno już zapomniała o gnostycyzmie, Rosja zaś wieczyście weń pogrążona, nie zdążyła go jeszcze utracić, by móc go sobie przypomnieć³. Prócz negatywnej oceny świata materialnego do wątków typowo gnostyckich, a powszechnych w prawosławiu, Jasinowski zalicza również ideę „oczyszczenia przez zło”, czyli zbawcze przejście przez mrok, upodlenie, całkowity duchowy upadek, polegający na zażyciu każdego niemal grzechu. Nurzanie się w nim ma wytworzyć mękę moralną, nieznośny i nieprzewycięzalny ludzkimi siłami konflikt wewnętrzny, rozrywającą zwiotczałe stany umysłu różnicę potencjałów, Wojnę Światów, Ukrzyżowanie. Nie do pomyślenia jest chrześcijaństwo bez bezmiernego poczucia grzeszności, bez głębokiej, wstrząsającej świadomości własnego nieuleczalnego zła. Ten kosmiczny niepokój i trwoga zapobiec mają jakimkolwiek formom samozadowolenia, które jest końcem chrześcijańskiego życia. Mają przeciwdziałać tym samym „zasiedzeniu” w świecie, uwiciu sobie tutaj zacisznego, przyjemnego gniazda, w tej realności, która jest dziełem Zła. Tylko w absolutnym Mroku absolutnie lśni Światło. Chrześcijaństwo to gnoza, św. Augustyn, młody Luter, Pascal, janseniści, i Mauriac, i Simone Weil może z nowszych czasów... W istocie, moralny antynomizm to stary gnostycki motyw. Gnostycy chrześcijańscy w takim właśnie duchu interpretowali tajemniczy logion Chrystusa: „Zaprawdę powiadam Ci: nie wyjdiesz stamtąd, aż zwrócisz ostatni grosz” (Mt 5,26). Stamtąd, czyli ze świata. Zwrócić ostatni grosz – to oddać cesarzowi, co cesarskie, a wszak Panem tego świata jest Zły. Oddaj więc Diabłu, co diabelskie w tobie samym, nim opuścisz ten świat, zażyj wszelkiego jego brudu, by cię tęsknota za tym, co ciemne nie zawróciła z Niebieskiej drogi. Ceną za wolność jest skosztowanie tego wszystkiego, co da ci do pożywania Legion. Jeśli wytrwasz i nie zgnijesz w środku, nie umrzesz – jesteś wolny. Nie wcześniej. Droga ku Bóstwu nie polega bowiem na świętoszkowatej

3 Ibid., s. 223-224.

czystości, na wiecznym uchylaniu się od pokus Cienia, na wypieraniu fermentującej w członkach lepkiej pożądlivosti. Masz wszak ciało. Ciało należy do świata, jest z tej samej co ono materii. Musisz przemierzyć od krańca do krańca tę mroczną krainę. Musisz wyniszczyć ciało na jego posępnych gościńcach, wytracić w plugawych karczmach i szkaradnych zaułkach, porzucić raz na zawsze wraz z przekonaniem o swojej dobroci i świętości. To ostatnie jest bowiem największym, najbardziej podstępny diabelstwem. Wtedy pojawi się Wieczność. Ewangelia według Filipa naucza:

Światło i ciemność, życie i śmierć, prawe i lewe są sobie braćmi; nie można oddzielić ich od siebie. Dlatego ani dobrzy nie są dobrymi, ani zli złymi ani żywi nie żyją, ani zmarli nie umierają. Dlatego każdy z nich powróci znowu do swego stanu pierwotnego. Wyniesieni zaś ponad świat są nierozzerwalni, są wieczni.⁴

Dopiero poza światem odzyskuje się substancję...

Innym gnostyckim motywem, który przeniknął głęboko do duchowego ciała prawosławia, jest tendencja do nieskończonego uwielokrotnienia postaci Chrystusowej w poszczególnych jednostkach ludzkich, co powoduje, że pozaświatowy proces zbawczy staje się wewnętrznym procesem samoprzemiany. Oto Chrystus okazuje się być pierwotną, najgłębszą naturą każdego człowieka. I znów na myśl przychodzą wersety gnostyckich pism:

Rzekł Jezus: Kto napił się z mych ust, stanie się takim jak ja. Ja sam stanę się nim i tajemnice zostaną mu objawione.⁵

Chrystus nie jest niczym zewnętrznym wobec człowieka. Jest ukrytą, subtelnie, niewidocznie działającą rzeczywistością jego myśli i uczuć. Jest stanem przemienionej percepcji, który można w sobie odsłonić, nie zaś jakimś zewnętrznym bytem. Pomniejszeniu jakby ulega tu historyczna postać Jezusa z Nazaretu. Pra-

4 Teksty z Nag – Hammadi, op. cit., s. 241.

5 Ibid., s. 225.

wosławny Chrystus jest uwewnętrzniony i ahistoryczny, osobisty i intymny, promieniuje i ogrzewa ze środka, a nie z oddali dziejów.

Wróćmy jednak do cerkwi. Paul Evdokimov w następujący sposób tłumaczy jej magnetyzm: „Jeżeli kościoły prawosławne są tak bardzo pełne światła, ciepła i jakiejś intymności, dzieje się tak dlatego, że każdy odcinek murów jest ożywiony i przedstawia niebo, stawiając człowieka wobec własnych przodków: aniołów, proroków, apostołów, męczenników i świętych. Człowiek czuje się tak, jakby rzeczywiście był w gościnie u Boga i przebywał w niebie. Dzięki ikonie, kultowi liturgicznemu czy rytuałom uczestniczącym tak naturalnie w szczegółach życia codziennego, Biblia staje się zadziwiająco żywa, niebo całkiem bliskie, prawie dotykalne. Jest to jakby rodzaj ‘teomaterializmu’, widzenia całej natury w Bogu, czyniącego wszystko dokoła przeźroczyście, pozwalającego odczuć obecność niewidzialną. Długa zażyłość z takim rodzajem obecności, wytwarza nienasycone pragnienie tego, co czyste i co absolutne⁶. Tak to ujmuje Evdokimov. Jest to rzecz jasna apologia pro domo sua, ale jego ortodoksja w istocie pełna jest autentycznego natchnienia. Trudno się z nim nie zgodzić. Wnętrze cerkwi rzeczywiście promieniuje zniewalającym, hipnotycznym prawie czarem, jest wycięte ze znoonej codzienności, przenosi w inny wymiar, zatrzymuje. Bizantyjskim swym, pradawnym tchnieniem uspokaja, gładzi natłok i napięcie myśli. Zgaszony półmrokiem blask starego złota, drgające płomyki setek świec i ich snujące się sennie warkoczyki dymu; ciemne, zbrązowiałe, patrzące wielkimi, nieruchomymi oczyma twarze ikon, ciężki, oszałamiający – lecz ciepły – zapach kadzideł. Ikonostas jak mury chwalebnej Jerozolimy, Chrystus i święci niczym forteczna załoga Wieczności, strzegąca ostatnich jej bram, strzegąca resztek Nieskończonego w naszym świecie, by nie zepsuł ich czas i jego sudy. Nie ma tu niczego współczesnego, żadnego mdłego, religijnego kiczu terażniejszości, żadnych pokłonów w kierunku dzisiejszej estetyki. Skanonizowane do granic możliwości formy artystyczne i estetyczne nie zezwalają wedrzeć się najślabszym nawet podmuchom czasu. Wszystko, co istotne – na planie czasu – wydarzyło

6 P. Evdokimov, Prawosławie, przeł. J. Klinger, PAX, Warszawa 1986, s. 307.

się przecież już dawno, święci zastygli więc w bezruchu niczym w złotym bursztynie Niezmienności. Ikony uwalniają się od swych twórców, od swych widzów, od wszelkiej estetycznej gry, od czasu i świata. „Prawosławne doświadczenie mistyczne nie sprzyja kulturze, nie tworzy piękna – tłumaczy Bierdiajew - W prawosławnym doświadczeniu mistycznym jest jakieś milczenie wobec zewnętrznego świata, brak wejścia w świat. Prawosławna energia nie przelewa się na drogi historii. Nasycenie prawosławnego doświadczenia nie dokonuje się na zewnątrz, człowiek nie napręża się i nie dąży na zewnątrz”⁷. Może właśnie dlatego jest cicho, spokojnie, wzniośle...

Do cerkwi zachodzi wielu ludzi. W różnym wieku. Wślizgują się z biegnącej wiecznie ulicy w sam środek teomaterialistycznego świata. Przy wejściu wita ich zgarbiona staruszka i upewnia się, czy są odpowiednio ubrani. Kobietom niemającym okrycia głowy podaje chusty. Osobom młodszym wskazuje na wszelki wypadek wiszącą na ścianie laminowaną instrukcję pokazującą, jak należy się żegnać, jak wykonywać pokłony, czego robić nie wolno. Większość wiernych przychodzi tylko na chwilę: przeżegnać się, pokłonić Bogu, zapalić świeczkę Świętości. Zaglądają tu ze świata swych spraw, ze skomplikowanego kosmosu (tak splątanego, że staje się niemal chaosem) codziennych uwikłań i trosk. Siedemdziesiąt lat komunizmu i ateistycznej indoktrynacji nie zgasiło duchowej potrzeby, w każdym razie nie we wszystkich. Poznać to po tym, iż widać tu ludzi ze „straconego pokolenia”, tych urodzonych po wojnie, dla których świat religii nie istniał. Nawet nie to, że był zwalczany – po prostu go już nie było, chyba że w broszurach przeklinających dawny świat zabobonu. Nie mieli okazji by nasiąknąć, choćby w najmniejszym stopniu, religią w dzieciństwie. A to przecież – zdawałoby się – jeden z kluczowych momentów życia duchowego. Te wspomnienia z dzieciństwa, zwłaszcza wczesnego, są nie do przecenienia. Umysł dziecka – wolny od wielkiej teologii, wielkiej polityki, wielkiej estetyki – jest żyzny i łakomy: chłonie obrazy, zapachy, słowa, śpiewy. Przyjmuje rytuały takimi, jakimi są, nie próbując rozświetlić ich wielopiętrowych sensów i nie-sensów. Nie próbuje

oceniać wartości obrazów czy rzeźb, nie duma nad politycznymi podtekstami kazania. Po prostu wchłania to wszystko: bezpośrednio, zmysłowo, niemal cielesnie. Szanuje porządek, którego nie pojmuje – z biegiem czasu człowiekowi przychodzi to coraz trudniej. Zresztą tak to już jakoś jest, że w życiu rytualnym i świątecznym zawsze znajdują się elementy, które dzieciom są miłe – bo są niecodzienne, niemal baśniowe. Spójrzmy: niezwykle, trochę bajkowe szaty kapłanów, dziwne gesty, których nie widuje się na ulicach, archaiczne frazy z czytania, w których pojawiają się źli królowie, dobrzy biedacy, nieczyste moce, smoki i inne nieziemskie istoty, gadające zwierzęta, cuda – magia, jak by to określiło pokolenie Harry’ego Pottera. A dodajmy do tego choinki, wigilie, święconki, pasterki, procesje. Wszystko to jakoś niezwykajne, ale w taki sposób, iż bez trudu moszczą się w tym dzieci. Bodajże to C. S. Lewis powiadał, że kto za dzieciństwa nie pokochał Biblii i nie stał się religijny, ten nie będzie w stanie zrobić tego później, nie zalepi tej dziury, nie nadrobi straconego czasu. Bez spoiwa dziecięcych przeżyć świat religii zawsze będzie spękany, chwiejny i grożący zawaleniem.

Chyba jednak się mylił, zbyt mocno rzecz wyraził. Obecność w świątyni pokolenia komuny i industrializacji świadczy o tym, że religię można spotkać w każdym momencie swojego życia. Coś się otwiera, jakieś duchowe albo neuronalne przejścia zostają odsłonięte, coś się rekonstruuje, przedstawia z bolesnym zrazu zgrzytem. Struktury umysłu, mechanizmy percepcji i przeżywania najpierw się walą, a później zmartwychwstają – ale już jako inne. Następuje konwersja, przebudowa, rekonstrukcja całej wewnętrznej prowincji. Mechanizmy semiozy gruntownie się przekształcają, wszystko razem i każda rzecz z osobna zaczyna znaczyć zupełnie co innego niż wcześniej. Świadomość religijna to taka bowiem, która na chaotycznym, semantycznym gruzowisku codzienności odnajduje istotne, transcendentne Znaki, odnajduje Mowę innej Rzeczywistości, do siebie tylko skierowaną. Interpretacje wydarzeń, oceny osób i sytuacji, widzenie samego siebie, pojmowanie swego losu i swej drogi przez życie, nawet sposoby rozumienia, skłonności intelektualne i estetyczne – wszystko się wówczas zmienia, te same elementy dają zupełnie inną

całość, bo diametralnie inny jest ich układ ...

Wróćmy jednak do cerkwi, na mszę: „Podczas liturgii przez jej moc sakralną zostajemy postawieni w punkcie, w którym wieczność krzyżuje się z czasem i w którym stajemy się rzeczywiście współcześni wypadkom biblijnym od Stworzenia aż do paruzji; przeżywamy je w sposób konkretny jak ich naoczni świadkowie. Podczas liturgii, kiedy słyszymy: ‘To jest ciało moje’, słowa samego Chrystusa brzmią spoza czasu. To nie jest ludzkie powtarzanie, lecz przez społeczność liturgiczną uczestniczymy poza czasem w tym, co trwa raz na zawsze”⁸ – powiada znów Evdokimov. Oto już nie czysto teologiczny, ale liturgiczny, praktyczny wymiar negacji nicującego wszelkie istnienie czasu. Rozpływa się on niczym mgła, jakiś nieznośny narkotyczny opar, który udawał, że jest wszystkim, że jest byciem samym, niepozwalający na skupienie, na napiętą, reaktywną uwagę ku bytowi skierowaną. Świadomość jest bowiem zagubiona, roztrwoniona w czasie, rozpuszcza się i rzednie w jego spienionym potoku (za mało jej bowiem, by mogła objąć ów wartki, nieskończony nurt), przesiąka nieustannie w niezaistniałą jeszcze przyszłość, zwleka i marudzi w oszukańczych – bo zmiennokształtnych, fantasmagorycznych - obrazach przeszłości. Miesza te wymiary, tworząc z nich jedną zbryloną, nierówną grudę własnej wewnętrzności. Nawet przez moment nie pozostaje taka sama, wspina się gdzieś i dokądś spada z chwili na chwilę, coraz to inna: raz pusta i apatyczna, raz nerwowa i spięta. Tego, co przed okamgnieniem jeszcze było intensywną obecnością rzeczywistości, jej namacalnym istnieniem, w następnej drobinie czasu już nie ma. Czas to nieustanna, wywołująca podniecenie gorączka świadomości. Stąd liturgia ma zawracać, zaganiać z powrotem do Bezczasu, do krainy Nigdy i Zawsze zarazem. Ma powtarzać, nieustannie powtarzać to samo, naginać linearną strunę temporalności do postaci okręgu, który stanowi wizualne przedstawienie Wieczności, bo jest figurą zamkniętą, wygaszającą w końcu wszelki ruch przez odebranie mu możliwości ekspansji, przez schwywanie go w to samo.

Gdy odzywa się chór, drżą posady świątyni, zwłaszcza basy brzmią prawdziwie z głębi otchłani, de profundis, przenikając wprost do rdzenia kręgowego-
8 P. Evdokimov, Prawosławie, op. cit., s. 310.

7 M. Bierdiajew, Sens twórczości, przeł. H. Paprocki, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2001, s. 255-256.

go. Wśród starocerkiewnego szyfru wibruje i dźwięczy nieustanne pamiłuj Gaspodi, zmiłuj się Panie, niczym przydech średniowiecznych hezychastów, szeptających najprostsze modlitewne formuły tysiące razy dziennie, by przez oddech sprowadzić do swego wnętrza zaświatowego, ociągającego się Ducha. Ukłony, znaki krzyża, czytanie, pieśni, inwokacje - wszystko składa się w jakiś falujący, niespieszny rytm. Wznosi się on w błaganii i opada w zadumie, w pokornym oczekiwaniu na własny los - w dziękczynieniu.

Z lewej strony, trochę w tyle i trochę z boku stoi kobieta. Zamyślona, piękna, lat może czterdzieści parę, choć jakby bez wieku. W chustce, ciemnofioletowej spódnicy za kolano, grubych, zimowych jeszcze rajstopach, czarnych kozakach pomarszczonych na zgięciach. Ma małe, jasnoróżowe usta i duże, intensywnie niebieskie, niemal liliowe, oczy - smutne i ciche. Po policzkach płyną jej łzy. Bez łkania i szlochu, bez krzyku rozdzierającego Niebiosą, bez lamentu i gorzkiego żalu, bez Hiobowego odgrażania się Zwierzchnościom i Władzom - zupełnie bezdźwięczne cierpienie. Ta nie ma męka więcej może bije w sklepienie świata niż jakiegokolwiek słowa, które można by wyrzec. W tym właśnie milczeniu będą musieli przejrzeć się bogowie, zobaczą swe niewidzialne, skryte w Nieskończoności twarze, oni będą musieli odpowiedzieć tym, którzy urodzili się i nie znają innego świata niż ciemności Gethsemani. Może ta męka idzie tylko w Nicość - wtedy jednak i Nicość powinna się zawstydić, że nicością jest tylko.

Kobieta żegna się i kłania, nie patrzy jednak w stronę ołtarza. Wzrok ma utkwiony w jednej z maleńkich świeczek, mrugających wątlami płomykami przed twarzą ikony. Tak jakby od tego patrzenia zależał ten płomyk, tak jakby od płomyka zależało wszystko. Świeczki od własnego żaru pochylają się każda w inną stronę, ich woskowe głowy się rozchodzą, jak rozchodzą się ludzkie losy. Od czasu do czasu któraś z nich pada na okrągłą tacę świecznika. Pada i gaśnie. Kobieta podchodzi, podnosi i znów zapala. I znów patrzy.

Nieopodal centrum, na wzgórzu jest inna cerkiew - z sześcioma niewielkimi dzwonami - a przy niej nekropolia. Cmentarz jest pusty i brudny, w alejkach zalegają hałdy śniegu i śmieci, gdzieniegdzie szklą się tłuste, bru-

natne kałuże, jedyna wydeptana ścieżka to skrót z przystanku na pobliskie osiedle. Nieśmiało, jak przebieśnięgi spod szarawej kołdry zlodowaciałego śniegu, zaczynają wyglądać nagrobki. Są ich dwa rodzaje, niemożliwie ze sobą przemieszane: prawosławne i komunistyczne. Te pierwsze z krzyżem, drugie z czerwoną lub złotą gwiazdą. Każdy z pomników - dotyczy to obu rodzajów - jest ogrodzony płotem, przeszło na metr wysokim, z metalowych, pogiętych często prętów. Groby wyglądają przez to jakby były w klatkach. Wrażenie jest ponure, bo w takich właśnie klatkach w Polsce, po wsiach, trzyma się kury, kozy czy świnię - najczęściej te ostatnie. Pomniki są proste, niebogate. Te komunistyczne to graniastosłupy ze ściętym czubkiem, zamiast którego na zardzewiałych drucikach zatknięte są pięcioramienne gwiazdy. Skromne postumenty zawsze pociągnięte są bladym błękitem, w górnych ich częściach fotografia zmarłego. Mężczyźni umierają młodo, rzadko który przekracza sześćdziesiątkę. Kobiety żyją rzeczywiście dłużej - niejednokrotnie z nagrobków spogląda nachalnie i nieruchomo staruszka z resztkami siwych włosów upiętych z tyłu w malutki kok. Mogiły prawosławne również proste: tam, gdzie Słońce wylizało już śnieg widać kopczyki ziemi, obok zatknięty prosty krzyż ze skośną belką, zespawany z metalowych rurek lub wycinanych arkuszy grubej blachy. Rzadko kiedy widać bardziej fantazyjne, bogatsze sarkofagi. Nikt tu chyba nie przywiązuje nadmiernej wagi do wyschłej i martwej miązgi życia. Śmierć była zawsze zbyt blisko Rosjan. Umarł to umarł - nic nie poradzisz. Był to był: kochaliśmy go, nienawidziliśmy, piliśmy z nim wódkę, pracowali, żyli, śmiali się i cierpieli. Teraz już go nie ma. Nas też za chwilę nie będzie. Co za różnica, gdzie złożysz, w jaki dół wrzucisz na zgnicie mięso i kości? Tak jakby podświadomie brzmiała tu wszystkim sentencja z nagrobnej płyty pewnego tolekańskiego biskupa: Sic jacet pulvis, cinis et nihil - „Tu leży proch, popiół i nic”. Nic. Cóż daje trupowi - albo nam - szacunek dla niego? Jeśli żyje on, jeśli coś z życia w nim pozostało, a on pozostał jakoś w życiu, to tylko w Bogu, w nadprzestrzeni metafizycznej lub naszej pamięci - nie w piachu. Na zdobne pomniki, przepyszne postumenty patrzeć można jak na zakamuflowany materializm - chęć zatrzymania w materii życia, jakieś nieszczęsne resztki kultu relikwii, bał-

wochwalstwo kamienia. Tylko słaba pamięć potrzebuje wspomagania, tylko nieczułym potrzebne są specjalne miejsca i święta. W każdym innym przypadku zmarli - jeśli naprawdę byli ważni - i tak zaludniają nasze głowy i dusze, nieustannie powracają w snach i wspomnieniach.

Z drugiej jednak strony - nie do końca. Obrzędy pogrzebowe, dbałość o miejsce pochówku jako wyraz szacunku dla przodków to jedne z najstarszych, konstytutywnych cech człowieczeństwa w ogóle. Może nasze ciała w momencie śmierci stają się tylko truchłem nędznym i niczym więcej zgoła. Może te kości, ta zgnilizna nie mają żadnego znaczenia, nie mają nic wspólnego z tymi, których niegdyś tworzyły, nie istnieje tu żadna, najsubtelniejsza choćby więź czy, tym bardziej, ciągłość. Możliwe. Więcej niż prawdopodobne. Ale nie nam o tym sądzić. Nie wiemy tego na pewno i nigdy wiedzieć nie będziemy mogli. Wiemy natomiast, że istnieje wyraźny psychologiczny czy duchowy nawet związek pomiędzy szacunkiem dla zmarłych a szacunkiem dla żywych. Kto nie szanuje tych pierwszych, niewiele na ogół ma respektu także dla drugich. Groby są bowiem wcieloną, zmaterializowaną pamięcią o ludziach właśnie - pojedynczych, konkretnych, niepowtarzalnych; są próbą zatrzymania i uczczenia ich krótkiego pobytu w istnieniu, nawet jeśli w pobycie tym nie sposób znaleźć celu czy wartości. On, ten człowiek, naprawdę był. Chodził wśród nas, taki właśnie a nie inny, nie był mirażem, snem ni zjawą. Istniał, działał a bez niego świat już nigdy nie będzie taki sam - coś przepadło z bytu bezpowrotnie. Pamięć może w istocie takich materialnych świadectw konieczne nie potrzebuje, ale też i nie odrzuca ze wstrętem. Cmentarze, grobowce są dla nas, żywych. Są hołdem złożonym temu, co z punktu bezdusznych praw natury i czasu nie ma żadnego znaczenia: pojedynczej, kruchej ludzkiej indywidualności, która trwać ma chociaż w ten sposób. Pokazujemy światu - przeciw niemu - że chcemy, by trwała, że wspominamy, nie pozwalając rozpuścić się w nicości, w której nieprzeliczona mnogość anonimowych ludzkich istnień już się nieodwołalnie zatraciła. Pokazujemy, że nie godzimy się na czas, na rozpad, który jest czasem drugim, ukrytym imieniem. Pamięć o zmarłych wzbogaca, tak jak w ogóle utreściwia, czyni bardziej wewnętrznie foremną, pojemniejszą pamięć o przeszło-

ści. Z drugiej strony sarkofagi służą jeszcze czemuś: wytrawianiu, niedopuszczaniu do świadomości bolesnej, gorzkiej prawdy ze śmiercią samą związanej: „to, co w śmierci najstraszniejsze: poczucie, że ci, co odeszli, nie są nam bezwzględnie potrzebni, że rzeczy, osoby mają do siebie stosunek jedynie póki żyją, ale że nie mają stosunków w samych sobie”⁹. Ta myśl powoduje, że wstyd nam wobec innych – że żyjemy, że nadal żyć chcemy, że wciąż śmiejemy się i pragniemy następnych dni, chociaż ich nie ma - i żal nam nas samych, że życie będzie toczyć się dalej, tyle, że już bez nas. Że chodzić będą po tym świecie śliczne dziewczyny i kochać się one będą z przystojnymi chłopcami, słońce będzie ich opalać, wiatr będzie muskał ich skórę, nadziejne knieje i tataraki, wonne leśne polany będą słuchać ich westchnień i śmiechów, spojrzenia będą rozumieniać ich policzki i rozświetlać oczy. I nadejdą wiosny i przyjemne ciepło, i zieleń kojąca, i deszcz chłodny, żywy, oddychalny po parnym dniu. I zapachy upojne, i widoki i łuny wieczorne nad ciepłym, łagodnym morzem. I smaki, i dotknięcia i te rzadkie – dlatego bezcenne - nie pytające o nic, intensywne odczucia wspaniałości życia. A nas już nie będzie i nawet nikt tego nie pożałuje. Po jakimś czasie nikt nie będzie wiedział, że kiedykolwiek byliśmy. Tego właśnie żal – zmysłowej, soczystej materii świata, która choć w pewien sposób nieznośna, wywołuje jednak bezbrzeżną, niespokojną zachłanność na istnienie, jakieś namiętne do niego lgnięcie. Niech więc będą i trwają chociaż nagrobki wśród cisowych parawanów, tam też przecież zajrzy wiosna, niech w tej przestrzeni pamięć nie paruje niczym krótka letnia mgła. Niech będzie chociaż tyle.

Żli więc to ludzie, którzy niszczą cmentarze i pomniki lub nie pozwalają ich stawiać. Nie bez przyczyny też do ich niszczenia chętnie rwały się totalitarne systemy i rewolucyjne dyktatury. Niedobrze chować zmarłych wśród śmieci, wrzucać ich do wspólnych, anonimowych, wapnowanych dołów, składać płytko w lotnym piasku, tak, iż wiatr odślania w końcu białe kości. Niech mają oni swe miejsce w tym świecie.

Tuż za murami nekropolii znajduje się inne miejsce pamięci – cmentarz poległych w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Nad placem góruje klasyczna sylwetka czołgu, pomnik bohaterów, płonący znicz, w tle

niewielkie mauzoleum. Nieopodal, w rzędzie identyczne nagrobki. Młodziutkie chłopaki, dzieci prawie – osiemnaście, dziewiętnaście lat. Siergieje, borysy, iwany, ilje - złożeni pokotem na ołtarzu Ojczyzny. Bohaterowie, którzy walcząc z Niemcami i ginąc w końcu nie wywalczyli wolności swojego narodu – ani żadnego innego. Przynieśli za to tym innym zniewolenie i śmierć. Z pewnej perspektywy zginęli zupełnie bezsensownie, składając swe młode, niedojrzałe życia na ołtarzu bezlitosnej tyranii, gdy dwa totalitarne buldożery postanowiły się ze sobą zderzyć. Pozostaje mieć nadzieję, że – umiarkując - nie mieli przynajmniej tej świadomości. W Rosji jednak tak o tym się nie mówi. Traktowane jest to jako niedopuszczalne szarganie dobrego imienia i chwały młodych bojowników - nieskazitelnych, niewinnych ofiar faszystowskiego najazdu. Według rosyjskich statystyk tylko na polskiej ziemi miało zginąć około sześciuset tysięcy żołnierzy – wszak nie wszyscy byli krwiożerczymi aparatczykami. Owszem, tak, Stalin, NKWD, które szło w drugim szeregu i tak dalej, to było złe – przyznaje to coraz więcej, większość już Rosjan. Ci młodzi nie mieli z tym jednak nic wspólnego, a plwać na Armię Czerwoną to plwać także i na nich. Nie przyjmuje się tedy do wiadomości, że armia ta była armia zaborczą i okupacyjną, że zrealizować miała za wszelką cenę śmiały plan podboju świata, zgniecenia narodów - najpierw małych, później dużych. Nie pojmuje się, że nieświadomość – nawet jeśli jest okolicznością łagodzącą – nie uwalnia od winy. Tego Rosjanie wciąż jeszcze często nie chcą usłyszeć i przyjąć, bo unieważniłoby to moralnie ich nadludzki, wojenny wysiłek, więcej, zmieniło jego znak wartości na ujemny, podważyło ostatecznie wartość milionów ofiar. Musieliby oni spojrzeć wówczas uważnie i bez lęku na ciemność własnej historii i polityki, dowiedzieć się czegoś niekoniecznie budującego o własnej mentalności, rozliczyć się głęboko i boleśnie w środku ze sobą. Na to jednak nie są chyba póki co gotowi. Między innymi dlatego że rachunek taki musi relatywizować każdą władzę, uczyć nieufności do niej i zdolności do oporu, słowem, odsyłać do rozbudzonej, moralnej, jednostkowej i nieredukowalnej podmiotowości. Ta zaś jest ciężarem i krzyżem.

W każdym razie – inaczej niż na cmentarzu miejskim – wszędzie tu panuje pogładowa czystość i

porządek. Ani papierki, ani puszka czy butelka się nie poniewiera – wszystko wymiecione do czysta. Skąd ta różnica? Cmentarz wojenny nie upamiętnia konkretnych ludzi, nie jest hołdem pamięci jednostek, zwichrzonych, biednych kłębków istnienia. Cmentarze i pomniki wojenne upamiętniają Ideę i System, są przede wszystkim wyrazem pamięci historycznej i politycznej. Liczy się zbiór, ogół, kolektyw oraz wyrażająca go, kształtująca i reprodukująca pamięć narodowa, symboliczna. Istotna jest ciągłość państwa, narodu i władzy, trwanie upolitycznionego narodowego ciała, ważna jest Rosja – nie zaś indywidua. Dlatego o ten cmentarz jest komu dbać, zadba o niego każda władza – zabezpieczy, uchroni i posprząta. Jest to bowiem postument Rosji samej.

Na prawo od głównego wejścia na cmentarz komunalny znajduje się jeszcze jeden nekropolitalny zabytek: pomnik ofiar wojny w Afganistanie i „wszystkich innych internacjonalistycznych wojen”. Stalowy żołnierz z opuszczonym kałasznikowem, w czapce, z rozpiętym górnym guzikiem munduru, spogląda smutno na miasto. Osadzony jest w łuku z rdzawego marmuru, a przez ramię przewieszono mu girlandę białoczerwonych kwiatów. Z tyłu na marmurowych tablicach, uporządkowane według lat, zapisane są nazwiska poległych. Zrazu, pod 1979 rokiem, tylko bodaj dwa, później, w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, już setki, pod koniec dekady znów nieco mniej. Oto ofiary ostatniej bodaj w dziejach wojny o wprowadzenie socjalizmu, ostatniego, śmiertelnego już podrygu Imperium. Nie pierwsze to mocarstwo, które rozbiło się o skalisty, nieludzki Hindukusz. „Tak, tak wielu naszych chłopców tam zginęło” - zagaduje przystając starszy pan. Stawia na chwilę ciężką foliówkę na ziemi, zdejmując czapkę, przeciera z potu tysięcącą głowę. „Z Moskwy mało co brali, tam spryciarze i ważniacy. Do Afganistanu, do Czeczenii stąd zgarniali, teraz do Dagestanu biorą... Z Krasnojarska, bo im blisko i wygodnie w Azję czy na Kaukaz rzucać. Ech... I powiedzcie: po co to wszystko?”

Reportaż jest fragmentem książki „Krasnojarsk zero” napisanej wspólnie z Jędrzejem Morawieckim (wydawnictwo Sic!, Warszawa 2012).

Krasnojarsk zero

Jędrzej Morawiecki

Wołodia Sirotkin:

W Rosji wszyscy wierzą. Tak się mówi. Prawie wszyscy wierzą w Boga, nie wszyscy jednak zrodzili się, by słyszeć. Nie ma w nich szczerzej skruchy.

Maksym Popow:

Dobrze życzący mi współbrat powiedział: „Maks, słyszałem, że na Syberii modlą się, żebyś do nich nie przyjechał. A my modlimy się, żebyś od nas wyjechał”. Ja do współbrata: „Spójrz, jak wielka jest moja duchowość. Zdołałem rzucić na kolana dwa klasztory”.

Władimir Aleksandrowicz:

W Rosji nie jest wcale tak trudno. Ale lekko też nie jest. Przekroczyłem już pięćdziesiątkę. Życia nie zawrócę. Służyłem ojczyźnie, jak mogłem. Do pierdła nikogo za darmo nie wpakowałem. Nie kablowałem, w tyłek nikomu nie wchodziłem. Jak zdechnę, Bóg sam się zorientuje, ile w tym prawdy.

Swietłana Władimirowna Sierowa:

Nie ja jedyna mam tutaj widzenia. Nic w tym nadprzyrodzonego. To po prostu jeden z języków, jeden z kanałów komunikacji ze światem równoległym, odrębnym od naszego. Teraz czekam Paschy. Mam nadzieję, że starczy mi sił i męstwa, by iść dalej.



ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

Będzie więc o Wielkanocy w Krasnojarsku. O ekumenizmie bez laurów, tym gorzkim, mozolnym, ostrożnym, ale prawdziwym. O wierze, zwątpieniu, cierpieniu i odrodzeniu.

O przygotowaniach świątecznych w klaretyńskim klasztorze na wzgórzu i niżej, w niecce miasta, rozciągniętego jak jamnik nad Jenisejem. O Wielkanocy szykowanej w starym kościele, przerobionym niegdyś na salę organową, w której msze odprawia Antoni Badura, Dariusz Białek, Maksym Popow, diakoni Oleg i Andriej oraz w budowanym przez ojca Tadeusza Szyjkę nowym kościele na Osiedlu Słonecznym, mocniej ściśniętym mrozem i wystawionym na wiatr. O wielkanocnym chrzcie Swietłany, dorosłym, trudnym, kipiącym radością i śmiechem, który może gorszyć pobożnych parafian. O tym, jak Pascha drga między światłem i ciemnością, jak rozbrzmiewa polifonią w cerkwi prawosławnej, w której postawi świeczki były oficer specśłużb Władimir Aleksandrowicz. I o świątecznej uczcie, rozłożonej na październowym stole zielonoświątkowców, ludzi o rzadkich zębach, twardych twarzach i blasku w oczach, tych, którzy kładą swe grzechy na szali dopiero od momentu zrodzenia.

Dzisiaj jest równonoc, świętują Chakasi i Buriaci. W poniedziałek zaczął się Pesach.

Raszyd Gizatowicz, pełnomocnik gubernatora Krasnojarskiego Kraju ds. religii cieszy się z tej mozaiki 137 narodów. Czekają na Paschę, którą w tym roku prawosławni i katolicy obchodzą w tym samym czasie. Równolegle swoje święto celebrować zresztą także Tuwińcy. Gizatowicz zapewnia: „Wspomagamy ruchy religijne finansowo, przydzielamy im działki pod budowę świątyni, bo czynią dobrą robotę. Kiedy przyjeżdżają do nas Kirgizi, Tadźycy, Czeczeńcy, mówią, że żyjemy w rajku. Bo w Krasnojarsku nie strzelają. A tam do tej pory wybrzmiewają wybuchy. Składnik duchowy jest zaś jedną z zmiennych, gwarantujących stabilność. Inna rzecz, że w Rosji islamofobią nasycone jest nawet powietrze. W porównaniu z Moskwą jesteśmy jednak miłą arkadią. Niechaj już lepiej ludzie wchodzić w konfe-

sje. Najstraszniejsza jest bowiem niewiara. Ona rodzi zło. Ludzie to rozumieją”.

By dojść do klasztoru klaretyńców na Dicksona z dworca rzeczno, trzeba iść w stronę wzgórz, plecami do rzeki. Pokonać kładkę, przejść tunelem pod obsypaną pyłem szosą, zrzucającą w dół trolejbusy. Po lewej zobaczysz kaplicę, tę samą, co na dziesięciuroblowym banknocie. Dalej schodami w górę, naprzeciw źródła widać drewniany monastyr. Tyle że teraz w monastyrze biega nina, ksiądz Tadeusz Szyjka wyjeżdża właśnie dacia po świniaka, trzeba go oprawić, potem jeszcze zajrzeć do młodzieżowej orkiestry na Słonecznym (tę rosyjskie i polskie szlagiery, aż łzy lecą). Ojciec Antoni Badura dopiero co wrócił z gór, Maks nie dotarł jeszcze z Polski, ojciec Dariusz pomknął do kościoła w dole, za placem z Leninem i lunaparkiem, w prawo od sieciowej stołówki „Zjem słoniu”, serwującej paproć, bryzol rybny, czarny chleb i wodorosty.

By dotrzeć do zielonoświątkowców – musisz z kolei przejść przez rzekę, zanurzyć się w przemysłowe dzielnice. Już przez sam most zejdziesz kawałek drogi, pół godziny jak nic. W dole migocą mielizny, woda jak kryształ, za to chodniki czarne, wąziutkie, pod nogami wędzną kosmyki śniegu, smoliste włoski wytopione przez promienie słońca. Obok ryczą japońce, wszystkie samochody z kierownicą z prawej strony. W dali mającą nowe „wysotki”, kolorowe wieżowce, bliżej widać miłosne graffiti „Sonieczka, ty byłaś tą pierwszą i pozostaniesz jedyną”, potem kolejne wyznania miłości sprzed dziesięciu z górą lat. Bliżej wzgórz i nowych stoków narciarskich pojawiają się komunikaty bardziej drapieżne: „Irkutsk Ultras na wyjeździe” oraz ogromny napis: „Nie jesteś mężczyzną, jeśli nie masz sztangi”. Najlepiej jednak – zamiast żmudnej przeprawy na piechotę - wskoczyć w busika. Byle znać adres, ten właściwy, bo do zielonoświątkowców dotrzeć niełatwo.

Chrześcijaństwo szykuje się do Świąt. Administracja – do wizyty Putina. Z głośników, rozmieszczonych na centralnych ulicach wali jazzband. Przechodnie puszcza kłęby pary, dziewczyny czują już jednak wiosnę, spacerują w wielkich słonecznych okularach, obcisłych

spodniach, różowych kurtkach, bądź rozpiętych futerkach. Kafejki kuszą zaś żywym piwem w dwunastu smakach, kołaczem i beżmięsną zupą. Trwa post.

Opowieść pierwsza

Swietłana Władimirowna Sierowa jest dziennikarką. Ma straszliwie smutną twarz.

Nie tylko dlatego że miała być inaczej. Nie dlatego że zamiast pisać scenariusze uczy się redakcyjnego posłuszeństwa. Dziennikarstwo jest tym, od czego chciała być jak najdalej, w każdym razie to w rosyjskim wydaniu. Święta nie rozdziera jednak szat. Nie czyniła bowiem rzeczy podłych, nikt nie kazał jej wypisywać świństw i Sierowa jest za to wdzięczna.

Nie stąd więc ta smutna twarz. Smutek płynie po części z baraków, bez dwóch zdań. A może bardziej odmieniły ją widzenia? Może one zmusiły przywdziać smutną maskę, którą Swietłana zedrze z twarzy pod koniec tej katakumbowej rozmowy?

Pół godziny temu była jeszcze na górze, podchodziła podczas mszy do ojca Dariusza. Ten kładł ręce na jej głowie, trwali tak wśród psalmów w sali koncertowej. A nie jest jej łatwo tak wytrzymać. Bo kiedy zaczęły się przygotowania do chrztu, który nastąpić ma w czasie wielkanocnym, ze Swietłaną coś się stało. I dzieje się ciągle. Ostatnio złapała ją w czasie liturgii, poczuła słodycz łaski i zaczęła się coraz bardziej pochylać w stronę ojca. Zrozumiała, że jeszcze chwila i go po prostu przewróci. Śmieszne sprawy.

Teraz Święta siedzi w podziemiach kościoła. Słychać śpiewy wiernych. Sierowa szepcze:

„Moje nawrócenie idzie jak po grudzie, taka jest prawda. Żadna tam gładka konwersja. Ale cuda były. Pierwsze – pięć lat temu. Dopiero teraz potrafię je rozpoznać. Najpierw zrozumiałam, że Bóg jest, ale Go nie czuję, te dwa fakty były dla mnie dalece nieobojętne. Zachodziłam w głowę: dlaczego cała literatura rosyjska Go odczuwa, a ja nie? Niby od zawsze uważałam, że lepiej być niesformatowaną. Ale życie poza sztancą udaje się tylko do pewnego momentu. Wyjście poza standard nie może

być absolutne. Próbuję rozszerzyć świadomość, pojąć zachodzące procesy, ale to też niedobrze, bo do tego nie da się dotrzeć rozumowo. Wiara to jak oddychanie. Nie można jej roztrząsać, analizować. Tylko co ja mam zrobić, skoro ja tak lubię roztrząsać? Rozkładać, śledzić zależności, rozpisywać algorytmy, rysować schematy? Kiedy się jednak tym sposobem właduję w labirynt racjonalizmu, to wędruję nim tak daleko, zapuszczam się w takiej rejony, że trudno mi później powrócić. To, że udaje mi się wykaraskać z tej rozumowej kaskaderki, to jedynie zasługa Boga.

Jak dalej się będzie rozwijać moje nawrócenie – nie mam pojęcia.

Był moment, gdy wszystko mi się tu wydawało śliczne. Wspaniałe. Myślałam – jak można wyrzec się takiego piękna? Parafia dała mi możliwość zanurzenia się w tym wymiarze. Teraz już wiem, że źródło żywej wody można porzucić. Muszę dokonać wyboru”.

Wierni schodzą na dół, mijają Sierową, otuloną szarą kurtką i klękają w gaju oliwnym. Świeta (nadal cicho, szeptem przebija się przez śpiew):

„Jestem miejscowa. Mieszkałam z rodziną w drewnianym baraku. Co tam było? Było dobre i złe. Dobre było to, że zdołaliśmy się stamtąd wyprowadzić, z Boską pomocą.

Tam ujrzałam nad sobą niebieskie niebo, tam zobaczyłam szyny kolejowe, na które biegaliśmy się bawić, szczególnie wtedy, gdy tory kłapały podkładami, drząc przed nadjeżdżającymi pociągami. Luzowaliśmy te podkłady, chowaliśmy się, potem biegliśmy dalej, łaziliśmy po garażach. Do strefy kolejowej nas nie wpuszczali: za dużo lokomotyw, wkoło huczało wysokie napięcie. Ale próbowaliśmy. Tak bardzo się nam chciało choćby na chwilę stanąć tuż przy obciążonym pociągu towarowym, poczuć jego siłę, doświadczyć, jaki jest potężny, jak się niesie w dal, zbija z nóg podmuchem, leci w obce kraje. Przeczytać zagraniczne nazwy, niebywałe dla naszej radzieckiej rzeczywistości. Ganiłi nas sokiści, skubały wilczury.

Wkoło mnie byli dziwni ludzie, dziwne wydarzenia. Mielśmy sąsiada epileptyka. Nie bardzo wtedy potrafiłam zrozumieć, co nim tak telepie. Dalej mieszkał staruszek po łagrach stalinowskich. Bałam się go. Niby zdrowy, ale w czapce i walonkach chodził nawet latem. Nie lubił dzieci.

Wszędzie wokół leżały góry piachu, prawdziwa krzewa obfitość, mogliśmy z niego budować, co dusza zażyczy.

Zwykły drewniany barak stalinowski, stoi do tej pory. Stareńki, ale ciągle hula, dociągnęli tam teraz nawet internet”.

To dobre. A co było złego? – pytam.

A Sierowa odpowiada niezmiennie:

„Złego nie wspominam. Już je zapomniałam. Zapomniałam tych ludzi.

Pamiętam tylko książki. Z literatury czerpię bez końca. Tekst jest dla mnie substancją najsilniej wypełnioną życiem. Mogę go dotknąć, widzę jego kolory, słyszę jego melodię. Ja się z tekstem komunikuję, dzięki książce rozmawiam z jej twórcą.

Wraca do mnie ostatnio ciągle jeden wiersz Cwietajewej. Ona do Boga niespecjalnie ciągnęła, choć uczyniła Go z jednym z leitmotywów swej twórczości.

Błogodariu Gospod' za okijan i za sosz'

I za prielestnuju plot'

I za biezsmiertnuju duszu

I za goriaczuju krow'

I za cholodnuju wodu

Błogodariu za liubow'

Błogodariu za pogodou

Łazi to za mną ciągle.

Zaczęłam odnajdywać w literaturze opisy podobne do tego, czego sama doświadczyłam. Zachodzą we mnie procesy, których wcale w sobie nie chcę. Zgodziłam się jednak już na to, by zostały we mnie uruchomione.

Miałam widzenia. Tak się to nazywa, prawda? Nie lubię tych obrazków. Wejdą ci pod powieki, nie wiesz potem, co z nimi począć, co myśleć. Staram się więc ten proces zahamować. Wcześniej mnie one ekscytowały, zamykałam oczy, napawałam się nimi, poruszałam po tych światach, po danych mi pod powiekami miejscach, krajach, w których na jawie nigdy nie byłam. Potem tego zaprzestałam, bo wydały mi się te podróże straszne. Nie wiesz, gdzie jesteś, nie rozumiesz, o co chodzi. Włazisz w to, potem otwierasz oczy, a wkoło znowu co innego, tym razem musisz się zorientować, gdzie cię zaniósł w realnym życiu.

A to, co widziałam, nie zawsze było dobre.

Nie chcę już być taka poobijana, chcę spokoju. Chcę rzeczywistości.

Mam nadzieję, że dostałam ten strumień od Boga, bo pewności mieć nie mogę, niestety. Sęk w tym, że nadawca mógł być różny, obrazy mogą podchodzić również od tego, co miało inny niż jasny początek. Chociaż powiedzieli mi, że to łaska”.

Opowieść druga

Maksym Popow:

„Jeśli nie wiesz, kto mówi do ciebie, co się z tobą dzieje, wielkością człowieka jest zapytać. Nie jednego nawet, a kilka osób lepiej wykształconych bądź tych, co wiele w tej materii przeżyli. Jeżeli masz potrzebę się swym doświadczeniem dzielić, to bardzo prawdopodobne, że to rzeczy Boże. Do tego dochodzą reguły rozeznania: czy to daje pokój, czy to daje radość, czy to daje pewność, że idę drogą właściwą? Czy są na to inne potwierdzenia: nie tylko uczuciowe, ale również płynące z duchowości? Ze Słowa, z ksiązek, z modlitwy innych ludzi, z tego, co się usłyszało, z tego, co się wydarzyło? W takiej sytuacji warto być w stanie łaski uświęcającej, by mieć komfort, głębszy spokój serca. Od tego my właśnie jesteśmy. Kapłani to między innymi chrześcijańscy terapeuci, którzy winni rozeznąć się, czy mają do czynienia z urojeniami, czy obrazy pochodzą z miłości deficytarnej, czy są tworam wewnętrznymi. Nigdy nie będę miał jednak pewności w swoim rozeznaniu, jestem świadom swych ograniczeń”.

Ojciec Maksym odprawiał mszę na górze razem z Dariuszem. Teraz kurzy fajki i tupie mokrym śniegiem o deski klasztornej tarasu. Nie palił, nikotyna znów go jednak dopadła, złapała go nagle, powróciła, gdy przyszło cierpienie.

Maksym opowiada o życiu:

„Ojciec – zawodowy oficer polityczny. Matka – utalentowana reżyserka. Ona Boga nienawidziła. Kiedy poszedłem do zakonu – miotała złe słowa. Miała żal: mój kolega został już szefem pogotowia, a co mi przyjdzie z katolików? Teraz zgodziła się z moim powołaniem. Wcześniej jednak z jej powodu omal nie odszedłem z kapłaństwa.

Ojciec ciągle na mnie czeka – wierzy, że przyjadę do Tomska. Obiecuje mieszkanie, obiecuje, że załatwi mi pracę na uczelni... Bylebym tylko zrobił wnuków. Ja jednak odczuwam inne powołanie.

Wiara.

Pierwszy głębszy moment, to kiedy pochłonęła mnie cisza. To jak aria z opery. Cisza rodzi modlitwę. Modlitwa rodzi wiarę.

Cisza otaczała mnie w dzieciństwie, kiedy siedziałem obłożony książkami w osiedlowej bibliotece. Cisza odkrywała obecność czegoś, co jest poza mną, co ciągle mi towarzyszy, a zarazem mnie nie przytłacza. Ciekawe uczucie. Wiedziałem, że zawsze do tego czegoś mogę się zwrócić. Jak to się mówi w Rosji: „coś TAM jest”. Do tego czegoś STAMTĄD się zwracałem.

A kiedy byłem w NRD, jako dziecko funkcjonariusza bratniej armii, to przechodząc obok jednego z kościołów katolickich poczułem dotknięcie. Muśnięcie łaski sprawiło, że zatrzymałem się i złożyłem ręce, a jedna z sąsiadek rzuciła: „Modlisz się, Popow, chociaż jesteś synem oficera politycznego”. Bo ja jestem synem prominenta. Dobrobyt socjalistyczny nie był mi obcy. Pamiętam, jak bardzo lubiłem te wszystkie towary, które nam przywozili w dzieciństwie czarną wołgą. To były dobre czasy. Szczególnie, póki nie psułeś sobie humoru myśleniem o innych.

No a potem ta dziwaczna modlitwa, nagle i z zaskoczenia. Wiedziałem, że to wydarzenie staje w poprzek oj-

cowskich nauk, że jest wbrew temu, co mi mówił i czego uczył żołnierzy. O co więc poprosiłem w modlitwie? „Panie Boże, jeżeli istniejesz, spraw, by ta kobieta nie powiedziała nic mojemu ojcu”. Zdziałało. Tuś mi! A więc do tej dziwnej obecności mogę się zwracać z konkretną sprawą! Ona słyszy!

Nie mieszkaliśmy w miasteczku zamkniętym, ojciec był w jednostce reprezentacyjnej, mogłem się więc swobodnie poruszać po Berlinie. Jąłem przyjeżdżać do katedry Świętej Jadwigi, jeździłem coraz częściej. Siedziałem tam, słuchałem muzyki organowej. Miałem wreszcie dom.

W mieszkaniu było bowiem ciężko. Po wierzchu - świetlanie, a gdy drzwi się zamknęły – spadaliśmy do piekła. A jak nie ma Boga, to skąd wytrzasnąć siłę do przebaczenia? Jeśli nie mamy odbicia, pozwalającego wyjść poza przestrzeń wypełnioną ludzką słabością, to zaczynamy bokсовать w osadzie wzajemnych oskarżeń. Boksujemy i zarazem jesteśmy w swym terrarium głusi. Kościół zaś stał się dla mnie bezpiecznym miejscem, przestrzenią, w której słyszysz. W katedrze nic mi nie groziło.

Tego, o czym mówię, nie uważam za ucieczkę. Nazywam to raczej drogą. Przejściem od zakomuszonego działacza (bo byłem liderem komsomołu w liceum medycznym)... Bardzo w to wierzyłem, byłem przekonany do linii ideologicznej. Naprawdę cieszyłem się, słysząc, jak rośnie potęga naszego kraju i czekałem rychłej zagłady przebrzydłych kapitalistów. Kapitaliści żyją, Związkowi nie ma, Ameryka ciągle stoi, sam nie wiem czemu.

No więc droga wiary. I ból. Po raz pierwszy obraziłem się na Boga pod koniec lat 80. Miałem ogromne pragnienie modlitwy. Pół godziny szedłem do kościoła na piechotę, a jak byliście już na Syberii, to wiecie, co znaczy trzydzieści minut takiego marszu w zimie. Dotarłem więc do świątyni, ale drzwi były zamknięte. Wtedy powiedziałem przed tymi wrotami: „Boże, Ciebie nie ma. Jakbyś był, to byś mi otworzył, nie chciałem przecież nic więcej, tylko pomodlić się do Ciebie. Chciałem tylko tu wejść. Jakaś nie posłuchał, to Cię nie ma. Mieli rację, że wiara to opium”. No i wtedy się stoczyłem. To znaczy zszedłem

z tej kościelnej górkę, a potem życiowo poleciałem w dół. Pomyślałem: Nie ma Boga? Hulaj dusza.

Czułem się opuszczony. Zalał mnie alkohol, niby nic strasznego i szczególnego, wielu tak żyje. Ale dla mnie to trudne doświadczenie. Choć w tym wszystkim również był Bóg. Mnie jednak żarła samotność, odcięto mnie od źródła piękna. Od celu.

Ja bowiem naprawdę obrałem ów cel: zostać katolikiem. Do tej pory nie wiem – dlaczego właściwie. Chodziłem i do cerkwi prawosławnej. Czułem jednak, że to nie moje.

Czas separacji. A potem nadeszła pieriestrojka, partia obwieściła, że w Boga można już wierzyć. Na pogotowiu zaś jedna z lekarek powiedziała, że do Tomska wrócili katolicy. Tyle że ja w tym czasie byłem już baptystą. Dziarsko śpiewali, kazali czynić pokutę. „Co to takiego?” – spytałem. „Wyjdź na środek i powiedz, że wszystko, co dotąd robiłeś w swym życiu, było złe”. No to stanąłem na środku i oświadczyłem: „Wszystko, co dotąd czyniłem, było złe”. „Dobra, w porządku, bierz Biblię”. Nie bardzo czytałem Pismo, ale mówiłem o nim, podłapałem ideologię, a ja jako ideolog jestem niezły.

A potem pewien współbrat zorientował się, że wcześniej przeszedłem przez New Age. Demonstrowałem mu zresztą niektóre niuanse, praca rękami i tak dalej. Doniósł o tym wspólnocie, oni uznali, że jestem diabłem, wyrzucili mnie. Pomyślałem: „Palę was. Idę do innych”. Przyjęli mnie kolejni baptyści, pozwolili mi śpiewać w chórze, mimo że nie byłem jeszcze ochrzczony. To był mój sposób na życie duchowe.

Chodziłem jako ideolog z Pismem i tym oto sposobem trafiłem w końcu do grupy ludzi, którym jąłem tłumaczyć, że zbawienie jest tylko u baptystów. Oni nie mieli księdza (to nie był jeszcze ten czas), spotykali się po prostu i rozmawiali o wierze. Wystłuchali mnie, powiedzieli: OK., zostań u nas, posiedź tu sobie trochę. Siadłem wtedy u nich pod obrazem Matki Najświętszej. I w tym momencie poczułem to samo dotknięcie, które miałem w Niemczech. „Kuźwa, jestem w domu”. Był tam wtedy pewien świecki, który miał pozwolenie na udzielanie komunii świętej. Powiedział: „A niech byś był nawet jehowitą. Najważniejsze, żeś Rosjanin, pomożesz mi czytać Pismo Święte”. Następnego dnia ja – człowiek nieochrzczony w żadnej

z konfesji – wyszedłem na ambonę, on założył na mnie komżę. I wtedy stało się dla mnie jasne, że moje miejsce jest nie tylko w kościele, ale właśnie tutaj, przy ołtarzu. Usłyszałem AMEN. Właściwie to było twardsze, to był hebrajskie Amman. Miałem już pewność.

Tak oto zaczęła się moja epopeja. Ochrzcitem się na Boże Narodzenie. Potężnie to przeżywałem. Straciłem przytomność w trakcie ceremonii. Chrzciło się nas trzyście osób. Zaczynaliśmy nowe życie”.

Maksym Popow napisał list ojca Antoniego Badury, który teraz jest krasnojarskim proboszczem. Dostał się do seminarium. Przyjechał do Polski.

„Do dziś pamiętam, jechałem pociągiem, facet w przedziale pyta: „Dokąd jedziesz?”. „Do seminarium”. „A po co? Kim ty właściwie jesteś?” „Rosjaninem”. On na to: „Jak rusek zostanie księdzem, to znaczy, że Boga nie ma”. A potem usłyszałem apel jasnogórski. Poszły ciężkie łzy, z samej głębi. Do dziś „Maryjo, Królowo Polski” rajcuje mnie potężnie, razi prądem”.

Później ojciec Maksym obraził się na Boga po raz drugi.

Opowieść trzecia

Wołodia Sirotkin nie zna Maksyma. Nie spotyka się z katolikami ani na obiadach, ani w „bani”, w której swego czasu spływali wspólnie potem i krzepili w lodowatej wodzie katolicy, prawosławni, muzułmanie, protestanci. Z prawosławnymi zresztą w kontaktach najtrudniej. Ojciec Antoni powiada nawet o ekumenizmie: „Współżyjemy tu jak jeże. A wiecie jak jeże zajmują się miłością? Ostrożnie. No więc my właśnie jesteśmy ostrożni”.

Wołodia Sirotkin niewiele jednak wie o tych kontaktach. Nie chce mówić o ekumenizmie. Nie po to tu przyszedł. Umówił się po gorączkowych, urywanych telefonach, po numerach, przekazywanych w enigmatycznych esemesach, po sondujących spotkaniach w mieszkaniach na blokowisku. Po rozpoznawaniu intencji.

Wołodia jest zielonoświątkowcem. Siedzi w syberyjskim, sieciowym fastfoodzie, patrzy na przepływający, roz-

ogniony miejskim oświetleniem Jenisej, chrupie płaską pizzę i daje świadectwo:

„W moim życiu runęła żelazna kurtyna. Droga owa była miniaturą tego, co stało się ze Związkiem Radzieckim. Lunął na nas deszcz bogactwa, z Zachodu popłynęło wszystko, co tylko zamarysz: magnetofony, kasety, zakazane filmy. Uznałem, że w życiu trzeba spróbować wszystkiego. Dosłownie wszystkiego. Choćby miało mnie to wieść ku śmierci. Nieraz myślałem, że umieram. Tak to bywa z chemią, a ja zamiast gandzi zacząłem preferować bardziej wyrafinowane syntetyki, tabletki na podrasowanie życia. Próbowałem rozradować swoją duszę, zakłajstrować brak ojca. W tym celu uzbroiłem się w paliwo, nie żałowałem tabsów, byle tylko trzymać lot, nie osiadać, nie utracić słodyczy. Skończyłem gimnazjum, trafiłem do zawodówki. Przyłgnałem do paczki zuchów, dobre chłopaki w istocie, ale jak to się mówi: dobraliśmy się.

Mając lat siedemnaście stałem się alkoholikiem. Bez wypitki nie dawałem rady ni jednego dnia, o siódmej już mnie nosiło. Jak były pieniądze, szliśmy do gospody „Kłosek”, zaraz koło skupu zboża, tuż przy elewatorze. W istocie była to zakładowa stołówka, przerobiona na początku lat 90. na prostą jadłodajnię, nęcącą wódką w ludzkiej cenie. Tak płynęliśmy razem, halsując od wypitki do tabletek, od draki do drobnych i cięższych przestępstw.

A potem się stało.

Była nas trójka. Dokonaliśmy przestępstwa nadzwyczaj ciężkiego. Popiliśmy sobie zdrowo i postanowiliśmy ukraść samochód. Puścili nam hamulce. O ile z początku zamierzaliśmy kierowcę jedynie wydobyć z kabiny i postraszyć, o tyle w finale po ciężkiej szarpaninie zgruchotaliśmy go, ubiliśmy.

Tak oto zdobyliśmy toyotę corollę, wersja uniwersalna, kolor biały. Sporo w tamtych czasach warta, bardzo dobry wóz. Załadowaliśmy się więc do środka, pojeździliśmy i porzuciliśmy samochód. Właściciel został zaś z tyłu na jezdni, leżał tam, gdzieś go z toyoty wytaszczyli. Po ośmiu miesiącach nas aresztowali.

W areszcie milicjanci byli ludzcy, traktowali mnie jak dziecko, bo ja mimo mojej siedemnastki wyglądałem na lat czternaście. Nie wierzyłem, że mnie znajdą, że mnie skażą, bo choć działaliśmy głupio, to nie było na nasz czyn żadnych dowodów: ani świadków, ani odcisków palców. O orzeczeniu winy zdecydowały tylko zeznania, które wydobyli z nas operacyjni. Oni są świetnymi psychologami, naprawdę fajnie się z nimi rozmawia. Przyznaliśmy się więc, podpisaliśmy, co trzeba.

Posadzili nas, minęły pierwsze trzy doby, zrozumiałem, że wszystko się skończyło. Że trafiłem wcale nie tam, gdzie chciałem dotrzeć. Widzieliście, co robi zwierzę, które wpakować je do klatki? Najpierw będzie się ciskać, a potem nadchodzi ten ważny moment, kiedy zwierz się kładzie. Godzi się z sytuacją. Tak było ze mną, tak dzieje się z każdym. W ZK musisz ugiać kark.

1999 rok. To jeszcze przed reformą penitencjarną, w celi na 21 łóżek przypadało 35 osadzonych, trzy lata później była nas już 45-ciu. Jeden spał nocą, inny w dzień. Tak sobie radziliśmy. Ale potem zaczęli wdrażać eurostandardy i aż zachciało się żyć.

Ja – w odróżnieniu od kumpli – nie byłem pełnoletni, maksymalny wyrok, jaki mi groził, to dziesięć lat. Dostałem osiem i pół. Koledzy otrzymali trzynaście i piętnaście lat pozbawienia wolności. Jeden został już zwolniony, po tym jak zachorował w więzieniu na ciężką gruźlicę. Drugi nadal siedzi.

Po trzech miesiącach od wyroku jeden z osadzonych podarował mi malutki psalterz. I nagle dotarło do mnie, że ten, co to pisał, był takim samym człowiekiem jak ja i że odczuwał to samo, co ja odczuwam. Cały aż spływałem potem. Wszystko mi się w czasce przestawiało, dotarło do mnie, że świat jest potwornie skomplikowany, dotarło, że gdzieś TAM czeka na nas zapłata, a skoro jest TAM, to znaczy, że z kolei TUTAJ zależy również od nas, możemy ten świat zmieniać, siebie zmieniać.

I wtedy przyszła skrucha. W celi więziennej. Nie mogłem klęczeć, odwróciłem się po prostu do ściany, płakałem, kajałem się, błagałem, by mnie zmienił, bo ja już

nie chciałem tak żyć. To było w 2001 roku, w miesiącu grudniu. Od tego momentu mój więzienny świat runął. Towarzysze pod celą chcieli mnie obrócić w przekłutego słabeusza. Uważali, że wierzący to to samo co miękki. Nie wiedzieli, w głowie im się nie mieściło, że gdy wybierzesz Boga, to Bóg bierze cię pod swe skrzydła, nie pozwoli cię skrzywdzić.

Potem z więzienia przenieśli mnie do kolonii. Tam nadal głosiłem Słowo, spotkałem wierzących współbraci. Zbieraliśmy się w świetlicy, administracja była nam przychylna. Odwiedzali nas i ci z zewnątrz, bracia na wolności. Przesiedziałem tak sześć i pół roku. Zwolnili mnie przedterminowo”.

Szuranie widelcami po talerzach. Z głośników w tle podzwania angielska sieczka.

Wołodia opowiada o swojej postudze, o pracy we wspólnocie. Ostatnio wyszli z miast, objeżdżają pasiołki, stukają do drzwi, wręczają Nowy Testament, głoszą konieczność skruchy. Prowadzą także darmowy second hand, wożą czystą odzież. Bo przepaść między życiem na wsi, a w Krasnojarsku jest potężna.

Jeżdżą również po koloniach karnych. Zrzeszyli się z baptystami i charyzmatykami. Podzielili między siebie łagry. Chwalą administrację rządową, pozyskali jej zaufanie. Naczelnik łagrów krasnojarskich generałmajor Szajesznikow cieszy się dobrą opinią nie tylko wśród zielonoświątkowców. Chwaliło go także Radio Swoboda. Obrońcy praw człowieka uznali go za wzór dla innych naczelników więziennych. Taka opinia zdaje się kluczowa. Tym bardziej, że jak utrzymuje dyrektor Instytutu Socjologii Moskiewskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa, w Rosji przez system penitencjarny przeszedł czwarty mężczyzna. A i sam Krasnojarsk ma spore więzienne tradycje.

Wołodia Sirotkin zbiera starannie talerze, wyciera stolik. Potem wychodzi z baru, staje nad rzeką, czerwienieje wbity w dermową kurtkę i mówi przez wiatr:

„Są u nas mordercy, są narkomanki, są i były ładacznice. Pracujemy, płacimy podatki. Mamy żony i mężów. Mamy wreszcie dzieci, mnóstwo dzieci. Wierzę, że nie stałoby

się to ludzkimi siłami. Myśmy już próbowali urządzić sobie sami życie, ale władowaliśmy się w takie bagno, że tylko Bóg był nas w stanie z niego wykaraskać”.

Opowieść czwarta

Władimir Putin przyjechał do Krasnojarska. I przerwał wizytę. W Moskwie kolejny zamach, wybuchy w metrze. W telewizji rozpoczyna się debata „Powstrzymajmy terror”.

Raszid Gizatowicz – muzułmanin, pełnomocnik gubernatora ds. religijnych – jest smutny.

Pascha coraz bliżej. Łagodny mróz pieści skórę, słońce wylewa się na miasto, zielone kałuże bulwersują na słońcu i tają na brzeżkach. Z głośników syczy się łagodny hip-hop, młodziak śpiewa o poszukiwaniach prawdy ontologicznej. Topnieje śnieg, spod zasp wyłoniły się już czubeczki ławek, zakochane pary wskakują w muldy, przysiadają na oparciach, przytulają się. Z rzadka pociągają zimne piwo i drinki „jaguar”. W cerkwiach tłoczą się wierni. Na Dicksona przyjeżdżają zaś wielkanocni goście. Jest biskup. Są księża i siostry z północy i zachodu Syberii. Jest wreszcie Władimir Aleksandrowicz. Ten siedzi samotnie. Mówi mocno i szczerze:

„Jak jechałem pierwszy raz na front, nie bałem się. Jak się miałem bać? Miałem dopiero 24 lata, wtedy nikt się nie boi. Młodziaki nic nie wiedzą, niczego nie rozumieją. Mówili mi, że to taka delegacja: „Podsokoczysz tam, zabierzesz naszego współpracownika, dopilnujesz spraw”. Wysłali mnie do punktu ewakuacyjnego, tak się to nazywało, wszędzie cynkowe trumny, każda miała mieć 70 kilogramów ładunku, jak brakowało zawartości, dosypywało się piasku. Zanim wszedłem, spytali: „Spiryt pijesz?”. „Nie piję”. „Trzeba wypić. Inaczej nie dasz rady”. „Wejść bez tego”. Wlałem, ale było strasznie, widok nie do zniesienia. Zidentyfikowałem współpracownika, wyszedłem. No a wtedy oni do mnie: „Słuchaj, zabili go i jest wakat. Przyszedł rozkaz, że masz zostać. Na miesiąc”. Kłamali, oczywiście. Przetrzymani mnie pół roku. Blokowaliśmy przerzut broni z Pakistanu. Jak to się mó-

wiło: szliśmy w karawanę, robiliśmy pułapki, dopadaliśmy duszmannów. I tyle.

W Afganistanie była kupa paskudztwa. Ot, wyobraźcie sobie, jest dwóch braci. Jeden poszedł w niewolę, zabili go. Drugi bierze swojego DSzK i zaczyna szaleć, poluje, biega po aule, w którym wzięli braciszka. Bo tak już człowiek jest skonstruowany, że czasem dostaje pierdolca i strzela. A potem przyjeżdża moskwiczanin typu kapitan Trojanow i lekką rączką wyrokuje: „Zabiłeś człowieka. 10 lat dla ciebie, a dla niego pośmiertnie gwiazda majora”. O afekcie ani słowa.

A potem na Kaukaz. Tam wszystko było już nie tak. Jak walczysz, ale czujesz za plecami cały kraj – to jedno. Ale jak jesteś z komitetu bezpieki, to zupełnie inna bajka. Sami wiecie, co to takiego. Mówię, bo to już nie sekret, może zresztą chcę, żeby ludzie wiedzieli, czort wie, o co mi chodzi. Życie to takie cholerstwo, że go już nie cofniesz. Teraz na chwilę przyhamowało, zaczepiło jakąś drzazgą i uwiera, ale w tył go już nie puszczyć, innym torem już nie pójdzie. Co było, to było.

A była i Polska i „Solidarność”. Rolę naszego rezydenta pełnił wtedy Witalij Pawłow. Silny facet. W 1983 albo 1984 roku w maju byliśmy w Gdańsku. Mieliście takiego przedstawiciela „Solidarności” Bogdana Lisa. No więc wtedy była akcja, kazano nam takich chłopców jak on po cichutku, powolutku wszystkich uprzątnąć. Zapakować do samolotu, potem miasto Moskwa, Łubianka i szus. Do każdego pasażera przydzielono cztery osoby, ja byłem w jednej z takich czwórek. Wasi nas wspierali, dawali namiary, adresy, my mieliśmy jechać, skuć i wywozić mąciwodów.

Ale Jaruzelski powiedział: „Sami wszystko załatwimy”. Odwołali nas. Chociaż wielu oficerów się buntowało. Ja sam mam teściów Polaków, wstyd mi było przed nimi cholernie za całą tę hecę. Świństwo i plugastwo. Kto jawnie odmawiał, szedł do pierdła. Trybunał ozna- czał osiem do dziesięciu lat.

Nie cofnę tego.

Potem Czeczenia, walka z korupcją. Ale to już wiecie. Pierestrojka Gorbaczowa, koń by go puknął. Wyszedłem akurat z lazaretu i nas tam rzucili. Był wtedy taki sekretarz krajowego komitetu partii Miedunow, potwornie grabił, cały Krasnodar był rozkradzony. Wymieniali wszystko, łącznie z komitetem bezpieczeństwa, wzięli nowych chłopaków z Syberii. Rzucili nas od razu w teren, rozpracowywaliśmy kombinaty przemysłowe, złodziejstwo obłudne, porównywalne tylko z naszymi czasami. Straszne sprawy, sam nie wiedziałem, za który sznurek pociągnąć. Dali mi sympatyczny domek, taki cottage na dwóch gospodarzy. Szofer odwiózł mnie raz do domu, siadłem do obiadu, żona weszła z Andżeliką i zaraz ją odesłała. Rzekła: „Wyjdź, tata śpi”. A ja miałem pierwszy udar. Powieźli mnie do szpitala wojskowego w Armawirze, przeleżałem tam dwie doby, ocknąłem się i od razu wypisałem. Dali mi cztery miesiące urlopu. Potem podałem na komisję, zwolniłem się.

Zaczęły się lata 90. Pojechałem na Cypr, mieliśmy tam swoje przedstawicielstwo, chłopaki mnie ściągnęli. Angielska baza szukała specjalistów. Wyspiarze brali nas wtedy z otwartymi rękami: znaleźliśmy języki, byliśmy przeszkoleni. Kumple z Mieźtorgu, dawni czekańscy, namawiali: „Podpisuj, będziesz srać pieniędzmi”. Ale ja się jakoś nie mogłem przekonać. Wróciłem do kraju. Rozejrzałem się po tej nowej Rosji, cholera, wszystko nie tak. Ani ojczyzny już nie mam, ani pieniędzy. Co tu robić?

Prawdę mówiąc od zawsze chciałem iść do seminarium. Miałbym taką brodę jak wy i wszystko. W wieku 47 lat zdałem na Fakultet Teologiczny w Moskwie. Uczyłem się sześć lat. Potem zaproponowali, bym został. Ledwie dwa semestry u nich wykładałem, a tu nagle powiedzieli: „Bieda, przyjacielu. Masz za bardzo prozachodnie poglądy. Nie po drodze ci z nami”. Święty Franciszek i Serafim Sorowski płyną w jednej łódce, nie mam co do tego wątpliwości. Ale oni mieli inne zdanie. A jakże ja mogę potępić katolików? Ja mam przecież stamtąd żonę, dzieci. Jak mi się ich wyprzeć?” Tym bardziej, że małżonkę zawsze kochałem.

Duchownym też nie mogę zostać, bo żona musiałaby

przejsz na prawosławie. Spytałem ją nawet: „Przejdiesz?” Ona: „Mogę to dla ciebie zrobić, formalnie”. „Ale w duszy zostaniesz katoliczką”. „Oczywiście”. No to po co nam takie cyrki? Toż to zwykle sztuczki, na co one komu? Z dupy wzięta taka konwersja, wybaczenie za wyrażenie.

Jak Bogu wygodnie, tak się wszystko ułożyło.

Zamyśla się.

Ja już tyle się w życiu naciskałem, wyleżałem w lazaretach, że już mi starczy.

Duszmani, czorty jedne, okrutnie mnie pobili. Brali żelazne klamry zdarte z trupów naszych żołnierzy i tymi klamrami napierdzielali mnie po głowie. Całą mi czaszkę obtłukli, jak skorupkę. Potem dostałem jeszcze ranę odłamkową. Cztery miesiące przeleżałem. Potem dwa ataki serca, trzy wylewy. Dlatego teraz łączę powolutku, żeby tylko syna jeszcze trochę podchowac i w drogę.

Znów cisza.

Rosja taka dziwna: służymy dla niej i służymy, a jaki sens tej służby? Burdel jaki był, taki jest. Bo i cóż to takiego ten oficer? Całe życie idziesz, od garnizonu do garnizonu. Niby jest potem co wspominać, ale czasem zdaje mi się, że ja w ogóle nie miałem życia, że w zadek wsadzić wszystkie te wspomnienia. Życie przeżyłem, a jakbym nie żył. Niby dom zbudowałem, ten cottage mamy naprawdę piękny i kaplica fest. Ale po właściwie żyłem, w imię czego wszystkie te starania? Nie chodzi wcale o to, że nie ma już Związku Radzieckiego, czy o inne takie bzdety. Tylko w duszy odzywa się taka pustka.

Wasza Armia Krajowa miała niegłupie hasło: „Bóg, honor, ojczyzna”. Zawsze mi się podobała ta dewiza. Ja już kiedyś mówiłem, że ci z AK powinni też dostać renty, ale wtedy odpowiadano mi, że za dużo chcę. Ale to paskudna sprawa: wojujesz, a potem ładują cię do pudła. Ohydne. Ja jako człowiek frontu mogę sobie wyobrazić, jaka to trauma.

Mam dobrego znajomego generała, mój były szef. Powiedział mi: „Teraz do wojska na kontrakty idą kompletni degeneraci”. Generał każe im wyrecytować dowolny

wiersz, a oni nie znają żadnego. Kompletna katastrofa. To mięso armatnie, biorą ich na zapchajdziury. Urucho mię wszystkie kontakty, żeby syn tam nie trafił.

Chociaż syn chce do wojska. Mówi: „Skończę Instytut Medyczny i pójdę służyć”. Ja mu: „Synku, nie trzeba. Mamy w rodzinie kupę oficerów, godni szacunku, zuchy, orderów nabierali tyle, że jakbyś zaczerpnął, nabrałbyś pół wiara. Ale żyją w biedzie. Idź lepiej synku do cywila”. „Nie, ja chcę do wojska”. „Nie trzeba. Jesteś moim jedynym synem, chcę byś został żywy. Lepiej już idź do ojca Tadeusza Szyjki i machaj mu kadzidłem”.

Pascha

Zielonoświątkowcy świętują skromnie wśród bloków. Wielcy faceci zasiadają na krzeselkach, siostry wnoszą ciasto, potem prorokują, wierzą w mówienie językami, dary Ducha Świętego, dary uzdrowienia. To nie tak, że sami wybierają proroka przed mesą. Bóg rozdaje karty. Oni tylko weryfikują prawdziwość przekazu „Dobrze, twierdzisz, że Bóg ci to powiedział. No to sprawdźmy, czy słowa pokrywają się z Pismem. Nie pokrywają się? Bracie, zbłądziłeś. Pokrywają się? Dobra, w takim razie musimy się razem zastanowić, co Bóg chciał przez to powiedzieć”.

W tej samej dzielnicy odpawia mszę jak pastor. Wszystko podobnie, jak u baptystów. Adoracja w nowoczesnej formie, z syntezatorem, choć nie tak nakręcona, jak u charyzmatyków. Msza w stylu „Eagles” – tak ją nazywają. Potem kazanie, modlitwa, oczekiwanie w ciszy na obecność Boga. A potem obowiązkowa herbata, pogaduchy, ciasteczka.

Władimir Aleksandrowicz pójdzie na mszę do katolików. Teraz jednak zanurzył się w cerkwi, postawił świeczki za swoich. „Widziałem u nas katolickie siostry zakonne, dobrze, że się u nas modlą, że nas szanują. Dostrzegam to wszystko”. Pascha rozbłysła w kadzidle, spłynęła wielogłosem pieśni i krzykiem pojedynczych wiernych, wbiła w trans, rozbijała w czasie wielogodzinnego stania. Prawosławny Andriej Babin, długowłosa historyk, który

kiedyś przyszedł na spotkania ekumeniczne, by rozbić dyskusję i nawrócić rozmówców, zszedł na dno studni. Spotyka się z Bogiem, z duchowieństwem nie wchodzi jednak w dyskusję. Andriej nie przyznaje się prawosławnym ojcom do przyjaźni z grupą ekumeniczną. Gdyby się dowiedzieli, gdyby go upomnieli – pewnie by kontakty zerwał.

- Wiem, że jeśli duchowni prawosławni, których biskup obrócił już w ortodoksyjnych zombie, dowiedzą się o moich kontaktach, to z pewnością nakażą mi przerwać mój rzymski romans. I ja tak uczynię. Z wielkim bólem. To wschodnie myślenie: kazali-wykonaj. Nic na to nie poradzę.

U katolików pełen kościół.

Kulminacja Paschy.

Męka i zmartwychwstanie.

Świętłana zostaje ochrzczona.

Po mszy wychodzi Raszyd Gizatowicz. Mówi w imieniu rządu. O terroryzmie, ofiarach. O tym, że dobro zawsze zwycięży. Mówi krótko: „Bóg jest miłością”. A potem krzyczy: „Christos woskriesie”. „Woistinu, woskiersie” – wierni podrywają się z siedzeń, klaszczą gromko.

A potem kościół milknie, gasną świece. Rozbłyskają za to ulice, Prospekt Mira mruga neonami, lampkami i zmienia się w Tokio. Raszyd Gizatowicz żegna się grzecznie, wsiada w sapiący autobus „Lwów”, odjeżdża do cerkwi, musi odwiedzić dziś wszystkie konfesje. Buczące ciepłym basem trolejbusy przetaczają się stadami po prospektach i znikają, wioząc ostatnich pasażerów w stronę monastyru.

Władimir Aleksandrowicz, stary wiarus, komandos, oficer bezpieczeństwa, powie po mszy, siedząc w opustoszałej klasztornej jadalni:

„Pierwszy raz mam taką Paschę. Zwykle świętuję w domu, na piętrze zbudowaliśmy kaplicę. Z jednej strony Irina ma część katolicką, z drugiej ja się modlę. Żona wróciła wczoraj do domu autobusem, a ja postanowiłem zostać. Chrzańię. Posiedzę tu sobie troszkę, co mi szkodzi? Zamotałem się nieco w tym wszystkim, Pascha mnie tu ukoi”.

Wołodia Sirotkin, zabójca kierowcy toyoty corolli, rzuci:

„Wszedłem dziś do mieszkania, zrozumiałem nagle, że to mój dom. Własny. Za co Bóg mnie tak pobłogosławił? Nie dałem mu niczego, niosłem samą rozpacz i smutek. W pierwsze dni po ślubie zdawało mi się, że jestem kimś innym, że to musi być czyjeś inne życie. Żona pytała: „Przywykłeś już?”. Ja: „Daj mi jeszcze trochę czasu”. Budziłem się w nocy, nie mogłem się zorientować, gdzie jestem, nie rozumiałem, czemu jest ciemno, czemu nie świeci więzienna żarówka.

Na swoją przeszłość patrzę jak na historię kogoś bardzo mi bliskiego. Nie przyjmuję jej jednak jako własnej biografii. Niewiele lat minęło. Dziewięć. Ale ja mam inne wnętrze. To, co się stało, to jakiś straszny sen, który nie mnie się przyśnił. Mnie o nim tylko opowiedziano. Ta przeszłość to koszmarna i niepotrzebna nikomu opowieść”.

Z rodziną zamordowanego Władimir nie spotkał się, choć miał taką możliwość. Mówi, że zabrakło odwagi. I że prosić o wybaczenie jest trudno. Zrobił to co prawda w sądzie. Ale co te słowa znaczą?

Mama zabitego podczas dwuletniej rozprawy kompletnie osiwiła. Żona jest wykładowcą. Mieszka w miasteczku, z którego Wołodia pochodzi. Dlatego wyprowadził się do Krasnojarska. Żeby na nią nie trafić. „Modlę się, żeby Bóg pomógł jej wybaczyć. Bo żyć bez wybaczenia to potworny ciężar. Proszę więc dla niej o więcej, niż zapomnienie. Bóg robi swoje. Spotkam się z nią na drugim świecie. Tam się wszystko rozstrzygnie. Tam pogadamy”.

Świętłana Sierowa mówi, że nadal rozsadza ją śmiech. W katakumbach, jeszcze przed Paschą i chrztem, opowiadała: „Wierni mają twarze stroskane, płaczą nawet, a mi się chce ryczeć z radości. Milczę, powstrzymuję się, bo wiem, że nabożni wierni mogą mnie nie zrozumieć”.

„Ależ pani ma w czasie mszy śmiertelnie poważną twarz, ta powaga, smutek aż przyciąga wzrok” – podniosłem głos ze zdziwienia.

Sierowa na to: „Mam po prostu silny mechanizm obronny. Maskuję się”.

O mszy i chrzcie powie:

„Nie rozumiem tego, co się dzieje. Mogę co prawda się-

gnąć do mego filologicznego skarbcza, ubrać to wszystko w stosowne zwroty, metafory, obwiesić epitetami, owinać peryfrazą. Ale ja teraz muszę się skupić na tym, żeby przyjąć to, co otrzymuję”.

A potem przychodzi noc. Zakon śpi, na klasztornych schodach krzepnie woda. Ojciec Maksym – charyzmatyczny ksiądz i psychoterapeuta, stoi samotny w kuchni monastyru. Opiera się o blat. Opowiada, jak w 1998 roku obraził się na Boga po raz drugi:

„Obraziłem się potężnie. Zachorowałem bowiem na stwardnienie rozsiane. Obraziłem się na Boga tym bardziej, że jako medyk wiedziałem, co to oznacza i ta świadomość była straszna.

Powiedziałem: „Boże, nie rozmawiam z Tobą”. Chciałem być misjonarzem. Chciałem zrobić minimum dwa doktoraty. Chciałem być wielką gwiazdą ewangelizacji (oczywiście nie największą, bo tą jest Najświętsza Maria Panna). Teraz każdy dzień mnie bardzo dużo kosztuje. Trudno jest mi się poruszać, każdy poranek otwiera się bólem, każdego dnia albo się zsikam, albo inaczej dopada mnie fizjologia. Ta choroba cholernie upokarza. Sterydy też robią swoje. Wcześniej byłem przystojny. Już nie jestem.

Pozostaję niedołączony. O wiele słabszy niż inni kapłani. Każdy dzień dziękuję, że mogę odprawiać mszę świętą, mogę spowiadać. Gdyby nie choroba, nie wiedziałbym, że jest tyle otwartych serc. Pomagają mi w rehabilitacji, organizowaniu leczenia w Rosji, za granicą.

Nie potrafię za to odpłacić.

Doktoratów nie mam, zyskałem za to cztery wykształcenia wyższe, znajomość dziewięciu języków i pracę psychoterapeuty. Dostałem nadzieję. Dostałem więcej, niż marzyłem.

W Krasnojarsku zaczął się mój silny wzrost duchowy. Krasnojarsk to miejsce zaciętej walki. Walki o życie. Walki o powołanie. Walki o wiarę. Można mieć z Bogiem bardzo dziwne relacje. Ale On jest nam wierny, odkrywam to każdego dnia. Klóciłem się z Nim, targowałem. Sporo było łez, sporo było gniewu i korzenia się. Bezkonfliktowe relacje są relacjami martwymi”.

Lód. Ciemność. Szosą w dole suną taksówki, kolczaste opony łkają na lodzie. Jenisej zrzuca w dół kłęby mgły, tłoczy miejskie światła, rozpuszcza je w nocnym korycie. Minęła północ. Jest Wielkanoc.

Reportaż jest fragmentem książki „Krasnojarsk zero”, napisanej wspólnie z Bartoszem Jastrzębskim (wydawnictwo Sic!, Warszawa 2012)

Tekst w skróconej wersji ukazał się w miesięczniku „Więź”

Trawka Czyngiz-chana

Jędrzej Morawiecki

„Dynamika chrześcijaństwa jest zbyt silna, by je zlekceważyć. Czas na nasz ruch” – biją na trwogę progresywni szamani w Buriacji. „Brali nas przemocą, teraz niszczą nas pieniędzmi. Globalizacja to nowa nazwa kolonizacja” – ostrzegają konserwatyści. „Jesteście produktem na półce religijnego supermarketu. Musicie się dobrze opakować, najlepiej robić to razem” – przekonują przedstawiciele rządu i czekają na decyzję.

ilustracja: Maria Magdalena Morawiecka

- Trafiliście na niezwykły czas. Szamani się jednoczą, to moment historyczny – mówi na wstępie Walentyna Iwanowna Charitonowa z Instytutu Etnografii i Antropologii Rosyjskiej Akademii Nauk. Wyszukuje namiary, podaje nam adresy, pomaga jak może.

- Oni wszyscy są bardzo nowocześni i jednocześnie uduchowieni. W Buriacji będzie wam dobrze – zachęca jeszcze. Później zaś charakteryzuje kolejne szamańskie organizacje. Mówi o Tengere, najsilniejszej z nich, zorientowanej na statystyki, na wypracowanie liczby adeptów, gwarantującej dobrą pozycję zjednoczeniową i poparcie rządu. Stąd tempo święceń – zawrotne wprost (teraz nowi szamani produkowani są w jedną dobę, do tej pory mówiło się o trzech, czterech dniach...).

Później kolejne opowieści: o organizacjach niezwykłych, o grupach pośredniczących w kontaktach z wodnymi duchami, o mistrzu-założycielu, który fotografuje wezwane dusze, potem obrabia je w komputerze... Albo o cudaku, co siedzi na górze (tak go nazywają), o człowieku, który posiadał maskę wodnego smoka... O barwnym szamanie Bazarowie, który się od Tengere oddzielił, znikł gdzieś, jest ponoć za miastem...

Rozmawiamy o atrybucie, o wchłanianiu symboliki chrześcijańskiej. Szamani posługują się więc ikoną świętego Mikołaja. Krwawe ofiary składa się również często bożkom, kryjącym się w ikonach Chrystusa i Matki Boskiej...

Weryfikujemy źródła, przywołujemy rosyjskie reportaże. Opowiadamy Walentynie Iwanownie o tym, jak dziennikarze tygodnika „Ogoniok” opisując swą podróż po rosyjskiej północy trafili na lekarza, który przenocował ich na szpitalnych łóżkach. Ojciec doktora został wysłany w nagrodę za dobrą pracę do Moskwy, skąd przywiózł miedziane popiersie Puszkina. Kiedy wyciągnął je z bagażu i okazało się, że jest zielone, popadł w konfuzję. „<<Bożek – powtarzał ciągle, - rosyjski bożek>>”. Ojciec był poganinem, wierzył w całe mnóstwo bóstw, których figurki ustawiał nieopodal czuma¹. Poczetne wśród nich miejsce zajął zielony rosyjski bożek. Z punktu widzenia ojca wszystko odbywało się jak należy: wielki poeta, a więc – silny duch, a skoro silny duch, to - bożek. Tyleż razy ojciec chodził do popiersia i prosił je o dobrą

1 Jurta ludów północnych.

pogodę albo o pomyślność dla hodowli jeleni. A kiedy zabijał jelenia, zawsze kazał mi pomazać bogów świeżą krwią i zawsze pytał, czy na pewno pomazałem boga rosyjskiego. Puszkina stał się dla niego czymś w rodzaju głównego bóstwa. I nawet kiedy próbowałem, uzbrojony w chemiczne teorie, udowodnić, że nie było tu żadnego cudu, ojciec wysłuchiwał mnie i mówił: <<Jesteś jeszcze młody. A ja poprosiłem go wczoraj o czyściutkie słońce i proszę – jest czyste. A ty mówisz, że on nie jest Bogiem. Każdy, kto pomaga – jest Bogiem>>².

Siedzimy w moskiewskim wieżowcu Rosyjskiej Akademii Nauk, wspominamy teksty, Walentyna Iwanowna wzrusza zaś ramionami:

- I cóż w tym dziwnego? Moi koledzy, wielcy akademicy, karmią swoich bożków w domach, zamawiają u nich pogodę. Przypuszczam nawet, że to działa. Każdy z nas ma w głowie masę śmieszności, ja i wy również. Nie jesteśmy od nich lepsi!

Potem jest pociąg. Jak zwykle. Chińsko-mongolski skład sunie przez tajgę, pędzi już cztery dni. Z każdą dobą coraz bliżej zimy. W końcu w palarni lód podpełza pod drzwi, okleja poręczce. Za oknem widać ciężarówkę, sunącą przez skutny biały Bajkał. Jesteśmy w Buriacji.

Ułan Ude, stolica republiki. Szukamy szamanów miejskich, tych zanurzonych wśród składów i fabryk. Kamlających wśród bloków, karmiących ciasteczkami biurowe duszki i modlących się do strzegących miasta Czterech Zachodnich Staruch. Patrzymy na szamanizm niezwykły, bezpowrotnie skłębiony, spleciony z buddyzmem, porwany, potrzaskany przez komunizm, odtwarzany przez naukowców, którzy z początkiem lat 90. wdziali szamańskie szaty. Widzimy szamanizm sięgający do pierwotnych części mózgu i aspirujący do nowoczesno-

2 В. Чумаков, Настоящее приключение, „Огонек” 2001, № 32, с. 24-29.

ści, szamanizm anarchiczny i korporacyjny zarazem. Dziki, nieprzewidywalny, za chwilę jednak pragmatyczny.

Mijają dni, płyną rozmowy. Słuchamy tych, co wcześniej byli prominentami w partii, jak Elwira Nakientiewna Sawikowa. Rozmawiamy z tymi, którzy nim zapadli na szamańską chorobę, pobierali haracze dla mafii, teraz zaś kamlają i jednocześnie piastują dyrektorskie stanowiska w korporacjach. A także z takimi jak Borys, mężczyzna o wiecznie spoconych rękach, z chłopakami prostymi jak on, ludźmi z wioski, ludźmi, których szamanizm wyciągnął z kliniki dla nerwowo chorych i otworzył przed nimi wielki świat. Stoimy w świątyni pod otwartym niebem, stworzonej przed Stowarzyszenie Tengere na przedmieściach Ułan Ude. Obchodzimy hułte (miejsce mocy) zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Bryzgamy wódką w śnieg, wlewamy w ziemię całą butelkę. Otwieramy usta, gdy w nas wódką plują. Chodzimy na czworakach – tak jak wszyscy. I jak wszyscy - nastawiamy plecy, które duch okłada kijem. Patrzymy na transowe tańce. Widzimy jak w szamanów wchodzi przodkowie, jak przez nich przemawiają, jak ich potem trzeba na powrót z szamana wydobyć. Słyszymy, jak kolejni szamani dostają torsji, wymiotują do plastikowych miednic. Tak być musi, taka jest procedura.

A potem kolejne obrzędy, kolejne objazdy, spotkania. Z szamanami i szamanistami. Dobrymi najczęściej, bezinteresownymi. Z tymi, którzy zarywają dla nas czas, przeznaczony dla rodziny. Z tymi, co mówią o swym wyczerpaniu, o pobytach w izolatkach szpitali psychiatrycznych. O przerażeniu żony, gdy przyznali się przed nią, że widzą znaki. Opowiadają wreszcie i o swoim własnym strachu, strachu ciągłym, bo im głębiej wchodzi się, im więcej wiesz, im dalej zapuszczasz się w podziemny świat, tym więcej wymagają od ciebie duchy. A odwrotu z tej drogi już nie ma...

Mówią jednak szamani również o misji. O posłudze ludziom. Bo prawdziwym szamanem staniesz się wtedy, gdy zaczniesz odczuwać ból pacjenta jak swój własny. Zniszczyć zaś mogą cię nie tylko duchy. Zabić cię może дума własna. Dla szamana nie ma nic gorszego niż pycha.

Płyną kolejne wywiady, głowa puchnie, na głowie zaś włos dęba staje.

W końcu nadchodzi jednak kulminacja. Historyczne zebranie.

- To dzieje się po raz pierwszy. Nigdy jeszcze szamani tak różnych rodów i plemion nie spotkali się w jednym miejscu. Musimy się zjednoczyć. To konieczne – mówi szaman Igor Olzozew stojąc przed ekskluzywnym szpiczastym hotelem „Biały koń”. W środku są już wszyscy. Nie tylko ci z Tengeri. Nie tylko z Ułan Ude i Buriacji. Zjechali się tu także ci, co szamanią nad Bajkałem. Są wreszcie przedstawiciele organizacji spoza republiki. Na sali rozlokowali się również dziennikarze z czterech telewizji. Zasiadli już piszący reporterzy z dyktafonami. Naukowcy wcinają jeszcze darmowe mięsne przekąski w pobliskim bufecie. Przedstawiciele administracji przeglądają papiery.

- Koledzy! Wyżyliśmy pomimo wielowiekowych prześladowań, pomimo represji carskich i komunistycznych – rozpoczyna Bair Żambałowicz Cyriendorżyjew, prezes stowarzyszenia Tengeri. Mówi do swych uczniów, mówi do konkurentów, kolegów z innych, bardziej ortodoksyjnych organizacji i szkół. Zwraca się jednak również do dziennikarzy, do pełnomocnika prezydenta Buriacji, do przedstawicieli rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dodaje więc zaraz:

- Szamanizm odegrał kluczową rolę we włączaniu Buriacji do Rosji. Powinniśmy być z tego dumni. Ludzie chcą przywrócenia utraconej duchowości, a szamanizm to duchowość potężna, w bowiem szamanizmie musisz znać własne korzenie, przodków, ród. Szamanizm w przeciwieństwie do innych religii nie zna granic rasowych ni terytorialnych, dlatego że czerpie religię z kosmosu. Musimy się zjednoczyć na poziomie światowym. Jedynie szamanizm ze wszystkich kontynentów uratuje nas przed globalną katastrofą. Niech nas błogosławią

Ojciec Niebieskiego Nieba i Matka Ziemia! Niechaj poszanowanie innych religii da nam potężną siłę duchową.

Wtóruje mu szaman Dorżyjew, również z Tengerii:

- Ludzkość stacza się w kierunku wojen i klęsk ekologicznych. Dlatego nasza działalność jest tak ważna.

Później jednak Dorżyjew przechodzi do suchych sprawozdań: największa organizacja szamańska w Buriacji zarejestrowała się w sierpniu 2003 roku. Obecnie zrzesza 200 szamanów, 50 z nich praktykuje regularnie. Budują kompleks świątynny. Mają filie w Moskwie, Petersburgu i Berlinie. Co roku spotykają się na wyspie Olchon – „w sakralnym sercu Syberii”.

Następnie raporty z innych regionów. Wśród nich – sprawozdanie Igora Olzozewa z ROSz „Burred”:

- Od dwóch lat mamy radę wspólnot szamańskich w Przybajkalsku - mówi. - Nazywamy się szamanistami, nie szamanami. Chcemy w ten sposób poszerzyć formułę.

- Przyjechałem tu z Obwodu Irkuckiego – przedstawia się z kolei szaman Bałtajew z Chuče Tengeri. - Myśmy się dopiero zarejestrowali. Zrobiliśmy to, bo czujemy ciśnienie polityki, globalizacji i konkurencji ze strony innych religii. To nas zmusza do zjednoczenia pomimo różnych panteonów. Dynamika chrześcijaństwa i islamu jest w Irkucku bardzo silna. Należałoby stworzyć pełen spis miejsc kultowych i rejestr szamanów, tak by wiedzieć z kim właściwie rozmawiamy.

- Rejestr szamanów nie jest potrzebny – Cyriendorżyjew studzi zapał młodzieńca. – Zrobili to już za nas w Moskwie. Nie zapominajmy, że i ta konferencja jest organizowana przy pomocy rządowej. Pamiętajcie, że rząd żąda dialogu, czeka na nasz głos, na naszą decyzję, podjętą już dziś, podczas tego spotkania.

A oto i on. Ten, o którym mowa. Idzie właśnie przez salę. Drobna twarz, drapieżne wąsy, oczy wilka. Przewodniczący Komitetu ds. etnicznych i inicjatyw obywatelskich przy Prezydencie i Rządzie Republiki Buriackiej Michaił Aleksandrowicz Charitonow zaczyna twardo, konkretnie:

- Nie macie swojego Watykanu, nie macie Moskwy. Scentralizowane organizacje, nawet jeśli zostaną wyparte z regionu, zachowują strukturę i mogą powrócić. Tymczasem los szamanizmu zależy tylko od was, od tych, którzy siedzą na tej sali. Niegdyś szamanizm był wysysany z mlekiem matki. Teraz zaś religia jest towarem, usługą. Wybaczcie mi tak proste i bezpośrednie sformułowanie, tak jednak jest. Od tego, jak zorganizujecie sieć usługową, zależy podejście ludzi do was. Przychodzą do was jak do sklepu, pierwsze wrażenie może w nich pozostać na całe życie. Oni porównują, licytują się, kto korzysta z usług silniejszego szamana. Nie tylko do was jednak przychodzą. Oni odwiedzają również dacan i cerkiew, później zaś wyciągają wnioski. A może najbardziej usatysfakcjonuje ich wiedźma, czy babuszka, która ich trochę podleczy? Twórzycie, szanowni szamani, historię. Jesteście potrzebni kulturze buriackiej.

Później kolejni urzędnicy, kolejne raporty. W ślad za nimi podążają zaprzyjaźnieni z administracją akademicy, którzy rozkręcają naukowy support, motywują do integracji. Profesor dr hab. M.D. Zomonow (hermeneuta, semiotyk) zapewnia więc z żarem:

- By dojść do globalnego społeczeństwa i globalnej filozofii, światu nieodzowny jest szamanizm. Pamiętajcie jednak, że szaman nie może być już tradycyjny, nie należy się już bać przedrostka „neo”. Jesteście pierwszymi neoszamanami i nic w tym złego.

Współczesny szaman musi być świetnie wykształcony, ma mieć stopień doktora bądź habilitację, nie zaś tytać złym wzrokiem i włóczyć się w starych szatach.

- Tak, szaman nie musi się już ubierać jak kiedyś, byle zachował symbolikę - przyznaje mu rację potężny Borys Dugarowicz Bazarow z BOO Darchan.

Bair Żambałowicz Cyriendorżyjew rzuca zaś, nawiązując do spraw uniwersyteckich:

- Nie tylko my się doktoryzujemy. Pozwalajmy również nas samych opisywać. Ostatnio Amerykanka i Słowak zrobili na nas habilitacje. I bardzo dobrze. Musimy również współpracować z mass-mediami...

- To prawda. Trzeba myśleć, jak przetrwać w stęchłym światłym świecie – kiwa głową Bazarow. Zaraz jednak

dodaje: - Globalizacja to nie tylko szansa, to również pułapki. Zapomnieliśmy, że szaman to lekarz, myśliciel, polityk, strateg. Szaman musi ciągle nad sobą pracować. By stać się szamanem rodowym, należy przejść etapy: samowyznaczenia i samoutwierdzenia, co dotychczas trwało 18-20 lat i było kontrolowane przez radę starszych. A teraz? Tydzień temu był nikim, nagle stał się szamanem. Ledwie skończył 10 klas a buduje system moralny na poziomie doktora. I powstaje mętlik. Należy taką praktykę ukrócić.

Głosy z sali: Słusznie, Borys Dugarowicz!

Igor Olzowjew wstaje z krzesła, podnosi ręce, wyraża swe poparcie:

- Zgadzam się z Borysem Dugarowiczem w stu procentach. Przychodzi do mnie masa młodziaków, mówią: „powiedziano nam, że mamy być szamanami”. To niebezpieczne, bo jak przejdziesz obrzędy, ale nie praktykujesz, to robi się bieda. Duchy cię wykończą i po sprawie. A potem zabijają kolejnych potomków w linii męskiej. Sami to wiecie, to przecież elementarz kamłania. A są i tacy, co praktykują co prawda, przechodzą kolejne święcenia, ale nie byli ni razu na ziemi swoich przodków...

- Do zguby szamana prowadzi także taryfikacja usług – dodaje prezes Tengeri.

- Prawda, Bair Żambałowicz! – ożywia się Igor Olzowjew.

- Szaman powinien być dostępny dla ludzi biednych i bogatych, dla ludzi wszystkich ras.

- Dlatego właśnie żądamy od irkuckich szamanów, by zaprzestali wyjazdów na tournée po prowincji – podnosi głos szaman Wiktor Dażyjewicz, pierwszy uczeń Baira Żambałowicza. - Oni zbierają od każdej wsi po cztery-pięć tysięcy rubli, działają w sposób nieuzgodniony z regionalnymi radami szamanów. To degradacja, to skandal.

- A wyjazdy zagraniczne? Koledzy: czy my jesteśmy Żydami? – pyta retorycznie skośnooki Olzowjew. - Gonimy po świecie za pieniędzmi, a przecież mamy własną buriacką ziemię. Nie pojmuję tego.

- Jeździć można, ale nie wszędzie – Bazarow próbuje ocalić choćby częściowo ideę szamańskich saksów. – Przyznaję jednak, tournée do Włoch czy USA są rzeczywiście idiotyczne. Tam nas przecież nie rozumieją, tam mają inny panteon. Do Afganistanu, Armenii – jeździć

warto. My możemy pracować tam, dokąd dotarł Czyn-gis-chan.

- Przyjdzie czas i na Europę – wieszczy uczeń Wiktor. - Tamtejsza młodzież zmęczyła się pustymi dogmatami i kanonami. Oni są już nazbyt rozwinięci intelektualnie, by pozostawać w katolicyzmie, czy w ogóle w chrześcijaństwie. Pamiętam, zapowiadałem w telewizji belgijskiej wielkie kataklizmy. To był 2003 rok, śmieli się ze mnie wtedy, a teraz proszę, mają za swoje. Ludzie zapomnieli swoich bogów i płacą za to cenę. Najlepszym tego przykładem jest kryzys ekonomiczny w Grecji.

- Dlatego właśnie w Grecji wracają do Jazona – ożywia się Michaił Georgiewicz z BOO Murgeł. - W Anglii również zwracają się ku swym bogom. Ludzie ciągną do neopogaństwa, jesteśmy więc dla nich atrakcyjni.

Szaman Wiktor ciągnie zaś:

- W Europie budują sobie bunkry, żeby przetrwać 2012 rok. Wystaliby te pieniądze do nas, my byśmy z powodzeniem wszystkich obronili. Propozycja pierwszego ucznia Baira Żambałowicza budzi entuzjazm na sali.

Do dyskusji włączają się na powrót naukowcy:

- Biała rasa wymiera, to jest już jasne – konstatuje bezlitośnie profesor Zomonow, filozof o mało azjatyckich rysach. Następnie zaś krytykuje europejską cywilizację, do której sam, chcąc-nie chcąc przynależy: - Racjonalne myślenie to myślenie bezduszne, to myślenie robotów. Dlatego duchowość ginie. Szamanizm pozwoli jednak na powrót zjednoczyć się z kosmosem. Kiedyś ludzie mogli przemieszczać się w ciągu chwili w dowolny punkt wszechświata. Dlatego znali układ gwiazd, wiedzieli o Syriuszu. Poczytajcie Rericha! Tam wszystko opisane. Lamowie do tej pory się teleportują, wchodzą w radarowe myślenie, które wy nazywacie transem. To samo potrafią czynić dzieci do 15 roku życia. Możesz im również postawić książkę na półce, one będą leżeć pod nią na łóżku i czytać. Nie wiadomo tylko jak oddzielają poszczególne strony....

Kolejny akademik przechodzi od filozofii do omówienia

badan empirycznych:

- Nasze dary i zdolności paranormalne będą służyć ojczyźnie, tak samo, jak mój ojciec służył jej pod Stalingradem. Nie wierzyłem, że można rozpędzić, czy zatrzymać wicher. Zbadałem sprawę – okazało się, że można. Udowodniłem, że szaman zarządza pogodą. Są ludzie, którzy potrafią regulować przyrodę na poziomie regionu. Jeden z nich stoi przed wami.

Teraz badam bioinformacyjne kontakty ludzi z roślinami. Testuję sposoby wejścia na wyższy poziom informacyjny. Wypiłem pięćset gram alkoholu na raz. Potem zrozumiałem, że to złe podejście. Trzeba bryzgać, to jest potrzebne przyrodzie. Takie oto badania prowadzę. Napisałem książkę o systemie energetycznym człowieka, włącznie z jasnowidzeniem, ale to już sprawa poważna, trudna, bo od jasnowidzenia może rozboleć głowa.

- A wiecie skąd są te bóle głowy? – pyta go Bazarow. - Z powodu atrybutów, które posiadają dualne pole energetyczne. Kiedy szamanie, to 25 procent mocy wypływa ze mnie, 75 procent otrzymuję z zewnątrz, dzięki atrybutom. Co do wódki zaś – macie absolutną rację. Bryzganie to nie poczęstunek dla duchów, to nie podejmowanie ich, zupełnie nie. Chodzi w tym o dualizm wody i ognia, widoczny tak samo w świątyniach islamskich i w prawosławiu. Tam też mają wodę i świece. My natomiast używamy wódki. A czym wódka różni się od wody? Dzięki procentom posiada 15 razy większą pojemność informacyjną. Wódka to nie poczęstunek, to nośnik informacyjny, z którego korzystam ja i moi reinkarnowani przodkowie, z którymi pracuję w trakcie seansów. A wiecie, dlaczego alkohol zniszczył buriackich szamanów? Do lat 30. pito tylko wódkę mleczną. A potem wykończył nas „stalinskij pajok”, racja spirytusu, wydzielana na froncie. Nasza modlitwa zamieniła się w pijaństwo. Szamani muszą walczyć z alkoholizmem.

- Niech błogosławią nas w tej walce duchy przyrody i Bajkału! – wykrzykuje Michaił Georgiewicz z BOO Murgeł. Bazarow ciągnie zaś:

- Musimy zrozumieć, nie jesteśmy tylko Buriatami, nie jesteśmy szamanami mongolskimi. My jesteśmy szamanami Centralnej Azji. Pamiętajcie, że typowo mongolscy szamani byli złamaizowani. Dlatego oduczyli się wojsować. Budda zabronił im walki i upadli.

Nasz panteon jest inny! Musimy się zbliżyć maksymalnie do panteonu miejscowego.

- Tak, tak, autorytet szamanizmu mogą zrujnować przyjezdni – zgadza się Michaił Charitonow, który jest ciągle obecny na sali i obserwuje z ramienia rządu przebieg spotkania.

Bazarow zaś narzeka na importowane ruchy:

- Pojawiły się u nas jakieś szkoły na telefon, reklamowane w telewizji. Nie wiem co to za szamanizm, wiem natomiast, że on idzie właśnie z Mongolii, wiem, że ci ludzie zajmują się jakimiś bzdetami. Po jakiemu oni kamlają? Sami nie wiedzą, co czynią. Ładują się w podziemia i potem wariują, tracą zdolność logicznego milczenia. Przeprowadzono do mnie czwórkę takich rozbitków. Trzech z nich udało mi się wyprowadzić, z czwartym nie dałem rady, siedzi teraz w wariatkowie. To Mongołowie go doprowadzili do takiego stanu. Ich działalność kładzie się cieniem na wszystkich szamanaów.

- Nie zapominajcie o prawosławnych! – włącza się Michaił Georgiewicz z BOO Murgeł. - Oni też nas chcieli zlikwidować. Kiedyś jednak było się nam bronić łatwiej. Oł, choćby wtedy, gdy zaciągnięto jednego z szamanów do arcybiskupa i gubernatora Irkucka. Batuszka chciał go powiesić. Szaman jednak zdjął sobie podczas przesłuchania głowę i trzymał ją pod pachą. No to się go przestraszyli i puścili wolno. A jak wracał, szedł pieszo po rzece, ślady na wodzie utrzymywały się przez sekundę, było więcej takich, nie tonęli ani nic. W ciągu chwili wskakiwali na czubki drzew. Trudno teraz takich zuchów znaleźć.

Cyriendorzyjew uspokaja:

- Nasz wielki szamanista Czyngis-chan nigdy nie niszczył świątyń, w swej stolicy wznosił i cerkwie i kościoły i meczety. Musimy, idąc jego śladem, odnosić się z szacunkiem do innych religii.

- O tak! Czyngis-chan nie pozwolił skrzywdzić nawet trawki, bo takie źdźbło to również myśląca struktura. Wszyscy to wiedzą – kiwa głową Borys Dugarowicz Bazarow. - Musimy tolerować chrześcijan i buddystów. Chrzesz to nic strasznego. Wiemy przecież, że Bóg jest jeden. Nie ma znaczenia, czy idziesz przez most Buddy, czy Mahometa. Inna rzecz, że wraz z buddyzmem przyszło do nas w XVII wieku wielobóstwo. Powiedzmy to

jasno: jakbyśmy tego faktu nie wypierali, to była religijna inwazja. Ona doprowadziła do destrukcji szamanizmu. A i teraz Chambo-lama brzydko się do nas odnosi. Na zawodach wystąpił otwarcie przeciwko nam, donieśli mi o tym sami sportowcy. To bardzo źle. Powiedział podobno: „Zniszczyłem komunistów, teraz wezmę się za szamanów”. Tak nie wolno.

- Sami się pogrążamy – bije się w piersi Igor Olzowej.

- Niektórzy z nas zaczynają obrzędy od modlitw buddyjskich, nie pomni, że szamani, prawdziwi szamani o głębokich korzeniach, nie byli zdolni zaakceptować wiary żółtych kapeluszy. Tę historię trzeba znać!

Bazarow zaś tłumaczy, że wszystkim winne jest obniżanie szamańskich standardów i brak infrastruktury:

- Młodzież nie ma się gdzie uczyć, dlatego odpływa do dacanów. Musimy wydłużyć czas szkolenia, zwiększyć liczbę prób, egzaminów. Dzięki temu zbudujemy kościec etyczny i przestaną nas krytykować. Teraz bowiem ludzie miotają się, odwiedzają buddystów, cerkiew, biegają od szamana do szamana, a potem roznoszą plotki, snują bajki. To tworzy niezdrową atmosferę.

- Mówi pan tak mądrze, powinien pan zostać kierownikiem Instytutu Szamanizmu Etnicznej Buriacji. I my już dziś możemy ten instytut powołać do życia – kusi Bair Żambałowicz Cyriendorzyjew.

- Nie, nie, ja jestem za stary – kryguje się Bazarow. – Lepiej razem to róbmy.

- O tak, o to właśnie chodzi.

Tymczasem przedstawiciele Stowarzyszenia Tengeri rozdają projekt gotowej rezolucji o powołaniu placówki. Na sali niepokój. Uczestnicy sympozjum hamują integracyjny entuzjazm Cyriendorzyjewa.

- Rzeczywiście, zjednoczyć się musimy, ale pewnych sfer ujednoczyć się nie da – oponuje szaman Szabajew. – Za bardzo się różnimy w duchach i obrzędach....

- Nie ma czasu na hamletyzowanie – kontruje krewki Amazgajew. – Stanęliśmy na nogi, władze nas akceptują. Instytut należy powołać jeszcze w tym roku.

- Od razu głosujemy, bo Chambo-lama będzie bruździć i lobbować. Od razu załatwmy sprawę – zapala się do

inicjatywy Bazarow.

Przedstawiciel Rady Szamanów Zabajkalskich kręci głową. Nie jest przygotowany, nie może podejmować decyzji w imieniu organizacji:

- Za nami stoi lud, nie mogę tak z marszu głosować. To nie kołchoz. Tę rezolucję trzeba zmiekczyć, bądźmy ostrożni, stwórzmy najpierw radę konstytucyjną...

- Dobrze, dobrze, dziękujemy, już starczy. Zrozumieliśmy waszą pozycję – przerywa mu Bair Żambałowicz Cyriendorzyjew.

- Ja się zgadzam z przedmówcą – zmienia nagle front Bazarow.

- Ale ja nie jestem żadnym kołchoźnikiem! – denerwuje się Cyriendorzyjew.

- Nie o to chodzi. Ja nie rozumiem po prostu struktury. Musimy stworzyć radę z gwarancją głosowania i wyrażenia własnego zdania. Rada ta musi mieć przy tym liczebność sakralną.

- Przyjechaliśmy tu, by się zjednoczyć, za pięć lat będzie za późno – gorączkuje się młodzieńki szaman z Irkucka i proponuje, by włączyć do rady konsultacyjnej uczonych.

Szamani głosują. Las rąk wystrzela w górę. Postanowione jednogłośnie – spotkają się w grupach roboczych, opracują projekt zjednoczenia. Musi powstać jeden kościół. Tradycyjny, buriacki, a zarazem światowy. Michaił Charitonow oddycha z ulgą i biegnie złożyć raport prezydentowi republiki. Szamani poprawiają garnitury, trzaskają drzwiami samochodów, odjeżdżają spod przeszklonego hotelu „Biały koń”. Przelatują Ułan Ude, rzucają monety duchom gór, leją im wódkę, proszą o dobrą drogę i mkną asfaltowymi odnogami w cztery strony stepu. Jadą pośpiesznie, jadą do nadbajkalskich miast i wioseczek. Grafiki napięte, tyłu ludzi czeka na pomoc... Tylko Michaił Georgiewicz z BOO Murgeł kręci głową: - Kiedyś mówiono: kolonizacja. Teraz powiadają: globalizacja. Biorą nas nie tyleż przemocą, nie wojskiem, a pieniędzmi – cedzi w końcu.

Szamani z Tengeri nie mają jednak wątpliwości. Trzeba słuchać wilczego Charitonowa. Nadszedł czas wielkie-

go rozdania. Gra rozpoczyna się podług nowych, nie do końca jeszcze znanych reguł. Może więc uda się zasiąść przy stole z niezgorszą pulą, zasiąść obok kolonizatorów. Jeśli manewr się powiedzie, jeśli rację ma buriacki i rosyjski rząd, to przy odrobinie szczęścia szamani zdolają wejść do gabinetu VIP-owskiego, do którego mają już swe klubowe karty prawosławni, buddyści, katolicy, a nawet protestanci.

Wiktor, pierwszy uczeń Baira Żambałowicza bardzo w tę inicjatywę wierzy. Podsumowuje więc z powagą:

- Nostradamus mówił, że znikną wszystkie religie i będzie jedna wiara. Daj Bóg, byśmy byli w awangardzie tej dynamiki.

Reportaż jest fragmentem książki „Cztery zachodnie staruchy”, pisanej wspólnie z Bartoszem Jastrzębskim. W skróconej wersji tekst ukazał się w „Nowej Europie Wschodniej”.



Fakty wiary

Maciej Skawiński











tłumaczenie: Artur Kumaszyński
ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

Nieco teologii

Hermann Hesse

Wszystkie religie znają ów upragniony ideał. Również mnie często ukazywał się on jako najlepszy z upragnionych ideałów: doskonały, bezbolesny, bez skazy, nieśmiertelny. Ale czy ten upragniony ideał byłżeby czymś więcej niż błogim marzeniem, czy stałże się on kiedykolwiek doświadczeniem i rzeczywistością, czy naprawdę kiedykolwiek człowiek stałże by się Bogiem, o tym nie wiem nic. O etapach duchowego rozwoju jednak wiem, i wie oraz wiedział o nich każdy, kto je przeżywał; one są rzeczywistościami.

Na podstawie przemyśleń i notatek z różnych lat napiszę dzisiaj parę zdań, w których zestawię we wzajemnej relacji dwa z moich najbardziej ulubionych wyobrażeń: wyobrażenie o trzech znanych mi etapach stawania się Człowiekiem oraz wyobrażenie o dwóch podstawowych typach człowieka. Pierwsze z tych dwóch wyobrażeń jest dla mnie ważne, ba, święte, uważam je za najczystsza prawdę. Drugie jest czysto subiektywne i nie jest, mam taką nadzieję, przeze mnie brane bardziej poważnie niż na to zasługuje, jednak od niepamiętnych czasów dobrze mi ono służy podczas przypatrywania się życiu i historii. Droga stawania się Człowiekiem zaczyna się od niewinności (raj, dzieciństwo, wczesny etap nieodpowiedzialności). Dalej wiedzie ona ku winie, ku wiedzy o dobru i złu, ku postulatam kultury, moralności, religii, ideałów ludzkości. U każdego, kto jako zróżnicowane indywiduum przeżywa ów etap poważnie, niechybnie kończy się on zwątpieniem, mianowicie dostrzeżeniem tego, iż urzeczywistnienie cnoty, całkowite posłuszeństwo, dostateczna służba nie istnieją, iż sprawiedliwość jest nieosiągalna a bycie dobrym niespełnialne. Następnie owo zwątpienie prowadzi albo do upadku albo do trzeciej sfery Ducha, do przeżywania stanu poza moralnością i prawem, do przedarcia się ku łasce i zbawieniu, do nowego, wyższego rodzaju nieodpowiedzialności, lub mówiąc krótko: do wiary. Obojętne jakich form wyrazu wiara by nabrała, jej treść pozostaje zawsze ta sama: że z ochotą winniśmy dążyć ku dobru, na ile tylko jest to nam możliwe, ale też, że zwolnieni jesteśmy od odpowiedzialności za niedoskonałość tego świata i naszą własną, że nie jesteśmy panami własnego losu, lecz istotami podległymi, że ponad naszym poznaniem istnieje Bóg lub jakieś inne »To«, którego jesteśmy sługami i któremu wolno nam się zawierzyć.

Jest to wyrażone po europejsku i niemalże po chrześcijańsku. Hinduski Bramanizm (który, jeśli wliczyć też jego przeciwną fałę, Buddyzm, jest zapewne najwyższą teologią jaką ludzkość stworzyła) posiada inne kategorie, które jednak można tak samo interpretować. Tam kolejność etapów przebiega mniej więcej tak: człowiek naiwny, opanowany przez lęk i pożądanie, tęskni do zbawienia. Środkiem i drogą do tego celu jest joga, wychowanie do panowania nad popędami. Wszystko

jedno czy joga będzie uprawiana jako czysto materialne i mechaniczne ćwiczenie pokuty czy też jako najwyższy sport duchowy – zawsze oznacza to: wychowanie w pogardzie do świata iluzji i zmysłów, skupienie na Duchu, na Atmanie, który zamieszkuje nasze wnętrze i który jest jednością z Duchem Świata. Joga dokładnie odpowiada naszemu drugiemu etapowi, jest dążeniem ku zbawieniu poprzez pracę. Przez lud jest to podziwiane i przeceniane, człowiek naiwny zawsze jest skłonny widzieć w pokutniku świętego i zbawionego. Ale joga jest tylko etapem i kończy się zwątpieniem. Legenda o Buddzie (oraz sto innych) ukazuje to w wyraźnych obrazach. Dopiero gdy joga ustąpi łasce, poprzez to że zostanie rozpoznana jako dążność do celu, jako oddanie, jako zachłanność i głód, poprzez to że ten co budzi się ze snu życia iluzorycznego rozpoznaje siebie jako wiecznego i niezniszczalnego, jako Ducha z Ducha, jako Atmana, staje się on nieuczestniczącym widzem życia, może być w dowolny sposób aktywny lub nie, doznawać rozkoszy albo niedostatku, bez tego by jeszcze mogło to dotknąć jego Ja. Jego Ja stało się całkowicie jaźnią. Ów »stan przebudzenia« świętych (równoznaczny z nirwaną Buddy) odpowiada naszemu trzeciemu etapowi. Tę samą, znów przy pomocy trochę innej symboliki, kolejność etapów można odnaleźć też u Laozi, którego »droga« jest drogą od dążenia ku sprawiedliwości do zaprzestania jakiegokolwiek dążenia, od winy i moralności do Tao; tak więc moje najważniejsze duchowe przeżycia mają związek z tym, iż stopniowo pośród lat i dziesięcioleci przerw w wielokrotnym znajdowaniu tej samej interpretacji człowieczego bytu u hindusów, chińczyków i chrześcijan uzyskiwałem potwierdzenie przeczcucia pewnego zasadniczego problemu, wszędzie wyrażonego w analogicznych symbolach. Nic jak właśnie te przeżycia nie było mi bardziej potwierdzeniem tego, że człowiek to coś więcej, że ludzka trwoga i ludzkie poszukiwania we wszystkich czasach i na całej Ziemi stanowią jedność. Przy tym jest rzeczą obojętną, czy religijno filozoficzny wyraz ludzkiego myślenia i przeżywania postrzegamy, jak wielu współczesnych, jako przeżytek z dawnej, dziś przewycięzonej epoki. Jeśli o mnie chodzi to to, co tu nazywam »teologią« jest związane z jakimś określonym czasem, jeśli o mnie chodzi to jest to produkt jakiegoś

stadium ludzkości, który kiedyś zostanie przewycięzony i przemienie. Również sztuka, również mowa są być może środkami wyrazu przynależnymi tylko określonym etapom historii ludzkości, niech by i one były przewycięzalne i do zastąpienia. Ale na każdym etapie nic nie będzie ludziom, tak mi się wydaje, w dążeniu do prawdy tak ważne i tak kojące, jak uświadomienie sobie, iż u podłoża podziałów na rasy, kolory, języki i kultury znajduje się jedność, iż nie istnieją różni ludzie i duchy, lecz tylko Jedna Ludzkość, Jeden Duch.

Naszkiecowane jeszcze raz: droga prowadzi od niewinności do winy, od winy do zwątpienia, od zwątpienia do upadku albo do zbawienia: to jest nie poza moralność i kulturę z powrotem do dziecięcego raju, lecz ponad nimi do umiejętności życia siłą jej wiary.

Naturalnie na każdym etapie może też znów nastąpić regresja. Wprawdzie rzadko uda się przebudzonemu uciec ze strefy, gdzie liczy się dobro i zło, na powrót w niewinność. Jednakże bardzo często ten, kto już zna przeżycie łaski i zbawienia cofa się do drugiego etapu i ponownie staje się ofiarą jego praw, strachu i niespełnialnych postulatów.

Oto na ile mogę rozpoznać etapy stawania się Człowiekiem w toku rozwoju duszy. Znam je z własnego doświadczenia i ze świadectw wielu innych dusz. Zawsze, w każdym okresie historii i we wszystkich religiach oraz formach życia są to te same typowe przeżycia, zawsze rozłożone na te same etapy i ich kolejność: utrata niewinności, zabieganie o sprawiedliwość w ramach ustalonego prawa, z tego wynikające zwątpienie w ciągu płonnych zmagani o przewycięzenie winy poprzez pracę lub poznanie i w końcu wynurzenie się z piekła w zmieniony świat i w nowy rodzaj niewinności. Sto razy we wspaniałych symbolach ludzkość sobie szkicowała taki przebieg rozwoju: najbardziej nam znanym z tych obrazów jest droga od rajskiego Adama do zbawionego chrześcijanina.

Wiele owych symbolicznych rysunków oczywiście ukazuje nam jeszcze inne, wyższe etapy rozwoju: po Mahatmę, po Boga, po czysty Byt Duchowy, którego już nie ima się nic materialnego i nic co jest związane z męką stawania się. Wszystkie religie znają ów upragniony ideał, również mnie często ukazywał się on jako naj-

lepszy z upragnionych ideałów: doskonały, bezbolesny, bez skazy, nieśmiertelny. Ale czy ten upragniony ideał byłby czymś więcej niż błogim marzeniem, czy stałby się on kiedykolwiek doświadczeniem i rzeczywistością, czy naprawdę kiedykolwiek człowiek stałby się Bogiem, o tym nie wiem nic. O etapach duchowego rozwoju jednak wiem, i wie oraz wiedział o nich każdy, kto je przeżywał; one są rzeczywistościami. Niechby te inne wymarzone jeszcze wyższe etapy człowieczego stawania się istniały albo nie: niechaj będzie nam miłym, że są nam one dostępne jako marzenie, jako ideał, jako poezja, jako cel idealny. Jeśli były one kiedykolwiek przez ludzi naprawdę przeżywane, to były to doznania, o których ci ludzie milczeli i które w swym rodzaju są dla tego, kto ich nie przeżył, niezrozumiałe i nieprzekazywalne. W legendach o świętych wszystkich religii można znaleźć przekonywająco brzmiące wzmianki o takich przeżyciach. W szalonych mowach drobnych sekciarzy i fałszywych proroków często odnajdujemy wzmianki takich przeżyć, które wszystkie noszą znamiona halucynacji lub świadomego oszustwa.

Nawiasem mówiąc nie są to tylko owe mistyczne ostatnie etapy i dostępne dla duszy przeżycia, które wymykają się zrozumieniu i usiłowaniom ich jednoznacznego przekazu. Także wcześniejsze, także te całkiem początkowe kroki na duchowej drodze są zrozumiałe i możliwe do opisanie jedynie temu, kto samodzielnie je przeżywał. Kto wciąż żyje w pierwszej niewinności, nigdy nie zrozumie wyznań ze sfer winy, zwątpienia, zbawienia, będą one brzmiły tak samo bezsensownie jak nieobytemu czytelnikowi mitologii obcych ludów. Za to każdy nieomylnie i w jednej chwili rozpozna typowe duchowe przeżycia, jakich sam doznawał, natrafiając na nie w opisach innych – też wtedy, gdy będzie je musiał sobie tłumaczyć z obcych, nieznanymi mu teologii. Każdy chrześcijanin, który naprawdę coś przeżył, nieomylnie rozpozna te same doświadczenia u Pawła, Pascala, Lutera, Ignacego. I każdy chrześcijanin, który jeszcze bardziej zbliżył się do centrum wiary i poprzez to wyrósł ponad obszar przeżyć tylko »chrześcijańskich«, nieomylnie znajduje u wierzących innych religii, tyle że w innej symbolice, wszystkie te podstawowe przeżycia duszy wraz z wszelkimi ich cechami.

Opowiadanie mojej własnej duchowej historii mającej swój początek w chrześcijaństwie, systematyczne wysnuć z niej mej osobistej formy wiary, byłoby niemożliwym przedsięwzięciem; przyczynkami do tego są wszystkie moje książki. Pośród czytelników tych książek znajdują się tacy, dla których zawierają one w sobie jasno określone sens i wartość: potwierdzają i wyrażają ich własne najważniejsze przeżycia, zwycięstwa i porażki. Ich liczba nie jest duża, ale w ogóle liczba ludzi mających duchowe przeżycia nie jest wielka. Wszak większość nigdy nie stanie się Człowiekiem, pozostanie w stanie pierwotnym, w owym dziecięcym świecie konfliktów i trendów; większość może nigdy nie poznać nawet »drugiego etapu«, lecz utknie w nieodpowiedzialnym zwierzęcym świecie popędów i niemowlęcych snów a wieść o stanie spoza ich zamroczenia, o dobru i złu, o zwątpieniu wynikłym z powodu dobra i zła, o wynurzeniu się z tej opresji w światło łaski brzmi dla nich śmiesznie.

Niechby istniało i tysiąc sposobów na które może spełniać się indywidualna i rozwój ludzkiej duszy. Droga tego procesu ale też kolejność jej etapów są ciągle te same. Obserwacja tego, jak ta niechybnie niezmienna droga jest na tak różne sposoby, i przez tak różnorodnych ludzi przeżywana, zdobywana, boleśnie odkrywana, jest zapewne najbardziej radosną namiętnością historyka, psychologa i poety.

Pośród rozumowych prób racjonalnego ogarnięcia i systematycznej klasyfikacji tej kolorowej książeczki najwyższe miejsce zajmuje prądowe usiłowanie sklasyfikowania i uporządkowania ludzkości według jej typów. Jeśli i ja, wedle mego usposobienia i doświadczenia, spróbuję teraz przedstawić dwa przeciwstawne podstawowe typy człowieka i tym samym dwa zasadniczo różne sposoby, na które owa niezmienna ludzka droga może być przeżywana, to jestem przy tym świadom, iż ustalenie tzw. podstawowych typów człowieka jest jedynie grą. Nie istnieje jakaś ograniczona czy nieograniczona liczba ustalonych typów, na które można by ludzi podzielić; nic nie może być dla filozofa bardziej zgubnego od wiary w dosłowność jakiegokolwiek typologii. Niemniej istnieje – przez większość stosowany nieświadomie – podział na typy jako gra, jako próba poradzenia sobie z ogromem naszych doświadczeń, jako ułomny środek służący upo-

ządkowaniu naszego świata przeżyć. Już małe dziecko rozróżnia prawdopodobnie wszystkich ludzi, którzy znajdą się w zasięgu jego pola widzenia, według typów, których pierwowzorami są ojciec, matka, niania. Z przeczytanych lektur i własnego doświadczenia wyłonił się przede mną podział ludzi na dwa główne typy, nazywam ich rozsądnymi i pobożnymi. Nic więcej jak tylko ten bardzo pobieżny schemat powoduje, że świat staje się dla mnie uporządkowany. Ale naturalnie porządkuje się on według tego schematu zawsze tylko na okamgnienie, by w chwilę później znów stać się nieprzeniknioną zagadką. Już dawno utraciłem wiarę w to, iż dana nam jest możliwość pełniejszego poznania i wejrzenia w chaos dziejów świata niż ów iluzoryczny porządek szczęśliwej chwili, niż to wciąż i wciąż na nowo przeżywane szczęście: na sekundę samodzielnie stworzony pozór tego, że chaos jest kosmosem.

Kiedy w takim szczęśliwym okamgnieniu zastosuję do historii świata mój schemat »był rozsądny czy pobożny«, wówczas cała ludzkość składa się dla mnie tylko z tych dwóch typów. Wierzę, że o każdej historycznej postaci wiem do którego typu należy, i też o mnie samym zdaje mi się dokładnie wiedzieć: należę do rodzaju pobożnych a nie rozsądnych. Jednak w następnym momencie, gdy myślowe przeżycie się skończy, wspaniałe ułożony świat znowu rozpada się w bezsensowny zamęt, i co jeszcze przed chwilą wierzyłem że jasno widzę, a więc to któremu z moich dwóch typów przynależeli Buddha czy Paweł albo Cezar lub Lenin, tego teraz już znów zupełnie nie wiem; i niestety też o sobie samym nie mam już żadnego pojęcia. Dopiero co dokładnie wiedziałem, że jestem pobożny – a teraz odkrywam u siebie cząstka po cząstce znamiona człowieka rozsądku a szczególnie wyraźnie te z nich najbardziej nieprzyjemne.

Nie inaczej ma się sprawa z każdą inną wiedzą. Wiedza jest przeżyciem. Nie jest ona stała. Jej czas trwania to okamgnienie. Spróbuję teraz, rezygnując z wszelkiej systematyki, w przybliżeniu nakreślić owe dwa typy tworzące schemat dla mych myślowych gier.

Rozsądny w nic nie wierzy tak bardzo jak w ludzki rozsądek. Nie uważa on go jedynie za piękny dar, lecz wręcz za najwyższe dobro.

Rozsądny wierzy, że »sens« świata i własnego

życia nosi w sobie samym. Posiadany przez rozsądnie uporządkowany pojedynczy żywot pozór porządku i celowości przenosi on na świat i historię. Dlatego wierzy w postęp. Dostrzega, że dzisiaj ludzie potrafią lepiej strzelać i prędzej podróżować niż kiedyś i nie chce ani mu nie wolno widzieć, że tysiące zmian wstecznych stoi tym postępom naprzeciw. Wierzy on, że dzisiejszy człowiek jest bardziej i wyżej rozwinięty niż Konfucjusz, Sokrates czy Jezus, ponieważ dzisiejszy człowiek silniej wykształcił w sobie pewne techniczne zdolności. Rozsądny wierzy, że ziemia jest mu dana do nieograniczonej eksploatacji. Jego najstraszniejszym wrogiem jest śmierć, myśl o przemijaniu jego życia i jego dzieła. Unika myślenia o niej, a gdy nie może umknąć przed myślą o śmierci, ucieka w działanie i wysuwa naprzeciw śmierci zdwojony wysiłek: o dobra materialne, o poznanie, o prawa, o racjonalne zapanowanie nad światem. Jego wiara w nieśmiertelność jest wiarą w postęp; jako czynne ogniwo w wiecznym łańcuchu postępu wierzy, że jest chroniony przed całkowitym zniknięciem.

Rozsądny skłania się niekiedy ku nienawiści i zaciekłości wobec pobożnych, którzy w postęp nie wierzą i są mu przeszkodą na drodze urzeczywistniania jego racjonalnego ideału. Pomyślny o fanatyzmie rewolucjonistów, przypomnijmy sobie najbardziej porywczą niecierpliwość wypowiedzi wszystkich postępowych, demokratycznie-rozsądnych, socjalistycznych autorów wobec inaczej wierzących.

Rozsądny wydaje się być w praktycznym życiu bardziej pewnym swej wiary aniżeli pobożny. Czuje się on, w imię Boga Rozsądku, upoważniony do rozkazywania i organizowania, do gwałcenia bliźnich, którym wszak narzucić chce tylko dobro: higienę, moralność, demokrację itd.

Rozsądny dąży do władzy, choćby tylko po to, by wdrożyć »dobro«. Tu przyczajone jest jego największe niebezpieczeństwo, w dążeniu do władzy, w jej nadużywaniu, w woli rozkazywania, w terrorze. Trocki, który nie może znieść widoku bitego chłopca, bez skrupułów każe dla dobra swej idei wyrzucić setki tysięcy innych.

Rozsądny łatwo rozkochuje się w systemach. Rozsądni, jako że szukają władzy i ją znajdują, mogą pobożnym nie tylko pogardzać lub go nienawidzić, mogą go

też prześladować, wytoczyć mu proces, zabić go. Przejmują odpowiedzialność za posiadaną władzę oraz »dobro« z niej korzystanie i wszystkie środki aż po armaty są im po temu odpowiednie. Rozsądny może niekiedy zwątpić, gdy natura i to co on nazywa »głupotą« wciąż od nowa przybierają na sile. Z powodu tego, że musi prześladować, karać i zabijać, może on czasami ciężko cierpieć.

Jego szczytowe momenty to te, kiedy pomimo wszelkich sprzeczności mocno czuje on w sobie wiarę, że w gruncie rzeczy rozsądek jednak tworzy jedność z Duchem, który stworzył ten świat i nim rządzi.

Rozsądny racjonalizuje świat i czyni mu gwałt. Ciągłe skłania się ku surowej powadze. Jest wychowawcą.

Rozsądny zawsze jest skłonny nie ufać swym instynktom.

Rozsądny stale czuje się niepewnie wobec natury i sztuki. Raz patrzy na nie z pogardą, raz zabobonnie je przecenia. To on jest tym, który płaci milionowe sumy za dzieła sztuki albo tworzy rezerwy dla ptaków, dzikich zwierząt, Indian.

Podłożem wiary i odczuwania życia u pobożnego jest respekt. Wyrazem tego są przede wszystkim dwie główne cechy: silny zmysł natury oraz wiara w ponadracjonalny porządek świata. Pobożny ceni wprawdzie rozsądek jako piękny dar, jednak nie postrzega go jako wystarczającego środka służącego poznaniu czy wręcz zapanowaniu nad światem.

Pobożny wierzy, że człowiek jest służebnym elementem Ziemi. Pobożny, gdy dopadnie go zgroza śmierci i przemijania, ucieka we wiarę, że stwórcy (albo natura) także te przerażające środki stosuje zgodnie ze swym celem i widzi cnotę nie w zapomnieniu lub zwalczaniu myśli o śmierci, lecz w trwożnym, ale pełnym respektu oddaniu się wyższej woli.

Nie wierzy on w postęp, gdyż jego wzorcem nie jest rozsądek, lecz natura oraz dlatego że w naturze nie dostrzega on żadnego postępu, a tylko przeżywanie i urzeczywistnianie się nieskończonych żywiołów bez żadnego rozpoznawalnego celu.

Pobożny jest niekiedy skłonny do nienawiści i zaciekłości wobec rozsądnych, biblia pełna jest dobit-

nych przykładów nieokiełznanej zaciekłości skierowanej przeciw niewierze i świeckim ideałom. Jednakże pobożny w rzadkich chwilach uniesienia doznaje też przeżytku owego duchowego przeżycia, które daje mu wiarę, iż również wszelkie fanatyzmy i okrucieństwo rozsądnych, wszelkie wojny, wszelkie prześladowania i zniewolenia w imię wyższych ideałów muszą ostatecznie służyć celom Boga.

Pobożny nie dąży do władzy, unika wymuszania czegoś na innych. Nie lubi rozkazywać. To jego największa cnota. Za to jest on często dość beznamiętny podczas pracy przy sprawach naprawdę wartych zachodu, skłania się ku kwietyzmowi i skupianiu się na własnym pępku. Zadowolona się pielęgnowaniem swych ideałów, nie trudząc się o ich urzeczywistnianie. Jako że Bóg (lub natura) jest przecież od nas mocniejszy, pobożny nie lubi ingerować.

Pobożny łatwo rozkochuje się w mitologiach. Pobożny może nienawidzić albo gardzić, lecz nie zabija i nie prześladowuje. Nigdy nie mógłby Sokrates lub Jezus być prześladowcą albo zabijającym, ale zawsze cierpiącym. Pobożny jednak bierze na siebie, często lekko-myślnie, nie mniej poważną odpowiedzialność. Nie tylko odpowiada on za swój brak zapału podczas urzeczywistniania dobrych idei, odpowiada on też za własny upadek i za winę, którą zabijając go bierze na siebie wróg.

Pobożny mitologizuje świat i przez to często nie traktuje go wystarczająco poważnie. On dzieci nie wychowuje, lecz uważa je za błogosławione. Pobożny jest zawsze skłonny nie ufać własnemu rozumowi.

Pobożny zawsze ma poczucie bezpieczeństwa wobec natury i sztuki i czuje się wśród nich zadomowiony, za to brak mu pewności co do edukacji i wiedzy. Raz to gardzi nimi jako głupstwami i czyni im niesprawiedliwość, raz zabobonnie je przecenia. W skrajnym przypadku zderzenia: powiedzmy że pobożny zostaje wciągnięty przez maszynę rozsądku i w wyniku procesu lub wojny, w której na rozkaz rozsądnego wbrew własnej woli bierze udział, traci życie – w takim przypadku winne są zawsze obie strony. Rozsądny winny jest tego, że istnieją kary śmierci, więzienia, wojny, armaty. Pobożny zaś nie przyczynił się do tego, by wszystko to uczynić niemożliwym. Dwa sądowe procesy w historii świata,

w których bardziej wyraźnie i bardziej symbolicznie niż zwykle pobożny został zabity przez rozsądnego; procesy przeciw Sokratesowi i Zbawicielowi ukazują momenty straszliwej dwuznaczności. Czyż ateńscy i Piłat nie mogli z łatwością znaleźć gestu, dzięki któremu oskarżony mógł bez uszczerbku na prestiżu zostać uwolniony? A czy Sokrates jak też Jezus zamiast z pewnym heroicznym okrucieństwem pozwolić przeciwnikowi stać się winnym i umierając nad nim zatriumfować – czyż nie mogli przy niewielkim nakładzie środków tej tragedii zapobiec? Zapewne. Tylko że tragediom nie da się nigdy zapobiec, nie są one bowiem nieszczęśliwymi wypadkami, lecz zderzeniami przeciwstawnych światów.

Jeśli wszędzie w powyższych rubrykach przeciwstawiam »pobożnego« »rozsądnemu«, to niechaj czytelnik będzie zawsze świadom czysto psychologicznego znaczenia tych starań. Naturalnie bardzo często pozornie to właśnie »pobożni« dzierżyli miecz a »rozsądni« krwawili (choćby w czasie inkwizycji). Ale oczywiście pod pojęciem pobożni nie rozumiem księży a pod pojęciem »rozsądni« wszystkich, którzy znajdują upodobanie w myśleniu. Kiedy hiszpański sąd kościelny spalił »wolnomyśliciela«, to inkwizytor był rozsądnym, organizatorem, władcą, a jego ofiara była pobożnym.

Niemniej pomimo pewnej brutalności mego schematu jestem naturalnie daleki od tego, by pobożnemu odmawiać solidności a rozsądnemu geniuszu. W obu obozach kwitnie geniusz, kwitnie idealizm, heroizm, ofiarność. »Rozsądnych«, Hegla, Marxa, Lenina, (ostatecznie nawet Trockiego) uważam za geniuszy. Z drugiej strony ktoś pobożny i pokojowy jak Tolstoj wykazał się w kwestii »urzeczywistniania« największą ofiarnością.

W ogóle cechą genialnego człowieka zdaje mi się być to, iż wprawdzie przedstawia on sobą wyjątkowo udany egzemplarz swego typu, jednak jednocześnie nosi on w sobie tajemne pragnienie skierowane ku przeciwnemu biegunowi, cichy szacunek dla typu przeciwstawnego. Człowiek tylko-liczb nigdy nie jest genialny, tak samo człowiek tylko-nastroju. Niektórzy wyjątkowi ludzie zdają się wręcz w tę i tamtą wahać pomiędzy owymi głównymi typami i być opanowanymi przez głęboko przeciwstawne zdolności, które nie tłumią siebie wzajemnie, lecz wzmacniają; do wielu tego przykładów należą po-

bożni matematycy (Pascal).

I tak, jak pobożny i rozsądny geniusz całkiem dobrze siebie nawzajem znają, siebie w skrytości nawzajem kochają, siebie nawzajem przyciągają, tak też najwyższe duchowe przeżycie, do jakiego my ludzie jesteśmy zdolni, jest zawsze pojednaniem pomiędzy rozsądkiem a respektem, rozpoznaniem-siebie-jako-tego-samego wielkich przeciwieństw.

Rozważania końcowe

Na koniec zastosujmy teraz te dwa schematy względem siebie: schemat trzech etapów stawania się Człowiekiem względem dwóch podstawowych typów ludzkich; pozwolili nam to dostrzec, że znaczenie tych trzech etapów jest wprawdzie dla obojga typów takie samo. Niemniej zobaczymy też, iż niebezpieczeństwa i nadzieje obydwu typów nadal pozostają różne. Stan dzieciństwa i naturalnej niewinności będzie się u obu typów przedstawiał podobnie. Ale już pierwszy krok w stronę stawania się Człowiekiem, wejście w sferę dobra i zła, nie dla obydwu typów ma takie samo oblicze. Pobożny będzie bardziej dziecinny, z mniejszą niecierpliwością i bardziej opornie będzie opuszczał raj i przeżywał stawanie się winnym. Za to na kolejnym etapie, na drodze od winy ku łasce jego skrzydła będą silniejsze. W ogóle środkowemu etapowi (Freud mówi o kulturze jako źródłu cierpień) nie będzie on poświęcał wiele myśli i w miarę możliwości będzie starał się pozostawać na uboczu. Przez istotne u niego poczucie własnej obcości w sferze winy i cierpienia wlot do trzeciego etapu będzie dla niego pod pewnymi warunkami łatwiejszy. Lecz również myśl o infantylnej ucieczce z powrotem do raju, do nieodpowiedzialnego świata bez dobra i zła, bywa mu bliska i niekiedy się spełnia. Natomiast dla rozsądnego drugi etap, etap winy, etap kultury, aktywności i cywilizacji, właściwie jest domem. Za nim nie ciągnie się długo i uciążliwie resztką dzieciństwa, on chętnie pracuje, chętnie przejmuje odpowiedzialność, i nie odczuwa ani nostalgii za dzieciństwem ani też nazbyt usilnie nie pragnie uwolnienia od dobra i zła, aczkolwiek też dla niego może być to przeżycie utęsknionym i osiągalnym. Łatwiej niż pobożny ulega on wierze, iż z za-

daniemi jakie stawia moralność i kultura będzie można sobie jakoś poradzić; trudniej niż pobożny osiąga on intermedium zwątpienia, klęskę własnych wysiłków, zanik wartości jego własnej sprawiedliwości. Ale za to, kiedy pojawi się zwątpienie, nie ulega on tak łatwo jak pobożny pokusie ucieczki do poprzedniego świata i do nieodpowiedzialności.

Na etapie niewinności pobożny i rozsądny zwalczają się tak, jak walczą ze sobą dzieci o różnej predyspozycji.

Na drugim etapie, stawszy się wiedzącymi, zwalczają się te dwa przeciwne bieguny z zaciętością, namiętnością i tragiką akcji rządowych..

Na trzecim etapie walczący zaczynają jeden drugiego rozpoznawać, już nie w swej obcości, lecz w ich od siebie wzajemnej zależności. Zaczynają siebie kochać, do siebie tęsknić. Stąd prowadzi droga ku możliwościom Człowieczeństwa, jakiego urzeczywistnienia ludzkie oczy dotąd nie oglądały.

(1932)



Święta gościnność i boskość przybysza

Szkic o obcości i sacrum

Maria Magdalena Morawiecka

ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

*Wiedząc, że przyjdziecie do nas, rozpostarlibyśmy wiernie
Wnętrze serca wam pod stopy albo oczu naszych czernie,
Rozpostarlibyśmy lica gościom, którzy ku nam kroczą,
Aby droga wasza prosto wiodła was ku naszym oczom
Księga tysiąca i jednej nocy*

*Oto stoję u drzwi i kołacę:
jeśli kto postyszy mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,
a on ze mną.
Ap 3,20*

Moja pamięć, nawet ta zapośredniczona, nie sięga daleko. We mgle rodzinnych wspomnień zachowała się historia pradziadka z Dukli, który podczas wojny podejmował gości w bieszczadzkiej leśniczówce – na piętrze partyzantów, a na parterze niemieckich żołnierzy. Nie była to jednak opowieść o ambiwalencji poglądów, ale o świadectwie niezwyklego szacunku, jakim cieszył się gospodarz i sama instytucja gościny, której nie odmawiało się nikomu.

Problematyka relacji, w jakie mogą wchodzić ze sobą kategorie obcości i sacrum jest tak rozległa i wielowymiarowa, że niepodobna porywać się na próbę jej całościowego ujęcia – próba taka musiałaby bowiem być ogromnym przedsięwzięciem, wymagającym pogłębionych studiów i niemieszczącym się w ramach, w gruncie rzeczy bardzo przecież skromnego, projektu, jakim jest niniejsza praca. Toteż i aspiracje tego tekstu nie są tak wygórowane. Zadaniem, który stara się on podjąć, będzie więc przedstawienie tylko jednego aspektu problemu, a mianowicie zagadnienie związku pewnego szczególnego wcielenia figury obcego, jakim jest postać wędrowca (czy też, szerzej, przybysza), ze sferą sakralną¹.

Tak określony zakres przedmiotowy wymaga na samym wstępie przybliżenia specyfiki wybranego „typu” obcości, jaki reprezentuje wyżej wspomniana postać². Za jej istotny rys uznać można stosunkową łatwość w dokonywaniu jej wyodrębnienia. Podział na swoich i obcych wydaje się w wypadku przybyszów czymś oczywistym („naturalnym”). Już samo przekraczanie przez wędrowców fizycznych (w sensie: umiejscowionych w

1 Sakralizacja obcego nie wyczerpuje rzecz jasna spektrum możliwych (i typowych) reakcji na obecność przybysza. Pozostałe nie będą jednak stanowić tematu tego szkicu. Podstawową tezę niniejszej pracy jest bowiem wyrażone powyżej przekonanie o nieprzypadkowym charakterze związku obcości z sacrum (czy też sacrum z obcością), który ujawnia się przy okazji tematu gościnności i postaci przybysza. Dalszy ciąg rozważań będzie więc podporządkowany próbie wykazania owego związku.

2 Należałoby się tu od początku wytłumaczyć z pewnego zamieszania terminologicznego – wędrowiec, podróżny, przybysz – wszystkie słowa, którymi określa się osobę zmieniającą miejsce swojego pobytu, obrosły w rozliczne konotacje, które uniemożliwiają w pewnym stopniu ich neutralne użycie. Właśnie jednak ze względu na ów fakt, nie znajdując poręczniejszego terminu, decyduję się na traktowanie ich w sposób wymienny w nadziei, że w ten sposób uniknę przynajmniej przywiązania do jednego tylko z podsuwanych przez nie tropów interpretacyjnych.

konkretnej przestrzeni) granic staje się wystarczającym uzasadnieniem (zrozumiałym zarówno dla miejscowych, jak i samych podróżujących) dla uznania ich za element obcy, przychodzący z zewnątrz, a więc „spoza” (tego, co znane, własne, swojskie).

Właśnie ów status kogoś, kto przebywa w danym miejscu od niedawna i najprawdopodobniej jedynie czasowo³, upoważnia obcego do korzystania z przywilejów gościnności. Szczególna pozycja gościa sprawia, że zaczynają wobec niego obowiązywać odmienne prawa. Zgodnie z zasadą „Gość w dom, Bóg w dom” (która to formuła jedynie pozornie wyczerpuje się w retorycznej figurze) obcy mógł liczyć na schronienie, nocleg, honorowe miejsce przy stole, najlepsze potrawy, podarki i inne wyjątkowe względy. Otaczano go szacunkiem, jego obecność zawieszala właśnie, on sam zaś stawał się na czas gościny nietykalny. Naruszenie tej zasady, jakkolwiek często by się nie zdarzało, pozostaje odstępstwem od reguły i czynem moralnie nagannym⁴.

Ideał gościnności postuluje przychylne traktowanie przybysza bez względu na jego kondycję. Najniepozorniejszy bodaj wędrowiec zasługuje na królewskie względy⁵. Bo też i może się okazać, że (pomimo przeciętnej, czy wręcz mizernej powierzchowności) w istocie jest królem, lub inną zgoła nieprzeciętną osobistością (czarownikiem, świętym, istotą z innego świata, mesjaszem). Ten, kto przychodzi jako nikt, może okazać się każdym. Choć udzielana mu pomoc powinna pozostać bezinteresowna, nie bez znaczenia jest fakt, że pobyt niezwykle gościa

3 Sama istota statusu gościa zawiera już w sobie ową czasowość. Nawet bowiem wówczas, gdy gość osiedla się w danym miejscu na stałe, wraz z wydłużaniem się jego pobytu stopniowo tracić będzie swoją wyróżnioną pozycję.

4 Hiob żalił się: A przecież unikałem grzechu (...) Byłem gościnnie/Czy nie mówili mi ludzie w namiocie /”Czy ktoś się tu mięsa nie najadł?”/ Na dworze obcy nigdy nie sypiał,/drzwi otwierałem podróżnym. (Job 31,31-32). W powyższym cytacie dochodzi do głosu postrzeżenie gościnności w kategoriach religijnych – jej zaniechanie jest tu postrzegane jako grzech. W Starym Testamencie zobacz też: Mdr 19,13-14 (podobieństwo winy Egipcjan i Sodomitów), Kpł 19,9-10 (troska o ubogich i przybyszów). W Ewangelii św. Mateusza w zapowiedzi Sądu Ostatecznego Chrystus mówi do sprawiedliwych: byłem przybyszem, a przyjęliście mnie (Mt 25,35) co odsyła nas do kolejnego wątku – bóstwa uobecniającego się w postaci przybysza.

5 Bohater Odyssei, świniopas Eumajos, mówi do Odysa: Gościu, nie godzi się odtrącać przybysza, choćby i gorzej od ciebie wyglądał: od Dzeusa przychodzą wszyscy obcy i żebracy.(Homer, Odysęja, Warszawa 1965, s.211)

zazwyczaj odmienia dalsze losy gospodarza. Życzliwie potraktowany wędrowiec potrafi się odwdziżyć na rozmaite sposoby – błogostawieństwem, cudownym podarkiem, tajemną wiedzą. Obcy przynosi szczęście.

Mimo iż zapewnienie mu odpowiedniego przyjęcia może pociągać za sobą konieczność wyrzeczeń i staje się obowiązkiem⁶ ciążącym na gospodarzu, a w pewnych warunkach nawet rodzajem sprawdzianu dla tego ostatniego⁷, nie czyni to z przybysza niepożądanego intruza – przeciwnie, jego przybycie jest (a w każdym razie powinno być) przyjmowane z radością, gdyż świadczy o przychylności bogów. Więcej nawet – jakże często wędrowcy okazują się zwiastunami, wysłannikami bóstw, czy wręcz samymi bogami w przebraniu⁸ – tak często, że zasadnym wydaje się zaryzykowanie hipotezy, że wobec każdego przychodzącego z dalekich stron nieznanego zachodzi podejrzenie o potencjalny związek z siłami nadprzyrodzonymi. Nieprzypadkowo przecież wśród miejsc, które uważano za odpowiednie dla przyjęcia podróżnych pojawiają się świątynie i klasztory. Towarzysząca przybyszom aura tajemniczości i zdolność do wzbudzania ambiwalentnych uczuć, ze strachem i odrazą włącznie, nie jest czymś, co mogłoby stanąć na przeszkodzie ich sakralizacji. Wszak imię Zeusa, najwyższego boga starożytnych Greków, łączy się z przydomkiem Ksenios, a on sam jest patronem obcych, wędrowców i przybyszów⁹.

Owa boskość podróżników zakorzeniona w zbiorowej wyobraźni i znajdująca wyraz w podaniach i mitach dochodzi jednak do głosu nie tylko na poziomie opowieści, lecz przekuwa się na interpretację rzeczywistych wydarzeń. Jako wyraziste zobrazowanie tego zjawiska posłużyć mogą doświadczenia odkrywców podczas pierwszych kontaktów z tubylczymi plemionami¹⁰. Dodat-

6 Warto zauważyć w tym kontekście symboliczne znaczenie czynności, jaką jest choćby tak dobrze znane przygotowywanie dodatkowego nakrycia na wigilijnym stole.

7 Poddanie próbie gościnności bohatera jest częstym motywem pojawiającym się w folklorze.

8 Porównaj: legenda o Piaście Kołodziejcu, mit o Filemonie i Baucis, biblijna opowieść o trzech wędrowcach w gościnie o Abrahama i Locie podejmującym aniołów.

9 Vide: Z. Benedyktowicz, Portrety „obcego”. Od stereotypu do symbolu, Kraków 2000, s. 155

10 W tym kierunku zmierza również zaproponowane przez M. Sahlinsa wyjaśnienie przyczyny morderstwa dokonanego na Cooku jako spektakularnego przykładu mitopratyki. Identyfikacyjny mechanizm wykorzystał

kowym elementem, który sprzyja rozpoznaniu wędrowca jako przybysza z innej sfery rzeczywistości (i działa jako wzmocnienie) staje się tutaj jego odmienność fizyczna (tj. rysy twarzy, kolor skóry, oczu, włosów) dająca się zinterpretować jako widomy znak ich niezemskiego pochodzenia. Słynne słowa Ksenofanesa¹¹ zawierają jedynie część prawdy. Trudno uznać oblicza większości rytualnych masek afrykańskich czy indiańskich za wierne odwzorowanie typowych rysów członków plemienia, albo zwyczaj pokrywania przez boskiego faraona twarzy grubą warstwą białego pudru za apologię swojskości. Nawet jeśli człowiek (dodajmy, człowiek miejscowy) stworzony został na obraz i podobieństwo bóstwa, wysnuwanie z tego twierdzenia wniosku, że bóstwo podobne jest do człowieka, byłoby nadużyciem.

Wydawać by się mogło, że fenomen sakralizacji obcego, stosunkowo łatwy do wykazania, dopóki poruszamy się w obrębie mitów, legend i folkloru, zanika, gdy próbujemy odnieść poprzednio sygnalizowane tropy do współczesności. W dobie gwałtownego rozwoju technologii informacyjnych, zwiększonej przepustowości kanałów komunikacyjnych, postępującej globalizacji i międzynarodowej turystyki na szeroką skalę kontakty z podróżnikami w nieunikniony sposób bezpowrotnie zmieniły swój charakter. Wędrowiec, ów daleki obcy¹², tak niegdyś dobrze komponujący się z kontekstem sfery nadprzyrodzonej, wraz ze skróceniem dzielącego go dotychczas od miejscowych dystansu i utratą przynajmniej części swej zagadkowości (turyista nie jest już tą samą wielką niewiadomą, jaką był dawniej pielgrzym) zostaje odarty również z atrybutów boskości. Nie trzeba jednak szczególnej przenikliwości, by zauważyć, że jego postać odżywa w nowych szatach wraz z całym swym splendorem również w tej zmienionej rzeczywistości. Nie wdając się

Jerzy Grotowski, gdy w 1979 roku posługując się lokalnym mitem w ramach przedsięwzięcia związanego z Teatrem Źródeł przywiózł do Brzezinki mieszkańców haitańskiej wioski. Haitańczycy byli przekonani, że przybysz jest legendarnym białym człowiekiem, który odwiedził ich, by zabrać ich powietrzną drogą do ziemi przodków.

11 Gdyby tak woły i konie, i lwy obdarzyć rękoma, / aby jak ludzie rękoma malować mogły i tworzyć, / wtedy konie do koni, a woły do wołów podobne / kształty by bóstw malowały i takie przydałyby im ciała, / jakie z własną postacią każdego byłyby zgodne (J. Danielewicz [red.], *Liryka starożytnej Grecji*, Wrocław 1984, s. 331)

12 właśnie ta „dalekość” powoduje szczególną podatność osoby przybysza na łączenie z sakralnością.

w subtelniejsze analizy wystarczy przytoczyć najbardziej bodaj imponujące z jego współczesnych wcieleń – gościa z kosmosu. Przypadek raelian utrzymujących, że wszystkie wielkie religie zostały zapoczątkowane przez wizyty wysoko rozwiniętych istot pozaziemskich¹³, przekonuje, że kategoria przybysza bywa wciąż przywoływana w dyskursie metafizycznym, a próba wpisania tej konstrukcji w XX i XXI-wieczne realia nie jest bynajmniej przedsięwzięciem beznadziejnym.

Nawet jednak jeśli wszystkie powyższe przykłady wyglądają przekonująco i uznamy prawdziwość związku pomiędzy figurą obcego-wędrowca (powracającej w zależności od miejsca i czasu w rozmaitych postaciach) a sacrum, wypada zastanowić się nad naturą i przyczynami występowania tego fenomenu. Poprzestanie na egzemplifikacji nie przynosi wszak odpowiedzi na pytanie o postawioną w hipotezie pracy kwestię nieprzypadkowości rzeczoności związku. Właściwe zagadnienie, które należałoby teraz podjąć, można więc sformułować następująco: czy istnieją przesłanki, by sądzić, że w samej istocie zjawisk takich jak obcość i sacrum tkwi już wpisane jakieś podobieństwo, które sprzyjałoby ich kojarzeniu ze sobą?

Można zapewne argumentować za różnymi odpowiedziami, a rozwiązanie, które zaproponuję, jest tylko jednym z możliwych. Przychylam się mianowicie do stanowiska, że podobieństwo takie zachodzi, a jego źródła

13 Raelianie wierzą, że wszelkie formy życia na Ziemi zostały powołane do istnienia przez obcą humonoidalną rasę (noszącą biblijną nazwę Elohim) w wyniku zaplanowanego naukowego projektu. Elohim stworzyli ludzi na swoje podobieństwo i chociaż pozostawili ziemianom własnemu rozwojowi, kontaktowali się z nimi wielokrotnie za pośrednictwem specjalnie wybranych i edukowanych proroków (synem Elohim miał być również Jezus), których rolą było progresywne osvajanie ludzkości poprzez przekazy, które powierzali ludziom, adaptując je na raz do kultury i poziomu zrozumienia danej epoki. Mieli także za zadanie zachować ślady Elohim abyśmy mogli rozpoznać ich jako naszych stwórców i ludzkich braci gdy rozwiniemy się dostatecznie naukowo, by to zrozumieć a także przygotować ich na nadejście ery Objawienia (a są to nasze czasy), podczas której Elohim powrócą na Ziemię i będą chcieli wejść w oficjalny kontakt [z ziemianami] poprzez ambasadę. Chociaż raelianie negują boskość Elohim przedstawiając ich jako naukowców, ich koncepcja pozostaje adaptacją religijnego w swym rodowodzie schematu do zsekularyzowanej rzeczywistości zdominowanej przez scjentystycznie zorientowany paradygmat i jako taka stanowi dobrą ilustrację ewolucji, jakiej może podlegać relacja przybysz(obcy)-sacrum (wszystkie cytaty dotyczące raelian pochodzą z oficjalnej strony internetowej Ruchu Raeliańskiego, vide: <http://www.rael.org>).

skłonna jestem upatrywać już w sposobie doświadczania zarówno zetknięcia ze sferą sakralną, jak i z obcością. Twierdzę, że w samym jądrze owych doświadczeń tkwi pewien wspólny rys, który konstytuuje tę korelację.

Już w samym słowie „sacrum” zawiera się pewna godna uwagi dwuznaczność – łacińskie „sacer” to nie tylko „święty”, ale też „przeklęty”. Ta (fundamentalna) właściwość, podkreślona przez R. Otto w jego koncepcji numinosum, jawiąca się w doświadczeniu jako jednoczesne przyciąganie i odpychanie, strach i fascynacja (mysterium fascinans i mysterium tremendum¹⁴), stanowi kluczowy element pozwalający na wyprowadzenie analogii z obcością. Myśl o ambiwalencji sacrum znajduje swoją kontynuację w pismach M. Eliadego, gdy wskazuje on na związek świętości ze skalaniem¹⁵. Zauważmy jednak, jak dalece określenia te są zbieżne z opisem uczuć doświadczanych wobec obcości. Być może tu właśnie kryje się wyjaśnienie skłonności do przypisywania przybyszom równie często cech sakralnych, co demonicznych. Zwyczaje, codzienny, swojski świat osadzony jest w sferze profanum. Objawiające się w nim sacrum przychodzi z zewnątrz. Dotknięcie transcendencji łączy się nieuchronnie z przekraczaniem granic. Dochodzimy tu do niezwykle istotnego punktu – okazuje się bowiem, że można mówić nie tylko o boskości przybysza, ale też o obcości bóstwa. I jeśli w osobie obcego wędrowca może kryć się Bóg, to prawdziwe jest też twierdzenie odwrotne: Bóg może być przybyszem i obcym¹⁶. Jak pisze M. Eliade: Doskonałość

14 vide: R. Otto, *Świętość. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych*, Wrocław 1993, tamże: mysterium oznacza przede wszystkim tajemnicę w sensie czegoś obcego, niezrozumiałego, niewyjaśnionego w ogóle (...). Rzecz sama jednak, a mianowicie religijna tajemniczość, prawdziwe mirum, jest – by to możliwie najtrafniej wyrazić – czymś innym, thateron, anjad, alienum, alim valde, czymś obcym i dziwnym, czymś, co w ogóle wypada z zasięgu rzeczy zwykłych, rozumiałych i znanych, a więc swojskich, wobec tego jest ukryte i radykalnie przeciwstawne temu, co zwykłe (...) (ibidem, s.51) porównaj też: R. Caillois, *Żywioł i ład*, Warszawa 1973, s. 66, za: Z. Benedyktowicz, op. cit., s.177

15 Eliade pisze też, że ten sam lęk, ta sama bojaźliwa rezerwa istnieje w obliczu wszystkiego, co obce, niezwykle, nowe, gdyż taka zaskakująca obecność jest znakiem mocy, która, choć wzbudza cześć, może być niebezpieczna. (M. Eliade, *Traktat o historii religii*, Warszawa 1966, s. 31)

16 Choć, jak słusznie zauważa Z. Benedyktowicz, nie ma najmniejszej sprzeczności z powyższym zjawiskiem w tym, że bóstwo rozpoznawane jest również jako najbliżsi, krewni, przyjaciele (swoi): Nie ma tu

nie należy do naszego świata. Jest czymś innym niż ten świat, przychodzi skądinąd¹⁷. Ponieważ jednak sacrum może się objawić w dowolnym przedmiocie kosmicznym i zapukać do naszych drzwi pod dowolną postacią, musimy być zawsze gotowi na jego przyjęcie. Wierny nie zna dnia, godziny, ani oblicza bóstwa. Wyłącznie od niego zależy, czy rozpozna je w nieznanym wcieleniu – jego obowiązkiem jest przyjąć je godnie.

Bibliografia

- Z. Benedyktowicz, Portrety "obcego". Od stereotypu do symbolu, Kraków 2000
Biblia tysiąclecia, Poznań 1965
R. Caillois, Żywioł i ład, Warszawa 1973
J. Danielewicz [red.], Liryka starożytnej Grecji, Wrocław 1984
Homer, Odyseja, Warszawa 1965
M. Eliade, Traktat o historii religii, Warszawa 1966
W. Kubiak [red.], Księga tysiąca i jednej nocy, Warszawa 1977
R. Otto, Świętość. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych, Wrocław 1993

źródła internetowe:
<http://www.rael.org>

mowy o żadnym przeciwstawieniu „swoi-obcy”, nie jest to żadna dycho-
tomia i opozycja. Rzecz polega właśnie na tym, że bogowie są „swoimi”
i „obcymi” jednocześnie, „swoimi-obcymi” należałoby wymawiać jed-
nym tchem. (Z.Benedyktowicz, op. cit., s.159)

¹⁷ Eliade, op. cit., s.31



Maciej Falkowski
Iwona Kaliszewska

Matryoszka w hidżabie

ilustracja: Maria Magdalena Morawiecka

Dzwonek do drzwi. Wchodzi Efik z żoną Tanią, nauczycielką angielskiego. Niosą ogromnego arbuza i piwo „Derbent” w półtoralitrowej plastikowej butelce. Za chwilę w drzwiach pojawia się Rusłan, który porzucił islam dla bahaizmu, Rizwan, który porzucił żonę dla młodej kochanki i Armen, który kupił niedawno dziecko. A na koniec Achmed z siatką pomidorów i kuricą. Zza pazuchy wyciąga koniaczek. Sypią się plotki i opowieści rodem z brazylijskiego serialu. Rizwan skarży się, że jego brat stracił kupioną niedawno posesję w prokuraturze, bo zabito prokuratora generalnego, który „przyjmował” go do pracy. Pół roku nie popracował, więc nawet się nie zwróciło (umowna opłata za stanowisko to zwykle równoważnik półrocznej pensji). Armen chwali się nowym potomkiem, którego kupił, bo jego kolejna żona jest już w sile wieku. Nowa, rynkowa forma adopcji. Achmed odkłada pieniądze na opłacenie córce bezpłatnych studiów w Machaczkałe. Jak nie będzie go stać, wyśle córkę na studia do Moskwy. Taniej. Efik po cichu przyznaje, że jego siostrzeniec wstąpił do milicji – co za wstyd dla rodziny! Impreza się rozkręca, kurica szybko znika, pozostają kiszony, zielone pomidory, moskiewska sałatka ze śledzia i buraczków oraz kizlarski koniak. Burzliwe dyskusje, spory, dowcipy. I toasty... Za miłość, za dziewczynki! Za pokój na świecie i obowiązkowo za drużbę narodów. Bo, jak uparcie twierdzą nasi przyjaciele, cały świat powinien brać przykład z Dagestanu, który nigdy nie znał wojen międzyetnicznych, a wszystkie narody stanowią jedną wielką kochającą się rodzinę.

Było już dobrze po zmroku gdy ze strzelistych minaretów wznoszącego się zaledwie kilka ulic dalej olbrzymiego nowego meczetu rozległ się głos muezzina wzywającego na wieczorną modlitwę.

– Co ty Efik wiesz o Bogu! – Abdurachman przerwał prowokacyjnie teologiczny wywód ateisty-Efika aby nalać kolejny stakan Stolicznej. Kłęby dymu spowijały kuchnię, do której przeniosło się przersedzone już nieco towarzystwo. Od kilku godzin trwała zażarta dyskusja o istocie Boga, doczesności i wieczności, wierze i niewierze, sensie życia. Przerzucano się łacińskimi maksymami, recytowano fragmenty Puszkina i Achmatowej, nucono ballady Okudźawy i Wysockiego.

Kwiat dagestańskiej, a jednocześnie rosyjskiej inteligencji. Ludzie pierestrojki. Demokraci, Europejczycy. Abdurachman, Efik, Tania... Wszyscy oni mieli swoje pięć minut za Gorbaczowa i wczesnego Jelcyna. Najpierw uwierzyli w proponowany przez tego pierwszego socjalizm z ludzką twarzą, Związek Radziecki z wolnością słowa i elementami rzeczywistej demokracji. Później, gdy wieczne – jak im się wydawało imperium – legło w gruzach mieli nadzieję, że w Rosji możliwa jest demokracja, społeczeństwo obywatelskie, że Zachód nie jest wrogiem Rosjan, lecz jej naturalnym sprzymierzeńcem. Że zerwanie z dziedzictwem komunizmu, który uważali za przestępczy reżim jest koniecznym warunkiem dalszego rozwoju. Demontaż Żelaznej Kurtyny był dla nich błogosławieństwem. Wreszcie mogli pojechać do Paryża, Rzymu, Berlina. Pooddychać Europą, której czuli się częścią. Te kilka lat poświęcili na zażarte dyskusje. W kuchniach, na łamach względnie wolnej wówczas prasy i telewizji, na różnego rodzaju konferencjach i spotkaniach. Spierali się, kłócili, przeżywali pucz Janajewa, rozstrzelany przez Jelcyna Biały Dom. I było im z tym dobrze. W przeciwieństwie do większości społeczeństwa nienawidzącego Gorbaczowa, który „rozwalił” Sojuz i prezydenta-pijaka, który „zhańbił” i „sprzedał” Rosję. Czas pierestrojki i demokracji zakończył się w Dagestanie dużo wcześniej niż w pozostałej części Rosji. Jeszcze zanim władza na Kremlu przeszła w ręce Putina i służb, z których się wywodzi. Po rozpadzie ZSRR Moskwa zajęta swoimi problemami pozostawiła Dagestan, podobnie jak cały Kaukaz Północny, samemu sobie. Nad republiką zawisło widmo konfliktów etnicznych. Powstał cały szereg ruchów narodowych, wysuwających wzajemnie wykluczające się żądania. Przywódcy kumyccy i nogajscy domagali się wysiedlenia Awarów i Dargijczyków ze swoich ziem, Czeczeńcy chcieli odtworzenia rejonu acharskiego (zlikwidowanego w 1944 r. po ich deportacji do Azji Środkowej). Lezgini chcieli z kolei przyłączenia do Dagestanu tych rejonów Azerbejdżanu gdzie mieszkają ich pobratymcy. Do tego w 1994 r. wybuchła wojna w sąsiedniej Czeczenii, pojawiły się pierwsze ugrupowania wzywające do przekształcenia republiki w państwo islamskie, na niebywałą skalę rozwinęła się przestępczość zorganizowana.

O dziwo jednak do żadnej rewolucji w Dagestanie nie doszło. Zadziałał „instykt kompromisu” tkwiący głęboko w dagestańskim społeczeństwie. Podzielone przed podbojem rosyjskim na dziesiątki niezależnych od nikogo mini-państw i wolnych dzamaatów społeczeństwo Dagestanu musiało wypracować mechanizmy pozwalające na unikanie konfliktów, na normalne funkcjonowanie. Nauczyć się kompromisu. Lata 90-te pokazały, że ta umiejętność, ten nawyk przetrwał czasy carskie i sowieckie. Dagestańskie narody, grupy wpływu, nieformalne ugrupowania, klany i dzamaaty umiały dojść do porozumienia i tak podzielić sfery wpływów aby nie doprowadzić do wybuchu wojny domowej.

Patrząc na dzisiejszy Dagestan trudno nie zastanawiać się jednak czy nie przydałaby się tam jakaś rewolucja. Tak patologicznego systemu politycznego można bowiem szukać ze świecą. Wspólne rządy postkomunistycznego betonu i mafii na zasadzie „ręka rękę myje”. To chyba najlepsze jego streszczenie. Komunistyczna nomenklatura nigdy nie oddała władzy w Dagestanie. Pierwszy sekretarz, stary partyjny wyjadacz i sprytny gracz Magomiedali Magomiedow w 1991 r. został po prostu przewodniczącym Rady Państwa – najwyższego organu władzy w Dagestanie do 2006 r. (później wprowadzono urząd prezydenta). On i otaczający go partyjniacy musieli jednak podzielić się władzą z żądnymi wpływów i pieniędzy „młodymi wilkami” – niespełnionymi komсомolcami i przywódcami tworzonych na bazie etnicznej struktur przestępczych. Takimi jak słynny mafiozo Gadzi Machaczew. Jest koniec lat 80-tych. Machaczew kilka lat temu wyszedł z więzienia, które odwiedzał kilkakrotnie za czasów ZSRR. Nie za działalność antysystemową bynajmniej, lecz znacznie bardziej „prozaicznych” względów: gwałt, pobicie, nielegalne posiadanie broni, machlojki gospodarcze, wymuszanie haraczy, czyli używając współczesnego postradzieckiego slangu – rekieta. Słowem – typowy bohater swoich czasów, człowiek sukcesu schyłkowego okresu ZSRR. W niedługim czasie Gadzi przejmuje kontrolę nad większą część przemysłu mięsnego i mleczarskiego w rodzinnym Chasaw-jurcie. Na fali pierestrojki porzuca profesję rekietera i próbuje swoich sił w polityce. Tworzy Ludowy Awarcki Front im. imama Szamila (słynny imam pewnie przekreślił się

z tego powodu w swoim mekkańskim grobie). Aktywnie wspiera prezydenta Czeczenii Dżochara Dudajewa, głosząc „już wkrótce wolny Dagestan z wolną władzą wejdzie do rodziny bratnich narodów kaukaskich”, wspierając północnokaukaskich bojowników.

Grając na uczuciach narodowych Awarów i domagając się zwiększenia ich udziału w rządzeniu republiką szantażuje władze możliwością destabilizacji sytuacji w Dagestanie. W 1991 r. kilkuset uzbrojonych w kałasznikowy i pałki bojowników Machaczewa okrąża tzw. Tenglik-jurt – namiotowy obóz działaczy Kumyckiego Ruchu Narodowego „Tenglik” domagających się zjednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez Kumyków i utworzenia z nich Republiki Kumyckiej. Jedynie cudem nie dochodzi do rozlewu krwi.

Taktyka szantażu okazuje się nadzwyczaj skuteczna, wkrótce bowiem Machaczew zostaje szefem z jednego z najbardziej lukratywnych przedsiębiorstw w Dagestanie – spółki Dagnieff’ kontrolującej wydobycie ropy naftowej w republice, później zaś deputowanym do dagestańskiego parlamentu. Szansy na jeszcze większe umocnienie własnej pozycji na dagestańskiej scenie politycznej dostarcza mu zbrojna napaść dagestańskich radykałów islamskich na zachodni Dagestan, wsparta przez bojowników Szamila Basajewa. Latem 1999 r. Machaczew – kierując się hasłem „Dagestan na wieki z Rosją” – formuje złożone z krewniaków i kolegów-byłych rekieterów oddziały ochotnicze, które ramię w ramię z armią rosyjską biorą udział w walkach z bojownikami. W nagrodę dostaje medal „Za zasługi dla Ojczyzny” i stanowisko deputowanego do rosyjskiej Dumy. W charakterze posła jeździ nawet do Strasburga, gdzie ubrany w karakułową papachę wychwala na posiedzeniu Rady Europy rosyjską interwencję militarną w Czeczenii zapewniając ku zdziwieniu pozostałych delegatów o miłości jaką Dagestańczycy darzą Władimira Władimirowicza Putina. Wkrótce staje się jednym z najbogatszych ludzi w Dagestanie, szczęśliwie uchodzi z życiem z kilku zamachów. Awarski patriotyzm ze zrozumiałych względów dość szybko przestaje go zajmować.

Takich pozbawionych skrupułów „Machaczewów”, którzy w zamian za władzę i pieniądze gotowi są sprzedać własną skórę diabłu, jest w Dagestanie na pęczki.

Podstawą siły każdego dagestańskiego polityka – czy będzie to szef lokalnej administracji czy minister – jest własny uzbrojony gang. Kilkudziesięciu lub kilkuset osiłków gotowych w każdej chwili wykonać powierzone im przez szefa zadanie. „Wytlumaczyć” rywalowi, że nie ma racji, a jeśli ten nie zrozumie podjąć dalsze kroki: zagrozić kulką w łeb, wziąć wujka w charakterze zakładnika, nabić mordę szwagrowi. A jeśli i to nie pomoże to podłożyć bombę pod samochód. Osilki nie siedzą rzecz jasna na co dzień pod bronią. Tylko najgrubsze ryby mają prywatne armie i własną ochronę. Płotki i śledzie muszą zadowolili się członkami własnego klanu i mieszkańcami rodzinnej wioski, których skrzykują w razie potrzeby.

Nic jednak za darmo. Krewni i sąsiedzi nie będą przecieć nadstawiać karku w imię solidarności rodowej. W zamian za poparcie jakiego udzielają wysoko postawionemu krewniakowi i ponoszone w związku z tym ryzyko oczekują pomocy w „życiowych” sprawach. Załatwienia synowi pracy w mieście, matce leczenie w szpitalu, pożyczki na dokończenie domu, „pomocy” kuzynowi w zdaniu egzaminu na studia.

Głowa może rozboleć od bliższych i dalszych krewnych, którzy drzwiami i oknami pchają się do gabinetu. A odmówić przecieć nie można. Wtedy bowiem koniec kariery. Co bogatsi dbają o swoich wyjątkowo dobrze. To dadzą pieniądze na nowy meczet, to sfinansują remont szkoły albo wyasfaltują drogę na własny koszt.

Własny klan i rodzinna wioska to zaplecze każdego dagestańskiego polityka. Jego „elektorat”. Głównym narzędziem politycznym w jego ręku są natomiast pieniądze, których pomnażanie jest jego najważniejszym celem i przy pomocy których załatwia wszelkie sprawy. Od zlecenia zabójstwa konkretnego urzędnika państwowego poprzez uiszczenie opłaty za własne stanowisko aż do zakupu opancerzonego samochodu, który chronić ma właściciela przed kolejnymi kandydatami. Za pieniądze w Dagestanie można wszystko. Inaczej... W Dagestanie bez pieniędzy nie można niczego. Dostać pracy, dostać się na studia, a później je skończyć, zdać egzamin na prawo jazdy, zostać przyjętym do szpitala, przejechać przez posterunek milicji. Każdy zna zwyczajowo przyjęte stawki. Nie zadaje się więc zbędnych pytań wkładając w paszport lub kopertę odpowiednią sumę. Ludzie tak

przyzwyczaili się do dawania i brania, że prawdopodobnie mieliby poważne problemy z funkcjonowaniem bez łapówek.

Pewien Czeczeniec przebywający od wielu lat jako uchodźca w Polsce żalił się kiedyś na polską biurokrację. – Czekasz i czekasz. Wypełniasz jakieś papiery. Odsyłają cię z jednego gabinetu do drugiego. Nic nie da się załatwić.

W Rosji – której jako zdecydowany zwolennik niepodległości szczerze nienawidził – wszystko było według niego znacznie prostsze. Płacisz i masz pewność, że sprawa zostanie załatwiona. Zawierasz niepisany kontrakt, z którego obie strony są naprawdę zadowolone. Musisz tylko dowiedzieć się przez życzliwych komu i ile.

Było paru takich, którzy chcieli zakwestionować istniejący układ sił. Albo kierując się pobudkami ideologicznymi albo dlatego, że nie załapali się na rozdanie kart w pierwszej połowie lat 1990. Żaden z nich dziś nie żyje. W Dagestanie nie ma bowiem żartów z polityką. Nikt nie bawi się w dyskusje, debaty, próby dyskredytacji adwersarza w mediach, procesy sądowe o zniesławienie czy konstytucyjne pozbawianie kogoś piastowanego stanowiska. Opłaca po prostu kilerów i przygotowuje oświadczenie dla mediów o zamachu zorganizowanym na pana X przez bojowników islamskich. Wszyscy wiedzą kto zlecił zabójstwo. Milczą jednak, bo oni robili lub wkrótce zrobią to samo.

Zabójstwo na zlecenie nie jest poza tym czymś nietakownym. Nie jest złamaniem ogólnie przyjętych reguł gry. To uznany przez wszystkich, cieszący się pełnym zrozumieniem sposób walki politycznej.

Od kul zamachowców i zdalnie sterowanych bomb zginęło dziesiątki dagestańskich polityków. Tak zlikwidowano na przykład dwóch kolejnych ministrów ds. narodowości Magomiedsalicha Gusajewa i Zagira Aruchowa, którzy – jak głosiła plotka – byli potencjalnymi kandydatami na urząd prezydenta Dagestanu. Tak skończyli też charyzmatyczni bracia Magomied i Nadirszach Chaczitajewowie – przywódcy lakijskiego ruchu narodowego, a później zwolennicy wprowadzenia w Dagestanie szariat. Nadira nie uchroniło nawet to, że był kiedyś deputowanym do rosyjskiej Dumy. Wychylił się, zakwestionował ustalony porządek, chciał za dużo, więc zginął.

Wśród dagestańskich polityków są jednak wyjątkowi fariści. Jak choćby mer Machaczkały Said Amirow, który przeżył kilkanaście zamachów. Podkładano bomby pod jego samochód, chciano go zastrzelić z kałasznikowa, swoich sił próbował niejeden snajper. I nic. Said żyje, choć porusza się na wózku inwalidzkim. Żądza władzy i pieniędzy jest silniejsza od strachu i zdrowego rozsądku...

A co na to wszystko Moskwa? Moskwa chce tylko jedno: żeby było w miarę spokojnie. Żeby zamachy, strzelaniny i inne akty przemocy, które mają miejsce w Dagestanie były „w granicach zdrowego rozsądku”. Żeby nie mówiło się o nich zbyt głośno i żeby nie rozprzestrzeniały się na inne części Rosji. Dagestańczycy z reguły dotrzymują słowa. Nie to co Czeczeńcy, którzy bezczelnie strzelają do siebie pod murami Kremla i ganiają po Moskwie jeepami z przyciemnionymi szybami próbując zastrzelić się z kałasznikowów. Dagestańczycy załatwiają własne porachunki u siebie.

Czasami tylko jakiś rosyjski minister czy wysłannik prezydenta pochyli się trochę bardziej nad Dagestanem. Wysyła do republiki komisję, sporządza alarmujący raport, wzywa Kreml do natychmiastowych działań, straszy rewolucją islamską. Po miesiącu, dwóch wszystko wraca jednak do normy. Oby tylko nie było wojny... To jedyne zmartwienie rosyjskich władz.

Impreza powoli dobiega końca. Goście wychodzą potykając się na nieoświetlonej klatce schodowej i wpadając w metrowe dziury przed blokiem. O świcie znów zanurzają się w szarą codzienność. Codzienność, w której inteligencja nie ma nic do powiedzenia. Może tylko siedzieć w kuchni, popijać koniak zagryzając ogórkiem kiszonym i dyskutować o istocie Boga. Albo o swoim quasi-demokratycznym świecie przełomu lat 1980. i 1990., który już pewnie nigdy nie powróci. Abdurachman i krąg jego przyjaciół to dagestańscy dziwacy, outsiderzy. Wymierający gatunek. W putinowskiej Rosji nie ma miejsca dla inteligentów-słabeuszy. Co dopiero w Dagestanie! Jeszcze trochę i zostaną tam tylko trzy kategorie ludzi: bandyci we władzach, islamscy bojownicy w lesie i szara masa pomiędzy nimi, dająca się manipulować i jednym i drugim. Będąca zakładnikiem ich konfliktu na śmierć i życie.

Okularnicy z książką pod ręką nie będą mieli tam czego szukać.

Łykem świeżego powietrza dla dagestańskiej inteligencji są kontakty z Europą, której czują się częścią i którą podziwiają. Europą, która nic o nich nie wie i wiedzieć nie chce. Bo nie spełniają norm unijnych. Urzędnik w polskiej czy niemieckiej ambasadzie w Moskwie widzący w wypełnionej łacinką (bo cyrylicą „not allowed”) ankiecie wizowej „imię i nazwisko” – „Magomied Gadżijew”, „miejsce urodzenia” – „Machaczkała, Republika Dagestan” odkłada paszport na oddzielną kupkę. Bandytom i potencjalnym uchodźcom dziękujemy. Chyba, że mają poświadczone dziesięcioma pieczętkami zaproszenie z któregoś z państw za schengenką kurtyną, wyciągi z konta o posiadanych środkach finansowych, zaświadczenie z miejsca pracy, ubezpieczenia na wszystkie dni pobytu w Polsce, a najlepiej jeszcze poprzednie wizy Schengen świadczące o tym, że nie zamierzają raczej złożyć w Warszawie lub Wiedniu wniosku o nadanie statusu uchodźcy.

Wtedy istnieje spora szansa, że sfrustrowany pan przyjmujący wnioski wizowe od tłoczącej się przed bramką konsulatu „swoloczy”, kierując się tysiąc dwieście trzydziestą siódmą dyrektywą Komisji Europejskiej rozpatrzy sprawę pozytywnie. I da nadzieję na dotarcie do Terepola – tych „wrót Europy”, gdzie rozdrażnieni nocną służbą stróżę europejskich rubieży opryskliwie wypytują łamanym rosyjskim: „Kuda jedziesz? Dzieńgi jest? Czto tam budziesz robić?”. I może bez słowa przystawia w końcu tę upragnioną pieczętkę.

Tekst jest fragmentem książki Macieja Falkowskiego i Iwony Kaliszewskiej „Matroszka w hidżabie”, która ukazała się nakładem wydawnictwa „Sic!” w 2010 roku.



tłumaczenie: Maria Magdalena Morawiecka
 ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

Trzecia Rzesza snów

Charlotte Beradt

Wznowienie Trzeciej Rzeszy Snów, po raz pierwszy opublikowanej w Niemczech prawie dwadzieścia lat temu, po raz kolejny odkrywa związki pomiędzy nieświadomymi procesami umysłowymi i wydarzeniami politycznymi. Na końcu książki znajduje się znakomity esej Brunona Bettelheima, w którym zastanawia się on nad sposobem, w jaki nasze głębokie, wewnętrzne problemy, jaskrawo widoczne w zebranych w tej książce snach, przyczyniają się do powstania takich reżimów jak Trzecia Rzesza. Tak więc, na przykład, opisane są sny ludzi na jawie odrzucających reżim, którym śni się, że chcieliby wzrostu poparcia Hitlera albo że wstępują do hitlerowskich organizacji młodzieżowych, aby zyskać poczucie przynależności.

przedmowa

Książka ta zawiera niezwykle ciekawy zbiór snów. Odczytanie ich znaczenia nie wymaga żadnej specjalistycznej wiedzy z zakresu interpretacji snów. Wszystkie wystarczająco wyraźnie wyjawiają ukryte działania umysłów śniących rzucając światło na sposób, w jaki Trzeciej Rzeszy udało się tak skutecznie wdrzeć głęboko w narodową psychikę.

W ciągu ostatnich kilku lat pojawiła się nowa dyscyplina pod nazwą psychohistorii. Jej zwolennicy utrzymują, że zrozumienie wydarzeń politycznych musi być poprzedzone rozumieniem nieświadomych motywacji i marzeń ludzkich. Założyciel psychohistorii, Lloyd Demause, mówi: „Zamiast postrzegać historię jako wpływ publicznych wydarzeń na prywatne życie jednostek, zobaczymy, jak prywatne fantazje rozgrywają się na publicznej scenie... Zamiast śledzić, w jaki sposób kilku przywódców utrzymuje władzę nad masą jednostek, będziemy badać jak grupy przekazują zadania swoim przywódcom – tak że władza okazuje się w większym stopniu kwestią masochizmu grupy, niż siły jednostki. Zamiast uważać wojny za potworne pomyłki, odkryjemy, że były one ziszczeniem pragnień...”

Wznowienie Trzeciej Rzeszy Snów, po raz pierwszy opublikowanej w Niemczech prawie dwadzieścia lat temu, po raz kolejny odkrywa związki pomiędzy nieświadomymi procesami umysłowymi i wydarzeniami politycznymi. Na końcu książki znajduje się znakomity esej Brunona Bettelheima, w którym zastanawia się on nad sposobem, w jaki nasze głębokie, wewnętrzne problemy, jaskrawo widoczne w zebranych w tej książce snach, przyczyniają się do powstania takich reżimów jak Trzecia Rzesza. Tak więc, na przykład, opisane są sny ludzi na jawie odrzucających reżim, którym śni się, że chcieliby wzrostu poparcia Hitlera albo że wstępują do hitlerowskich organizacji młodzieżowych, aby zyskać poczucie przynależności.

Carl Jung, który zajmował się snami przez ponad pięćdziesiąt lat, powiedział: „W całkowitej naiwności zapomnieliśmy, że pod naszym światem rozumu leży pogrzebany inny świat. Nie wiem, czego jeszcze musi

doświadczyć ludzkość, zanim ośmieli się to przyznać.” Zwrócenie uwagi na sny i dzielenie się nimi to sposoby na odsłonięcie pogrzebanego świata. Im więcej o nim wiemy, tym mniejszą będziemy mieli potrzebę, aby inni odtworzyli go dla nas z tak katastrofalnymi skutkami jak nazistowskie Niemcy.

Trzecia Rzesza Snów przypomina nam, że świat wewnętrzny i zewnętrzny, psychologia i polityka, sny i historia są ze sobą ściśle powiązane. Podobnie jak same sny, książka przekracza zwyczajowe granice w naszym myśleniu. Stanowi ambitny wkład w nasze rozumienie mechanizmu sprawiającego, że na przestrzeni wszystkich wieków tak łatwo rozkwitały systemy totalitarne.

Robin Shoheit
autor Dream Sharing

część I

początek

We śnie i w nocnym widzeniu,

gdy spada sen na człowieka;

i w czasie drzemki na łóżku

otwiera On ludziom oczy...¹

Hiob

Jedynymi osobami prowadzącymi jeszcze w Niemczech życie prywatne są ci, którzy śpią.

Robert Ley, NS-Reichsorganisationsleiter

Trzy dni po przejęciu przez Hitlera władzy w Niemczech, Herr S., mężczyzna około lat 60-ciu, właściciel średniej wielkości fabryki, śnił o nawiedzającym go nieszczęściu, choć w rzeczywistości w tym momencie nic mu nie za-

¹ tłumaczenie - Biblia Tysiąclecia

grażało. W jednym krótkim śnie opisał precyzyjnie i ze znacznie większą wnikliwością, niż gdyby kiedykolwiek próbował uczynić to na jawie, zjawisko, które politolodzy, socjolodzy i eksperci z dziedziny medycyny określili później jako istotę rządów totalitarnych i ich wpływu na ludzi. Oto jego sen:

„Goebbels odwiedził moją fabrykę. Ustawił wszystkich pracowników w dwóch rzędach twarzami do siebie. Musiałem stanąć pośrodku i podnieść rękę w nazistowskim pozdrowieniu. Przesunięcie ramienia w górę zajęło mi pół godziny, centymetr po centymetrze. Goebbels nie okazał ani aprobaty ani dezaprobaty kiedy obserwował moją walkę tak jakby to było przedstawienie. Gdy w końcu udało mi się podnieść ramię powiedział tylko cztery słowa - Nie potrzebuję twojego pozdrowienia - po czym odwrócił się i skierował się w stronę drzwi. Stałem tam, w mojej własnej fabryce, z podniesionym ramieniem, pośród moich ludzi, jak pod pręgierzem. Od omdlenia powstrzymywało mnie tylko gapienie się na jego zniekształconą stopę, kiedy kuśtykał. I tak stałem, dopóki się nie obudziłem”.

Herr S. był człowiekiem porządnym, pewnym siebie, nieomalże despotycznym. Jego fabryka, w której od dwudziestu lat zatrudniał wielu dawnych kolegów socjaldemokratów, znaczyła dla niego wszystko. Jego senne doświadczenie było równoznaczne z – jak to spontanicznie określiłam, gdy opowiadał mi o nim kilka tygodni później w 1933 – psychiczną torturą. Dziś, patrząc z większej perspektywy, możemy zobaczyć poprzez te klarowne, niezwykle wyraziste obrazy, jak wszystkie naciski wywierane przez system totalitarny, które musiała znieść jednostka, wytworzyły poczucie alienacji, izolacji, utratę tożsamości i wykorzenienie – określenia doprowadzone obecnie do banału, albo uczynione przedmiotem mitologizacji. W swoim śnie Herr S. musi się poniżyć i upokorzyć w fabryce, z którą się identyfikuje, na oczach pracowników, którzy reprezentują wyznawane przez niego przez całe życie przekonania polityczne, i wobec których przyjmował paternalistyczną postawę – podczas gdy tym, co ceni w sobie najwyżej, jest jego umiejętność wzbudzania szacunku. To zburzyło wypracowane przez niego podstawy, zniszczyło poczucie tożsamości i zdezorientowało. Czuł się wyobcowany nie tylko ze wszyst-

kiego, co stanowiło jego prawdziwe życie, ale też z własnej osobowości, która utraciła swą wiarygodność.

Zjawiska psychopolityczne, które wyobrażał sen tego człowieka, zostały zaczerpnięte bezpośrednio z życia – kilku dni jego własnego życia zanurzonego w toku rozwoju aktualnych wydarzeń politycznych i przejęcia władzy przez Hitlera. Tak więc w tym konkretnie śnie zawarły się obydwie (często zrównywane lub mylone ze sobą) typy alienacji: zarówno wyobcowanie ze środowiska, jak i w stosunku do samego siebie. I tak dochodzi do oczywistej konkluzji: publiczne upokorzenie go podczas próby nie wychylania się nie miało żadnego innego znaczenia poza inicjacyjnym rytmem systemu totalitarnego, stanowiło polityczną strategię, było zimną, cyniczną próbą obmyśloną przez władzę by złamać wolę swego obywatela. Ponieważ jego klęska jest równie haniebna co bezsensowna, ten sen może posłużyć par excellence za parabolę tego, jak rządy totalitarne wytwarzały uległych obywateli. Kiedy pod koniec Herr S. stoi nie potrafiąc opuścić ramienia, zdolny jedynie do utrzymania się na nogach i drobnego odwetu w postaci wpatrywania się w zniekształconą stopę Goebbelsa, jego ego zostało, w najbardziej współczesnym znaczeniu, dokładnie zburzone, zupełnie jak przestarzały budynek, który musi ustąpić miejsca nowemu porządkowi. Opisane tu wydarzenia, jakkolwiek zasmucające, nie są tragedią, nie brakuje im też elementów farsy. Nie powinno się ich postrzegać jako dotyczących losu konkretnej jednostki, ale raczej jako typowy przypadek w procesie transformacji, której Herr S. jest zmuszony się poddać. Nie został nawet nie-bohaterem, a jedynie nie-osobą.

Ten sen prześladował fabrykanta i powracał wciąż na nowo, za każdym razem wzbogacony o nowe, poniżające szczegóły. „Wysięk związany z podniesieniem ramienia był tak wielki, że pot zalewał mi twarz jak łzy, tak jakbym płakał stojąc przez Goebbelsem.” Innym znów razem: „Spojrzałem na moich pracowników szukając znaku otuchy, ale na ich twarzach malowała się absolutna pustka, nie było w ich nawet pogardy, czy lekceważenia.” W jednym przypadku senny obraz był drugocząco czytelny i niemal prostacki: podczas zmagania z podnoszeniem ramienia jego plecy – kręgosłup – łamią się.

Z wszystkiego tego nie powinno się wyciągać wniosków, że Herr S. w wyniku snu stał się złamanym człowiekiem, ani też na odwrót: że dlatego, że był złamanym człowiekiem, przyśnił mu się taki właśnie sen. Mimo że cierpiał w tamtych warunkach politycznych, pozostał człowiekiem wolnym i względnie odważnym, i przez długi czas nie napotkał żadnych trudności związanych z fabryką. Jednak sen wywarł na nim głębokie wrażenie – jak się wyraził, pozostawił na nim piętno. Pomimo swego nawracającego charakteru, sen nie powinien być postrzegany jako ucieczka w patologiczny świat monomanii, ale wskaźnik narastającej wokół Herr S. atmosfery przymusu. Natura i skutki owego przymusu logicznie ujawniły się w śnie, nawet jeśli jego autor tylko niejasno zdawał sobie z nich sprawę. Gdy opowiadał mi go podczas naszej dyskusji o polityce, zdenerwował się w widoczny sposób, drżał mu się głos, a twarz poczerwieniała.

Wybitny teolog Paul Tillich, który doświadczył podobnych snów w ciągu miesiąca po wyjeździe z Niemiec w 1933 roku, również miał świadomość ich skutków i opowiadał, że budził się „z poczuciem, że nasza egzystencja uległa zmianie. Na jawie miałem wrażenie, że może nam się udać uniknąć najgorszego, ale moja podświadomość wiedziała lepiej.”

Sen fabrykanta – czy można zatytułować go „Podniesione ramię”, czy raczej „O przetwarzaniu człowieka”? - ten sen wydaje się pochodzić z tego samego warsztatu, w którym reżim totalitarny skonstruował mechanizm pozwalający na jego funkcjonowanie. Od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, że tego typu sny powinno się zapisywać – a teraz myśl ta przerodziła się w plan. Pewnego dnia, gdy nadejdzie czas, aby osądzić zjawisko historyczne, jakim jest Narodowy Socjalizm, mogłyby one posłużyć za materiał dowodowy, jako że zdają się odkrywać silny związek pomiędzy najgłębszymi ludzkimi odczuciami, a ich reakcjami w momencie, kiedy ludzie ci stali się częścią mechanizmu totalitaryzmu. Kiedy ktoś decyduje się założyć dziennik, jest to świadomy akt podczas którego osoba ta kształtuje na nowo, wyjaśnia, albo zataja swoje zachowania. Lecz wydaje się, że te sny, sejsmograficznie odtwarzając najbardziej nieznaczny wpływ wydarzeń politycznych na psy-

chikę – te dzienniki nocy – kształtowały się niezależnie od świadomej woli ich autorów. Zostały im, można by rzec, podyktowane przez dyktaturę. Wyobrażenia senne mogłyby zatem dopomóc w opisanu struktury rzeczywistości, która oscylowała na granicy koszmaru.

A więc podjęłam się zbierania snów wygenerowanych przez nazistowski reżim. Zdecydowanie nie było to łatwe zadanie, bo ludzie często obawiali się zwierzać ze swoich snów. Wielokrotnie spotykałam się z praktycznie rzecz biorąc jednobrzmiącym stwierdzeniem: „Śniłem o czymś, o czym nie wolno śnić, ale tak właśnie mi się śniło.” Pytałam ludzi, z którymi na co dzień rozmawiałam o ich snach. Dostęp do snów osób ciągnących jakieś korzyści z reżimu, albo entuzjastycznych potakwaczy (yes-man) był utrudniony, chociaż poznanie ich wewnętrznych reakcji miałyby dla projektu w każdym wypadku wielką wartość. Pytałam fryzjera, sąsiada, ciotkę, mleczarza, przyjaciela – zwykle nie wyjawiając celu, ponieważ chciałem uzyskać możliwie najbardziej naturalne i szczerze odpowiedzi.

Często ludzie mający początkowo opory stawali się bardziej rozmowni po wysłuchaniu snu fabrykanta, którego używałam jako przynęty. Wielu z nich przywoływało podobne senne doświadczenia: polityczny sen, który wywarł głębokie wrażenie i którego wymowę z łatwością odczytywali. Inni, bardziej prostoduszni, nie uchwycili pełnego znaczenia snów. Naturalnie inteligencja i wykształcenie śniących miały wpływ na stopień, w którym byli w stanie zrozumieć i wypowiedzieć swoje sny. Ale niezależnie, czy była to młoda dziewczyna, czy stary mężczyzna, prosty pracownik, czy osoba wysoko wykształcona; niezależnie od ekspresyjności, albo skrytości tych ludzi, ich sny wydobywały na jaw niewypowiedziane dotąd aspekty dotyczące relacji pomiędzy jednostką a reżimem totalitarnym, takie jak systematyczna destrukcja osobowości opisana w śnie fabrykanta.

Nie trzeba wyjaśniać, że podczas opowiadania część tych snów została, świadomie lub nie, przetworzona przez ich autorów. Doświadczenie pokazuje, że dużo zależy od tego, kiedy sen został spisany: jego wartość dokumentalna jest największa, gdy dzieje się to bezpośrednio po przebudzeniu, jak miało to miejsce w przypadku kilku spośród zebranych przeze mnie snów.

Jeśli zapisuje się je trochę później, albo wręcz opowiada z pamięci, do wypowiedzi wkłada się więcej świadomych wyobrażeń (Oczywiście ciekawe jest zbadanie, jak wiele „wie” ten świadomy umysł i w co przetworzył elementy zaszczerpione z prawdziwego życia). Sny polityczne były szczególnie intensywne, nieskomplikowane i nie poddawane poprawkom; co więcej, były jasno sprecyzowane, ich elementy układały się w spójną całość, w anegdotyczny, a nawet dramatyczny sposób, który czynił je łatwymi do zapamiętania. I faktycznie, wbrew ogólnej tendencji do zapominania snów, były zapamiętywane, zwłaszcza te najbardziej poruszające. Tak więc, w rzeczy samej, wielokrotnie opowiedzenie snu poprzedzały słowa: „Nigdy tego nie zapomnę...”; i rzeczywiście, później, kiedy opublikowałam moją pracę, dostałam informacje na temat kilku najwyraźniej nie dających się zapomnieć snów sprzed dziesięciu, albo dwudziestu lat, które zbadam, kiedy je otrzymam.

Zbierałam materiał nieprzerwanie aż do 1939 roku, kiedy to byłam zmuszona opuścić Niemcy. Interesujące, że sny datowane na rok 1933 różnią się odrobinię od tych z późniejszych lat. Najwymowniejsze spośród zebranych przeze mnie snów pochodzą z najwcześniejszego okresu panowania nazistów, kiedy reżim wciąż jeszcze zachowywał pozory.

Przyjaciele, którzy wiedzieli o moim projekcie, pomogli mi w gromadzeniu materiału. Największy indywidualny wkład w zbieranie snów zawdzięczam pewnemu lekarzowi przyjmującemu licznych pacjentów, których mógł dyskretnie wypytywać. W sumie zdobyłam sny ponad trzystu osób. Powszechność doświadczenia pozwala bezpiecznie wyciągnąć wniosek, że ogromną liczbę ludzi w Trzeciej Rzeszy nawiedzały bardzo podobne sny.

Staralam się jak najlepiej zaszyfrować notatki dotyczące snów. Spisując je albo kopiując z cudzych notatek zamieniałam słowo „partia” na „rodzina”, „aresztowanie” na „grypę”, a Hitlera, Goeringa i Goebbelsa nazywałam odpowiednio „wujem Hansem”, „wujem Gustawem” i „wujem Gerhardem”, chociaż przewidywałam, że w razie najgorszego ten lichy kamuflaż nie wystarczy. Ukryłam te dziwnie brzmiące „rodzinne anegdoty” w obwolutach książek rozproszonych po mojej prywatnej

bibliotece. Później rozesłałam je w formie listów po różnych zagranicznych adresach, gdzie przechowano je do czasu mojego wyjazdu z Niemiec.

Wybór z moich zbiorów został podczas wojny opublikowany w prasie pod tytułem „Sny pod dyktando”. Okoliczności uniemożliwiły mi wówczas opracowanie całości materiału.

Dziś cieszę się, że nie opracowałam go i nie zanalizowałam przedtem, nim otworzył się dostęp do znacznej części historycznych faktów, dokumentów i bezpośrednich relacji, wraz z bazującymi na tych źródłach naukowymi badaniami i ocenami. Były mi pomocne w mojej próbie wykorzystania snów jako nowego narzędzia dokumentującego dla pokazania bezpośredni wpływ władzy totalitarnej na jej obywateli poprzez ich psychologiczne reakcje i typowe wzory zachowań.

Celowo pominęłam wszystkie sny zawierające przemoc, lub w jakikolwiek fizyczny sposób wyrażające strach, łącznie z najbardziej ekstremalnymi przypadkami. Natknęłam się na wiele snów zaczynających się podobnie jak ten: „Obudziłem się zlany potem. Tak jak podczas wielu poprzednich nocy, strzelano do mnie, torturowano i skalpowano/obdzierano ze skóry – z wybitymi zębami, krwawiąc, walczyłem o życie, a Oddziały Szturmowe ciągle deptały mi po piętach.” Nawet wśród ludzi popierających reżim, wielu musiało miewać od czasu do czasu tego typu sny. Ale pomijając ich częstotliwość, takie sny nie były niczym nowym. „Nigdy więcej snu! Macbeth zabił sen” - to nieodłączny efekt tyranii i rządów przymusu, ale nie to nas tutaj zajmuje. We wszystkich czasach ludzi nawiedzały przerażające sny, sny wywołane nie tylko przez spowodowane czynnikami zewnętrznymi kryzysy natury indywidualnej, czy wewnętrzne napięcia pewnych szczególnie wrażliwych osób, ale też mające swoje źródło w doświadczeniach przez ludzi kolektywnie sytuacji zagrożenia. Przyjrzyjmy się jednej z takich sytuacji, bardzo powszechnej – wojnie. Istnieją zapiski niespokojnych snów z wielu wojen. Jednak, jako że ludzie oraz sposoby, w jaki wyrażają swoje niepokoje nie zmieniły się za bardzo, niejednokrotnie trudno jest określić, która konkretnie wojna wygenerowała dany sen, jeśli pominąć fakt, że ostatnie wojny sprawiły, że obecność współczesnej broni w snach jest równie znacząca,

co ogrom jej wpływu na całość społeczeństwa.

Ktoś, kto zamyka groźbę wojny w obrazie zamarniętych więźniów wiszących na drągu i tłumie głodujących nadbiegających z nożami, aby wykroić wybrane kawałki mięsa na obiad, może być równie dobrze człowiekiem żyjącym podczas wojny trzydziestoletniej – jeśli tylko sen nie jest umiejscowiony na stacji kolejowej w Berlinie podczas pierwszej wojny światowej.

Nie może być jednak żadnych wątpliwości, co do tego, która epoka i jakie wydarzenia legły u podstaw bardzo zróżnicowanych snów, które zebrałem pomiędzy rokiem 1933, a 1939. Ich źródło w czasie i miejscu jest jasne: mogły wyrosnąć jedynie na gruncie paradoksów ludzkiej egzystencji w XX-wiecznych reżimach totalitarnych, a większość z nich nie mogłaby się pojawić nigdzie indziej, niż w Niemczech za panowania Hitlera.

Ponieważ w dzisiejszych czasach trudno mówić o snach nie odwołując się do różnych dotyczących ich teorii, w tym miejscu wypada dodać kilka słów tytułem wyjaśnienia. Sny, którymi się tu zajmujemy, nie wynikały z problemów mających miejsce w życiu prywatnym ich autorów, z pewnością też nie były spowodowane jakimiś urazami psychicznymi pozostawionymi przez problemy z przeszłości. Miały odmienną przyczynę: były wynikiem problemów, na które ludzie ci natrafiali w sferze publicznej, gdzie przenikające się półprawdy, mętne wyobrażenia oraz mieszanina faktów, pogłosek i domysłów doprowadziły do wytworzenia ogólnego poczucia niepokoju i niepewności. Nawet jeśli te sny dotyczą zaburzeń w relacjach międzyludzkich, to otoczenie było tym, co prowadziło do zaburzeń. Ta „więź pomiędzy snami a czuwaniem” (bond of union between dreams and the waking state), te (by zacytować Jeana Paula) „przejrzyste pseudosny” wywodzą się bezpośrednio z politycznej atmosfery, w której żyli ich autorzy. To nieomalże sny świadome. Ich podłoże jest klarowne, a to, co leży na powierzchni, legło także u ich korzeni. Nie ma tu żadnej fasady maskującej skojarzenia, nie potrzeba żadnej osoby z zewnątrz, która odkryłaby więź między sennym obrazem, a rzeczywistością – robi to sam śniący.

Sny tego rodzaju również angażują wyobraźnię, ale używane przez nią symbole nie wymagają interpretacji, a alegorie nie wymagają żadnego tłumaczenia; co

najwyżej każdy może odczytać kod, w obrębie którego się poruszają. Posługują się formami i przebraniami nie bardziej złożonymi niż te, które wykorzystuje się w karykaturze, czy satyrze politycznej, a maski, które przybierają, okazują się równie czytelne, co maski noszone podczas karnawału.

Tego typu senne metafory brzmią prawdziwie, ponieważ strach i odraza uczyniły ich autorów wrażliwsi; w rezultacie dostrzegają symptomy nieomal niezauważalne w inny sposób, w natłoku wydarzeń za dnia – symptomy, które nie podlegają w ich snach ani miłosiernemu umniejszeniu, ani wyolbrzymieniu. W rzeczy samej, sny te przypominają mozaiki – nierzadko surrealistyczne – ułożone z kamyczków będących (jak to faktycznie było) odpryskami rzeczywistości Trzeciej Rzeszy. To usprawiedliwia interpretowanie ich pod kątem wkładu w zrozumienie psychologii totalitaryzmu, i pozwala na odniesienie ich do konkretnej sytuacji, którą obrazują, odkładając na bok wszystkie aspekty związane z indywidualną psychiką jednostki, które mogłyby zawierać. (Jak wiadomo, eksperci w analizie snów – jak Bettelheim – z zadziwieniem odkryli, jak małe zastosowanie okazują się mieć ich teorie w konfrontacji z najekstremalniejszą sytuacją, jaką potrafi wytworzyć państwo totalitarne – obozem koncentracyjnym)

Na tle rozpadających się wartości i środowiska, którego sama konstrukcja zaczęła się wypaczać, te sny są przesiąknięte rzeczywistością którą cechuje nierzeczywistość – mieszanina myśli i przypuszczeń, w której racjonalne szczegóły pojawiają się w fantastycznych zestawieniach skutkiem czego staje się ona wcale nie mniej, lecz bardziej spójna; gdzie wieloznaczności pojawiają się w kontekście, który mimo to pozostaje zrozumiały, a utajone lub nieznane groźne siły są częścią codziennego życia. Podobieństwo do spostrzeżeń czynionych na polu współczesnej sztuki we wszystkich jej dziedzinach nie jest tu zaskakujące, biorąc pod uwagę rolę, jaką odegrały sny, a także koszmary w sztuce i literaturze tego stulecia.

Godne uwagi, jak wielka zbieżność panuje między środkami wyrazu, jakie zostają użyte w snach do odmalowania życia w Trzeciej Rzeszy, a technikami stosowanymi przez współczesnych pisarzy niemieckich w

celu ukazania mrocznej przeszłości, która wymykała im się, gdy próbowali ją opisać w realistyczny sposób. W przytoczonych na tych kartach snach granica pomiędzy komizmem a tragizmem często ulega zatarciu, gdy ich autorzy usiłują wyrazić niewyraźne. Opisują typowe dla tego okresu fenomeny w formie metafory, parodii i paradoksu. Jedna scena nakłada się na drugą tworząc serię migawkowych obrazów, w których codzienne życie odbija się przeraźliwie głośnie, lub nie mniej przerażająco subtelnym echem, objawiając się w skrajnie uproszczonej, ale też wyolbrzymionej postaci.

Niezależnie od sposobu, w jaki się to dzieje, „w czasie drzemki na łóżku”, ci śniący podążają za nicią, którą dostrzegli klucząc w labiryncie politycznej rzeczywistości i która zagraża im uduszeniem, a siła ich wyobraźni rozciąga się daleko. Nazistowski urzędnik twierdzący, że ludzie mogą prowadzić prywatne życie tylko podczas snu, z pewnością nie docenił potęgi Trzeciej Rzeszy. Autorzy snów, których sny tu zamieszczamy, bliscy całkowitemu podporządkowaniu, widzieli to wszystko z wielką jasnością, „We śnie i w nocnym widzeniu”.

Zaczarowanie

Hermann Broch



tlumaczenie: Artur Kumaszyński
ilustracja: Maciej Skawiński

Wszystko uległo zapomnieniu. Zostało przykryte śniegiem. Odepchnięta zima wypadła nagle śnieżną burzą zza ściany Kuppronu, gdzie znalazła chwilowe schronienie; teraz znowu przewalała się nad doliną; dwa dni i dwie noce spadały z góry płaty śniegu i gdy później zmienił się wiatr i zadał z północy, słońce oświetliło pejzaż, w którym dzwonki sań sunących po wypolerowanych na srebrnobiało ulicach powtórnie nawoływały do świętowania Bożego Narodzenia.

Ale nawet jeśli usypany w wały zwarstwiony śnieg zalegał pobocza jezdni, a ponad polami i stokami gór unosił się zimny biało-błyszczący kurz, wcale nie było, jak bożonarodzeniowe by się to zdawało, bożonarodzeniowo; albowiem marcowy wiatr nie jest wiatrem grudniowym, marcowe słońce to nie słońce grudniowe, ani człowiek marcowy, człowiekiem grudniowym. Wszystko było ostrzejsze i zarazem bardziej łagodnie niż w grudniu; ostrość i łagodność inaczej były rozdzielone. Przenikliwy chłód przedostający się przez moje grube futro zdawał się jakby rozłożony na czynniki składowe. Na zalegającym drogi twardym, zamarzniętym śniegu, widniała już także pierwsza topniejąca warstwa, żrąca i lepka; ciężkie, ciemne klumpy przyczepiały się do podeszw, klinowały się w obcasach, ale i zakleszczały się w Trappowych łapach, a on, skomląco wzdychając, zaczynał wtedy kuśtykać. Oczywiście nie przeszkadzało mu to w ciągłym zrywaniu się do biegu, szczególnie, gdy napotykał przed sobą śnieżny pył, wtedy w nim się tarzał; radosny w wirującym chłodzie. Jak na wyrośniętego wilczura było to zachowanie nazbyt szczeniackie; Trapp nie posiadał jednakże poczucia godności.

» Chodź «, powiedziałem, » chodź Trapp, musimy pójść do dolnej wsi, telefonowano po mnie. Lenardowa będzie rodzic.. «

Spakowałem do torby swoje instrumenty, dałem znać Karolinie, że do kolacji wrócimy, i wyszliśmy w jasne popołudnie.

Północny wiatr wciąż jeszcze pogwizdywał, co prawda, już nie tak ostro jak w ciągu ostatnich dni; stał się jak gdyby jednogłosowy; jego górne i dolne wiatry zamilkły; był teraz samotnym spacerowiczem, który wędrował ponad wierzchołkami drzew, lekko sobie przy tym pogwizdując. W lesie było poza tym zupełnie cicho; od czasu do

czasu spadało z jakiejś gałęzi trochę skawałkowanego śniegu; osuwając się szeleścił i opadał miękko na ziemię. Z domu Wetschych, który podobnie jak mój położony jest w świerkowym lesie - w samym lesie teraz, bo ogródki i ogrodzenia przykryte są śniegiem -, unosiła się w jasność cienka chorągiewka dymu; ulatujący w ów srebrobłękit przybyszający z nieskończoności, otulający pnie drzew i sięgający niemal do ziemi, cienki, nieco twardawy zapach dymu, człowieczeństwa, zamieszkania wśród bezzapachowej świeżości.

Również z komina mojego domu unosi się dym. Jest to mój dom, mieszkam w nim już od ponad dziesięciu lat. Wówczas, wracając z wędrowki po górach, dotarłem tu i już tutaj pozostałem, nagłą decyzją przyjąłem wolną akurat posadę gminnego lekarza i przynależne mu mieszkanie; wszystko właściwie tylko ze względu na ten dom wśród górskich lasów. Jest to przy tym dom szachrajski, prawdziwy dom inflacyjny, dziecko giełdowych manipulacji, a rzekłbym nawet – nieczekany ułomny przedwczesny poród. W owych czasach inflacji znalazło się tu bowiem kilku oszustów, którzy pozorowali ponowne ożywienie przemysłu kopalnianego w Kuppron, a ponieważ nie mogli wydać samych tylko akcji, wybudowali tu dwa budynki i krótki odcinek kolejki linowej, która miała prowadzić w dół, do Plombent. Ale dalej sprawa ta naturalnie się nie posunęła. Korytarze pozostały zamknięte, a huta w Plombent nigdy nie została zbudowana; przy Zimnym Kamieniu bezsensownie kołysz się rozpięta ponad świerkowym lasem lina wykończonego odcinka kolejki; samotnie buja się na wietrze przywieszony do niej kosz. Nie ukończono także obydwu budynków, które zostały przejęte przez gminę w ramach zadłużenia podatkowego; no i jakby nie dokończony pozostał tutaj też onegdysiejszy zarządca, Wetschy, który zamieszkuje jeden z tych domów i który wiedzie ubogą egzystencję agenta ubezpieczeniowego rolniczych maszyn. Ponieważ gmina nie znalazła przeznaczenia dla drugiego z budynków, został on, wystarczająco dobry dla lekarza – który dla chłopa spełnia zresztą rolę niepotrzebnego mebla - przekazany na doktorskie mieszkanie.

Spywający z Kuppronu, wiążący dzień z nocą cień, był już w lesie wyczuwalny, choć jeszcze go nie osiągnął, ale jeśli ktoś wziętyby prowadzącą do wsi, na żółto wy-

deptaną ścieżkę, na której odkryłem ślady swoich butów z kolcami z przedpołudnia, i wydostałby się na otwartą przestrzeń - wznosi się tam po prawej stronie kroczonego rzucająca cień potężna ściana z owiniętym wokół jej bioder, niczym chustą, lasem, i najwyższa krawędź pól, z których bieli wyłaniają się ciemne, przykryte śniegiem krzaki leszczyny - zostałaby wtedy już dotknięty sunącym pocałunkiem ciemności. Przede mną leży oddalona o parę rzutów kamieniem wieś, też jeszcze osłoneczniona; za nią, szerokim łukiem, zaczynając obok przerwy w pasmie Kuppronu z Ventalp i Rauh Vent, wznosi się wysoki złoty łańcuch szczytów, których przedgórza nikięły nieprzewidywalnymi odcieniami na wschodzie i północy, ale tu, po lewej, znajdowały swoją pierwszą wklęsłość - okrągłą misę doliny Kuppronu, której nie można naturalnie oglądać stąd w całości: północny kraniec doliny, na którym droga prowadząca do Plombent lekko opada, przesłonięty jest zboczem, podobnie leżąca w środku kotliny miejscowość Dolny-Kuppron, widać tylko tę na południe wznoszącą się połowę doliny i pojedyncze zagrody, które z tamtej strony porozsypywane są po stokach; poprzez zimowo słoneczną ciszę dociera tu uderzenie zegara na wieży; ułożona dolina, domostwa ułożone w przejrzyste jasnobłękitne zimno, spoczywające i unoszące się pod niebo, sięgające aż po niebiosa tamtego świata; zimny oddech słońca.

Aby dostać się do drogi, nie trzeba wchodzić do wsi, wcześniej odbija się w lewo – również tę ścieżkę wydeptałem sam, bo Wetschy i Karolina tędy nie chodzą - i jest się dumnym, że zaoszczędziło się w ten sposób dziesięć minut. Za plecami słońce, na twarzy północny wiatr, przed sobą mając szczęśliwego psa, kroczyć dzielnie, ale i z lekkim zatroskaniem, bo Lenardowa jest już wprawdzie po dwóch porodach, ale oba nie były łatwe. Chyba jednak powinienem był wziąć narty.

Po kwadransie dostrzec można było w dali prosty szczytowy dach wieży kościoła i zaraz potem także ośnieżone dachy wioski; po kolejnym kwadransie byłem na dole i u Lenardowej, gdzie rzecz znajdowała się już w pełnym toku. Wszystko szło jednak jak po sznurku; Maria Hulles, która sprawuje czynności akuszerki, dałaby sobie radę i beze mnie; dokładnie o szóstej, w ostatnim promieniu słonecznego światła, spełnił się oto ów codzienny cud,

wnieśliśmy w ten świat nowego człowieka; i oto po raz kolejny stałem zadziwiony; ja, stary położnik, który całymi latami pracowałem w klinice ginekologicznej, znowu dziwiłem się, że stworzenie, które odzieliliśmy od ludzkiego ciała, samo nim się teraz stało, wyposażone we wszystko, co konieczne jest do opanowania i ścierpienia świata. Istota, której pępowinę przeciąłem, była chłopcem; po tym jak ostatnio urodziła się dziewczynka był to drugi chłopak Lenardów, czerwony jak rak, na głowie meszek, ze słodkimi malutkimi paluszkami i paznokciami w kształcie półksiężyców... i rozszoszony z powodu danego mu wstydu. Ponad domem unosił się uśmiech.

Jednakże, choć tak bardzo cieszyłem się z mego współuczestnictwa, nie miało wielkiego sensu, abym w tym domu triumfu miał pozostać dłużej. Spakowałem zatem swój biały fartuch i medyczne instrumenty do torby i gdy byłem gotów, otworzyłem drzwi Trappowi, który podczas całej tej procedury spał zwinęty w kłębek w kuchni; teraz mogliśmy wspólnie wyruszyć w drogę. On uznał to za dobre i wyszliśmy w uliczkę, na którą opuścił się już mrok.

Ponieważ i tak znajdowałem się w pobliżu, udałem się do gospody, aby dowiedzieć się czy nie było tam dla mnie jakichś nowinek związanych z moim zawodem. Ale nie było. We wjeździe spotkałem Piotra, który akurat wychodził z domu.

Przez pewien czas rozmawialiśmy ze sobą o różnych rzeczach, o jego niechęci do rzeźnickiego zawodu, do którego nie chciał się przyznać, o jego zamiłowaniu do mniej krwiożerczego kupiectwa, a później ruszyliśmy razem w kierunku wsi. Przy rogu uliczki Kościelnej stał się on jednak niespokojny, a ja byłem wystarczająco niedyskretny, aby mu powiedzieć, że i tak wiem, dokąd zmierzają, a nawet, że chętnie mu potowarzyszę.

Zaczerwienił się na to i skęciliśmy, bo jeśli ma się zamiar odwiedzić chałupnika Struema, albo raczej jego szesnastoletnią córkę, to tutaj właśnie trzeba skęcić. Zrobiliśmy jednak zaledwie kilka kroków, gdy powiedziałem:

» To on. «

Właściwie, powiedziałem to zanim go na dobre ujrzałem, nie mówiąc o tym, że w gęstniejącej ciemności nie mógłbym go rozpoznać, tak oczywistym było, że postać, która stała oparta przed domem Lorenza Milanda, musiała być tym, którego szukałem. Szukałem? Tak, szukałem.

Gdyż wprawdzie zapomniałem o nim, tak bardzo zapomniałem, że nie miałem żadnego powodu, aby zapytać, czy był we wsi jeszcze widziany, a jednak wiedziałem, że jeszcze tu przebywał. Takie rzeczy się zdarzają.

I było to tylko właściwe, szliśmy mu wszak na przeciw, gdy powiedziałem » Dobry wieczór. «

» Dobry wieczór «, powiedział on także. Stał w wydobawającym się z okna świetle, z gołą głową i bez palta lub kaftana – żaden chłop nie wyjdzie przed drzwi bez kapelusza – stał tak w zimnie i lekko uderzał obcasem w przebiegający wzdłuż muru nierówny pasek lodu. Wydawało się to mało sensowne. Czyżby na kogoś czekał? spojrział na niego nieco zdziwiony.

» Dobry wieczór, Piotr «, rzekł w końcu, » ty jakoś nie umiesz się przywitać. «

Dlaczego Piotr miałby chcieć przemilczeć, że zna tego człowieka? Przyłapany Piotr powiedział » Dobry wieczór, panie Ratti. «

Ratti, to brzmiało po włosku; do tego pasowało, że człowiek ten miał loki na głowie, co w tej okolicy było sporą rzadkością.

Miał przyjazne spojrzenie » Miły wieczór «, powiedział zachęcająco.

«Tak jakby, nieco chłodno. « I aby powiedzieć coś konkretnego, stwierdziłem: «Pan mieszka u Milanda. «

«Tak, przyjął mnie do siebie. «

Przyjął? jako gościa? jako wędrowca, który pozostanie kilka nocy? jako parobka? Jeśli miałoby być, że jako parobka, to zdziwiłbym się, że ten człowiek tu jeszcze stał, bo Miland wymaga ciężkiej pracy, musi, przy swoich osiemdziesięciu morgach, które trzeba uprawiać i które, jak to tutaj w zwyczaju, porozrzucane są po całej okolicy, wymagać ciężkiej pracy, a nie sądziłem, że ten człowiek do takiej się nadawał. Poza tym byłoby dziwne, gdyby Miland miał już teraz, do wiosennego zasiewu, zatrudnić parobka. No cóż, wszystko się jeszcze okaże, i powiedziałem tylko:

» Widzieliśmy się już. Przyjechał pan tym autem z cementem. «

» Tego pan nie widział «, skorygował, » wtedy już z niego wysiadłem. «

Przy całej grzeczności, z jaką zostało to powiedziane, było to małostkowe obstawanie przy swoim, ale było to

również czymś więcej, było wezwaniem do nienawiści, w jego uprzejmym tonie, w jego obłudnej minie było coś, co mówiło: Nienawidź mnie, nienawidź mnie, abys mógł mnie kochać.

Możliwe, że się mylę. Ale Trapp, który obwąchiwał obcego i który nigdy się nie mylił, wstrzymał perpetuum mobile przyjacielskiego machania i złowrogo podniósł wyprostowany jak świeca ogon.

Nie miałem wcale ochoty nienawidzić pana Ratti, ale skoro już stałem przy domu swego przyjaciela Milanda, postanowiłem go odwiedzić. Skinąłem zatem tylko panu Ratti, i wszedłem na podwórze.

W stajni świeciło się światło; więc Miland był tam widocznie jeszcze czymś zajęty, skierowałem się do stajni. Stało tam dziewięć sztuk bydła, większość z nich pokryta była ciemnobrązowym, błyszczącym futrem krótkorogowego rzutu, jakie tutaj się hoduje, poza tym było tam kilka ciężkich koni; w większej zagrodzie, na końcu stajni, znajdował się byk, byk gminny, który przetrzymywany był u Milanda i który pobrzękiwał teraz swymi dwoma łańcuchami. Wszystko wyglądało schludnie i było zadbane, czysta betonowa podłoga, doprowadzona instalacja wodna. Wodę trzeba było wprawdzie pompować do rezerwuaru ze studni, ale było to bardziej praktyczne, niż dźwiganie wiader. No a poza tym człowiek chce mieć też coś dla oka.

» Witaj, doktorze «, powiedział Miland, który słyszał jak wszedłem i który wynurzył się z jednej z zagród, » to rzadkie odwiedziny. « A ponieważ rolnik myśli zawsze praktycznie i dopuszcza tylko dostrzegalne przyczyny zdarzeń, ciągnął dalej: » Potrzebuje pan od nas czego, doktorze? skończyły się Karolinie jaja? «

Ale nie, Karolina mnie nie przysłała. Tak tylko zaszedłem. Umył sobie pod kranem ręce i wyciągnął mi je naprzeciw: » A, to ładnie z pana strony. «

Nagle dostrzegłem godne uwagi podobieństwo między Milandem a jego nowym domownikiem. Tutejsi chłopci mają w sobie nieraz coś południowego, czarnowłosi, żyłaści, o ostrym orlim profilu, typ łowców. Również jemu wisił ponad kącikami ust ciemny wąs. » Koniec z robotą? « zapytałem.

» Tak, ale kolacji jeszcze nie było... zajdzie pan przecież do nas... « I wyłączył dwie wiszące pod sufitem lampy.

Zwierzęta oddychały w ciemności.

Dom położony jest pod kątem prostym do budynku stajni. Przeszliśmy przez podwórze. Teraz niebo było już pełne marcowych gwiazd. Powietrze było łagodniejsze niż popołudniu. Sen wszelkiego stworzenia zawsze nieco ogrzewa niebo.

Chłopka, nazywana Milandową, jest twardym człowiekiem o mocnej kości, niespełna tak samo wysoka jak Miland, o wciąż przybierającej męskości, chociaż nie ma jeszcze czterdziestu lat. Pochodzi ona z górnej wsi, jest urodzoną Gisson i miało go to kosztować wiele zmagania, zanim Miland ją dostał. Małżeńskie życie tych dwojga nie jest jednak przejrzyste, mimo wielu dzieci, które ze sobą mieli. Niektóre z tych dzieciaków umarły, może być, że właśnie to uczyniło ich tak twardymi. Śmierć żadnego człowieka nie przechodzi po nas bez śladu; kto stał mu blisko, dziedziczy część jego uwolnionej duszy i staje się bogatszy w swym człowieczeństwie. Jednakże matka nie może odziedziczyć duszy swego dziecka, tak więc oblicze jej nosi twarde rysy ludzi, którzy mieszkają w piekle wydziedziczonych.

» Dobry wieczór wszystkim «, rzekłem wchodząc, » spora u was jeszcze krzątanina. «

Za wyjątkiem dwunastoletniego Karola, który mógł już pójść do łóżka, albo też wałęsał się gdzie indziej, zebrała cała rodzina. Milandowa z malutkim chłopakiem w ramionach, dziesięcioletnia Cecylia, drzemiąca przy stole, parobek Andreas siedzący wraz ze swą fajką na ławie, tak samo jak i służąca Hermina, która się już przeciągała i zamierzała właśnie włożyć drewniaki i poczłapać do siebie. Ale Irmgard, najstarsza córka, stała przy piecu i gotowała herbatę; wielu tutejszych chłopów pija herbatę.

Usiedliśmy do stołu, zatłuszczonego jeszcze jedzeniem tych, którzy dopiero od niego wstali i rolnik natychmiast zaczął głaskać jasne włosy sennej Cecylii. Na środku stołu leżał chleb i gruby pas jasnobrązowej słoniny, i stała tam misa z pozostawionymi chłopu kluskami, ale przedtem dostał on jeszcze porcję zupy mlecznej, którą jadł, nie odejmując przy tym lewej ręki od głowy swego dziecka. Później przyszła kolej na kluski i na słoninę, od której także ja odkrajałem sobie od czasu do czasu kawałek i zjadałem, przegryzając chlebem. Podczas jedze-

nia milczeliśmy, a Trapp spoglądał na nas, zastanawiając się, czy niestrawne dla nas skóry dostaną się jemu, czy też raczej podwórzowemu psu gospodarza.

Gdy skończyliśmy, chłop zapytał, czy także Mariusz dostał już kolację.

» Nie «, powiedziała kobieta, która właśnie wychodziła, aby położyć małego do łóżka, » nie, on mówi, że je tylko raz dziennie. I jak narazie trzyma się tego. «

» Ale herbatę pije «, od strony pieca dała się słyszeć Irmgard.

» Zatem na imię mu Mariusz «, rzekłem.

» Tak, Mariusz Ratti... więc już pan go zna, doktorze. «

» Stoi przecież z Piotrem na zewnątrz, przed domem. «

» To robi chętnie «, powiedział parobek Andreas i zachichotał.

» Zresztą może Piotr wolał jednak pójść do Agaty... sam uznałbym to za lepsze. «

» Nie «, nie ustępował Andreas, » stoją na zewnątrz. «

Byłoby Piotr dlatego taki zmieszany, że przytapałem go na spotkaniu z tym nowo przybyłym mężczyzną? Zapytałem: » Jak trafił ten człowiek właśnie do was? «

Najwidoczniej był cały ten Mariusz Ratti częstym tematem w tym domu, bo Milandowa, która akurat znowu ukazała się w drzwiach, natychmiast wiedziała, o co chodziło, i odpowiedziała: » Irmgard go gdzieś wynalazła. « Irmgard postawiła przed każdym naczynie, miseczką nie można było tego nazwać, z herbatą: » Nie, Karol go przyprowadził... on pytał dzieciaki w uliczce, czy koło kościoła jest jeszcze jakaś inna gospoda. «

» A czemu nie został od razu u Sabesta? «

» Uważał, że jest tam zbyt bogato... dużo pieniędzy to on nie ma. No i wtedy zapytałam go, czy nie chciałby czego zjeść... tak przecież trzeba.... albo może nie jest on wędrowcem? «

» Ależ tak «, odparłem, » wędrowcem jest on z pewnością. «

» Może i jest «, rzekła Milandowa, » i jak był głodny, to jest i po mojej myśli, że dano mu jeść, ale nie lubię mieć w domu takich ludzi; może nawet szuka go żandarmeria. «

» To by się go gospodyni zaraz pozbyła «, zachichotał znowu parobek Andreas.

Miland powiedział: » Ja jeszcze nigdy nikogo nie wygo-

niłem, i jak do tej pory nic mi to nie zaszkodziło. «

Wszyscy podeszli teraz, w swoich grubych cichych szarych skarpetach, do stołu, i mieszałem w czerwono-brązowej wodzie, która jedynie dalece smakowała herbatą, a nasze myśli znajdowały się przy wędrowcu. Ale także ten, kto osiadł, wędruje, tylko nie chce on już tego wiedzieć, i jeśli zatrzymuje przy sobie wędrowca znajdującego się w drodze, to czyni to jedynie dlatego, że nie chce on, aby mu przypomniano o konieczności własnego odejścia.

» Przyprowadzę go «, rzekła Irmgard i udała się w stronę drzwi.

Miland chwycił Cecylię za ściśle zapleciony warkocz: » A tobie jak on się podoba, ten Mariusz? «

Dziecko kiwnęło tylko główką w stronę garnka z herbatą i, nieco głupawo, uśmiechnęło się. Ale teraz, podążając za jakimś nagłym natchnieniem, zsunęło się ze swego krzesła, przemknęło do ławy, wspięło się na nią, i w mętym świetle narożnika pokoju – elektryczna żarówka osłonięta blaszanym kloszem wisiała wszak nisko nad stołem – szukało po omacku pokręta radioodbiornika, który, lakierowany na miejsko-brązowo, stał tam na półce wśród reszty skromnego wyposażenia. I tak oto nastąpiło wejście Mariusza, wśród dźwięków jazzu, którego zmęczony rytm wyczołgiwał się z pudełka i podskakiwał na czarno-osmolonym suficie izby.

Cecylia zaś podskakiwała na podłodze. Przeskakiwała z jednej nogi na drugą, wyrzucała w górę raz jedno, raz drugie ramię, a na jej twarzy widniało święte i poważne przebudzenie, taniec jej był bezdźwięczny, lekko pomykała w swych szarych, grubych wełnianych skarpetach, i również gdy jazz przeszedł w tango, nie zaprzestała ona swego anielskiego tańca.

Mariusz oparł się o framugę drzwi, i, z właściwym sobie grzecznym pochyleniem głowy, obserwował ten uroczy obrazek, nie zwracał uwagi na Irmgard, która nie spuszczała z niego wzroku, postawiła dla niego na stole naczynie z herbatą, ba, nieomal umyślnie przeoczył jej gest, jakim zapraszała go do stołu. Jednakże nagle, już myślałem, że chciał przyłączyć się do tańca, znalazł się przy pomocy kilku uskrzydionych kroków w narożniku i wyłączył aparat.

Cecylia zamarła w pełni ruchu. Była tak zaskoczona, że

jej zachwyty jakby nie dostrzegał przerażenia, które już się jednak pojawiło: jedna stopa była lekko wyciągnięta do skrzyżowania, dziewczynka stała prawie na jednej nodze, ramię, z odwróconą do góry powierzchnią dłoni, wskazywało w górę, jak gdyby chciało jeszcze schwytać zaginioną gdzieś tam wysoko dźwięki, a jej twarz, nie zmęczona jeszcze przebudzeniem, nie potrafiła wsunąć się z powrotem w ramy cielesności, lecz zamarzyła jakby w wiecznym przebudzeniu, chociaż nosiła już w sobie znamię trapiącego się snu.

W końcu rozluźniła się jednak, jej złożonym do płaczu ustom wyrwało się krótkie » Buuu «, i uciekła z powrotem w ramiona ojca.

Ale spójrzcie, oto i my zamarliśmy, aczkolwiek siedzieliśmy przecież całkiem zwyczajnie przy naszej herbacie, wokół beznamiętnej lampy, w ciepłym, ale równie beznamiętym mroku kuchni, w której biało błyszcząły talerze na półkach, w tym ciepłe, w którym niewzruszony wyziew smażonego tłuszczu powiewał się w oparach ludzkich ciał, spójrzcie, oto zamarliśmy i my, tak Irmgard, której dłoń wciąż jeszcze zapraszała Mariusza do stołu, jak i jej ojciec, który przyciskał do siebie Cecylię, ba, zamart nawet parobek Andreas, bo nie pocierał o udo wyjętej zapalniczki, tylko trzymał ją milcząco w powietrzu. Gospodyni jako pierwsza odzyskała mowę, i powiedziała: » Włączcie znowu muzykę. «

» Gospodyni «, powiedział grzecznie, » oddajcie to pudło z powrotem. «

» Błazenada i jeszcze raz błazenada «, uniosła się kobieta, » bądźcie rozsądni! i pieniądze, jakie to kosztowało... natychmiast włączcie znowu muzykę. «

» Jeśli gospodyni rozkaże, winien jestem posłuszeństwo «, poddał się z teatralną uległością, » ale rodzice są słabi, często robią coś ku radości swoich dzieci, bez względu na to, że mogłoby to dziecku zaszkodzić... « i po krótkiej retorycznej przerwie dodał z triumfującym uśmiechem: » ...mówię o tym, że dla dzieci byłby już czas iść spać. «

Cecylia, której to właściwie dotyczyło, nie słuchała. Siedziała teraz spokojnie obok ojca i pozwalała się głaskać.

Mariusz trzymał rękę na aparacie i czekał.

Miland powiedział: » To miejska muzyka. «

Miał z tym rację, ale był to też miejski radioodbiornik, i nawet jeśli wydobywałyby się z niego ludowe piosenki,

nie zmieniałyby to niczego.

» Miejska czy nie miejska «, odrzekł Mariusz, » to kosztowna muzyka, i gospodyni jej chce. « Ale spoglądał przy tym na Irmgard, jakby ona właśnie miała podjąć decyzję.

» Pijcie waszą herbatę i dajcie spokój «, rozkazała chłopka z krótkim twardym śmiechem.

Ale Irmgard stała wciąż jeszcze pod spojrzeniem Mariusza. Również ja patrzyłem na nią. Miała ramiona skrzyżowane pod piersiami, tak samo jak zwykły to robić jej matka i jej babka, była we wszystkim prawdziwą Gisson, twarz szeroka, pod rudawymi włosami, ciepła, przekrwiona i z jasnoróżowymi ustami. Byłaby to twarz, którą nosiła jej matka, gdy przywieziono ją na wesele do dolnej wsi? czy i ta twarz nabierze twardej surowości? Gdzie, ach gdzie, jest to, co człowiecze i stałe, albowiem wiek zaciąga welon na nasze twarze i obnaża je zarazem.

Żaden z nas nie wie, co dzieje się w innym; a parobek Andreas westchnął » Ach tak «, gdy po kilku nie udanych próbach odpalił nareszcie zapalniczkę i pod chroniącą płomień dłonią zbliżył ją do fajki.

Wtedy odezwała się Irmgard, odejmując wzrok od oczu Mariusza: » To prawda, już czas spać «, po czym, nie spoglądając już więcej na niego, wyprowadziła za rękę małą siostrę. A Mariusz przysiadł się do nas, powoli zamieszał w swym garnczku i zaczął pić małymi łykami, jak ktoś, kto właśnie ukończył swą pracę i komu należne jest pokrzepienie. I rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych. Po pewnym czasie gospodarz podniósł się, włączył radio, i mogliśmy posłuchać wiadomości politycznych.

Później wyruszyłem w drogę do domu, Trapp szedł za mną, był już zmęczony i nie chciało mu się biegać. Pod stopami skrzypiał śnieg, pełen nierówności i małych czarnych cieni, gdyż za mną znajduje się księżyc. Jest zimno i łagodnie zarazem. Idę lekko; tak mogłem chodzić jako dziecko, oddycham, jak oddychałem jako dziecko, i jeśli twarz moja byłaby nie wiem jak bardzo obnażona, patrząc od wewnątrz, stała się ona dla mnie jeszcze bardziej zagadkowa. Na nic nie ma jeszcze odpowiedzi; jakże mógłby tu nastać czas pożegnania. Tak oto wędrowałem. Tu i tam były oświetlone domy, w niektórych widziało się siedzących ludzi, nie inaczej jak my siedzieliśmy wszyscy razem w kuchni u Milandów, a gdy wyszedłem ze wsi, stała przede mną w świetle księży-

ca biało i potężnie ściana Kuppronu, bledsze i bardziej srebrzyste odleglejsze szczyty, złagodzone, wygaszone mgłami nocnego horyzontu. I kiedy tak dalej szedłem pod górę, podążając za swoim cieniem, który, dwunożny, wędrował przede mną wskazując mi lżejszą drogę, stawało się coraz jaśniej, stało się wreszcie tak łagodnie i tak promieniście, że w nadmiarze światła prawie wcale nie było widać oświetlonych okien domów w Górnym Kuppronie, wędrowałem wciąż dalej, w górę, ku chłodnej delikatności firmamentu, w którym pływały gwiazdy, jak gdyby one też ogrzewane były wszelką łagodnością i przez to stawały się lekkie.

tłumaczenie: Artur Kumaszyński
ilustracja: Anna Dorota Morawiecka

Legenda o Drogowskazie

Michael Ende

Kiedyś stało się, że zaszła w ciążę. Jej brzuch pęczniał, podczas gdy reszta jej postury więdła w oczach. Gdy potem w końcu nadeszła jej trudna godzina, śnieżna burza przeszła przez miasto Augsburg. Kiedy potężny piorun rozdzielił lipę przed domem, wkroczyło w życie jej pierwsze i ostatnie dziecko, podczas gdy ona sama przestąpiła próg śmierci.

Dawnymi czasy w mieście Augsburg żył bogaty kupiec nazwiskiem Nikolaus Hornleiper. Gdy na zarazę, która nawiedziła cały kraj, zmarła jego żona, był on już daleko po pięćdziesiątce.

Ich związek okazał się bezdzietny, zaś Hornleiper nie myślał pozostawiać swego interesu, swych włości oraz swego wielkiego majątku bez dziedzictwa. Dlatego już wkrótce po zakończeniu wskazanej żałoby wziął ślub po raz drugi, a to z dziewicą niespełna osiemnastoletnią, córką poważanej kupieckiej rodziny z tego samego miasta.

Jednakże Anna Katharina - tak brzmiało nazwisko owej dziewczyny - nie mogła pokochać o wiele starszego od siebie mężczyzny, aczkolwiek uczciwie trudziła się by wiernie spełniać jego wolę jak i wolę swych rodziców. Ale im bardziej się o to starała, tym bardziej w jej sercu potajemnie rosła niechęć do męża, albowiem ten był mężczyzną co prawda uczciwym, lecz grubiańskim i złośliwym, który skłaniał się ku wybuchowości a często nawet nie cofał ręki przed zadawaniem razów. Jej duch natomiast był tkliwej, marzycielskiej natury oraz przychylny wszelkiemu pięknu, szczególnie brzmieniu lutni, przy dźwiękach której Nikolaus zazwyczaj zasypiał i beztrząsoko chrapał.

Stopniowo Anna Katharina utraciła całą radość życia, stała się milcząca i zapomniała co to śmiech. Także jej głos, którym pięknie potrafiła śpiewać, załamał się i brzmiał sucho jak u starej baby. Jej ciało chudło i poczęło się kurczyć. Jediną osobą, która знаła tego wszystkiego prawdziwą przyczynę był jej spowiednik, który jednakże nie potrafił uczynić nic lepszego, aniżeli srogo ją karcić i grozić piekielnymi karami z powodu jej rzekomo dworskiej natury, co biednemu dziecku ma się rozumieć nie dodawało otuchy.

Kiedyś stało się, że zaszła w ciążę. W kolejnych miesiącach jej brzuch pęczniał, podczas gdy reszta jej postury więdła w oczach. Gdy potem w końcu nadeszła jej trudna

godzina, która jednocześnie miała być jej ostatnią, wydarzyło się coś wielce niezwykłego: śnieżna burza przeszła przez miasto Augsburg; wiało, błyskało i grzmiało. I akurat w tym okamgnieniu, kiedy potężny piorun rozdoił lipę przed domem, wkroczyło w życie jej pierwsze i ostatnie dziecko, synek, podczas gdy ona sama przestąpiła próg śmierci i opuściła ten świat, poniekąd jedną i tą samą furtką. I któż, oprócz Boga, może wiedzieć, czy te dwie dusze spojrzały na siebie podczas owego spotkania i czym mogło to spojrzenie dla nich być. Tak w każdym razie dokonały się narodziny chłopczyka, z którego później wyrósł ów nie znający spokoju, wciąż gnający przed siebie poszukiwacz przygód i słynny na cały świat szarlatan Conte Athanasio d'Arcana, którego życie, na ostatku pod imieniem Indicavia, Drogowskaz, znalazło wielce zagadkowe zakończenie. Jego historia, na ile pozwala nam na to nasza podległa doczesności wiedza, ma zostać tutaj opowiedziana.

Nikolaus Hornleiper nie oplakiwej nazbyt długo swej drugiej kobiety, która pozostała mu obcą, lecz jednak dopełnił wszelkich rytuałów, jakich przyzwoity chrześcijanin winien w podobnym wypadku przestrzegać. W gruncie rzeczy był on nawet zadowolony, bo spełnił swój zamiar i splodził męskiego potomka i spadkobiercę, co tegoż małżeństwa było wszak właściwym celem. Kazał ochrzcić synka imieniem Hieronimus, także najał mamkę, która dzieckiem miała się opiekować i je wychowywać. Następnie przestał zajmować się noworodkiem niemalże całkowicie. Zbyt silnie pochłonięty go interesy. Mówiąc na marginesie na trzecie małżeństwo już nigdy się nie zdecydował.

Mamka, imieniem Theres, była pochodzącą ze wsi, przysadzistą, prostoduszną osobą, której matczynego ciepła wystarczyłoby dla dziesięciorga albo i więcej dzieci. Jednak ona całkowicie obdarowała nim tylko jednego Hieronimusa i niemalże go w nim utopiła. Wszędzie go ze sobą ciągała i ani przez minutę dnia lub nocy nie zostawiała samego. Karmiła go swymi potężnymi piersiami, kiedy tylko tego zapragnął, nawet gdy już wyrósł z wieku

oseska. Jednak jakimś dla niej niepojętym sposobem po Hieronimusie ta jej cała miłość po prostu spływała. On był inny niż wszystkie pozostałe dzieci, które kiedykolwiek znała. Ten chłopiec od początku był na tej ziemi kimś obcym, był nieosiągalny dla niej i jej animalistycznej przychylności, nie żeby ją odtrącał, ale dlatego, iż był on od niej oddzielony jakąś wielką niby gwiazda przestrzeni. A im usilniej starała się przez ową przestrzeń przebić, tym bardziej stawała się ona bezmierna. Było jej bardzo trudno kochać to dziecko, i niekiedy na swój tępy sposób Theres odczuwała przed tym malcem coś jak jakby świętą bojaźń.

Rzeczywiście Hieronimus był chłopcem o niemalże anielskiej subtelności i wrażliwości, i to nie tylko cielesnie - w pierwszych latach swego życia więcej niż raz zdawał się być bliskim podążenia za swą matką na niebiańskie łąki, podczas gdy przywołani lekarze nie potrafili skonstatować żadnej choroby, jak gdybyby dziecko najzwyczajniej wzbraniało się przyjąć swe ziemskie istnienie - ale jeszcze silniej dotyczyło to stanu jego duszy.

Prawie nigdy nie krzyczał ani płakał, jak czynią to inne dzieci. Od początku otaczała go aura jakby melancholii, z jego ciemnych oczu przemawiał rodzaj niepocieszonego smutku, którego Theres nie umiała pojąć i który niekiedy doprowadzał ją do rozpacz. Wtedy potrzasała nim, aby po chwili znowu go tulić.

Są ludzie, którzy czują się na tym świecie bez ojczyzny, sami nie wiedząc dlaczego. Co wszyscy wokół nich nazywają rzeczywistością, im jawi się jako ułuda, jako zamiatwany i jakże często dręczący sen, z którego chętnie by się obudzili. Czują się na to skazani by w nim trwać, jak gdyby chodziło o zesłanie na jakąś wrogą obczyznę. Z nieprzerwaną nostalgią myślą o innej rzeczywistości, którą, niby odległą ojczyznę, zdają się sobie przypominać, jednakże nie mogąc o niej ani niczego powiedzieć, ani w ogóle sformułować o niej jakiejś myśli. Takie to były okoliczności, w których Hieronimus wkroczył w życie i które także później stanowiły tło jego egzystencji. Naturalnie tego wszystkiego w najmniejszym stopniu nie wiedziała ani dobra Theres ani też on sam.

Dziecko wyrosło na delikatnego chłopca, który jednakże zachował owo osobliwe spojrzenie, które zdawało się oglądać nasz świat patrząc nań z jakiegoś innego odległego świata, i w którym tkwiło jakieś nieustanne pytanie czy może raczej milczące oczekiwanie. To, jak i to że był on dość małomówny, sprawiało, iż wielu ludzi uważało go za trochę pomyłonego. Litowano się nad jego ojcem, że miał takiego dziedzica. Działo się to jednak tylko za plecami Nikolausa Hornleipera, on sam o tym nic nie wiedział. Inne dzieci trzymały się od Hieronimusa z daleka, naśmiewały się z niego i trochę się go bały. Tym sposobem pozostawał on dzieckiem samotnym, ponieważ jednak nigdy nie było inaczej, przyjmował to jako część swego zagadkowego zesłania.

Z czasem Theres jednak odnalazła ścieżkę wiodącą do serca jej ulubieńca, bardziej przez przypadek niż zamiar. Wprawdzie nie umiała ona ani czytać, ani pisać - w owym czasie te sztuki nie były dostępne prostemu ludowi - ale знаła wprost niewyczerpaną ilość opowieści o przedziwnych zdarzeniach, o elfach i skrzatach, o aniołach i demonach, o świętych, o wiedźmach i czarodziejach, o duchach i zaklętych miejscach, krótko mówiąc opowiadała mu wszystko, co zwykle nazywa się po prostu bajką. I Hieronimus dorastał w świecie cudów i tajemnic, jeszcze zanim zdążył zrozumieć sens tych opowieści, a nawet zanim nauczył się porządnie mówić. Zresztą mówić nauczył się on właśnie dzięki owym bajkom.

Jeśli Theres potrafiła bez ustanku opowiadać, to chłopiec był wprost nienasycony gdy chodziło o słuchanie. Ciągłe od nowa żądny był wsłuchiwania się w jej słowa, i prosił i żarliwie przynaglał ją do opowiadania, nawet gdy o jakimś zdarzeniu słyszał już setki razy i i tak wszystko już wiedział na pamięć. Jego oczy błyszczały podczas słuchania tak samo jak jej w czas śpiewnie szemrzącego bajania. Gorąco tęsknił do owego świata, w którym ponadnaturalne było codziennością a cudowne czymś samo przez się zrozumiałym. To tam on naprawdę przynależał, tam był u siebie w domu. Nie było dla niego najmniejszej wątpliwości, że tamten świat istniał, ba, że tkwił w zewnętrznej rzeczywistości niczym połyskliwy

kasztan w kolczastej skorupce. Należało go tylko odczarować. Postanowienie, iżby to uczynić, po raz pierwszy dojrzało w Hieronimucie, gdy ciężko zachorował Ramboldek, jego mały psiak.

Oczywiście Theres opowiedziała mu również wszystko to, co wiedziała o życiu naszego Pana i Zbawiciela, przede wszystkim o znakach i cudach. I oboje, on i ona, byli przekonani, iż prawdziwie wierzący chrześcijanin właśnie po tym mógł rozpoznać prawość swej wiary, gdy - jako Jezus sam nam to zwiastował - w jego imieniu potrafił sprawić to samo albo nawet coś większego. Tak więc Hieronimus modlił się w skupieniu do Boga, przyłożył do piersi swoje dłonie i ufnie prosił o jego uzdrowienie. Jednakże Ramboldek jeszcze w czasie tego dotyku wyrzęził w okropnych drgawkach swe małe życie.

Theres nie wstrząsnęło to zbyt silnie, prędko znalazła przeróżne wyjaśnienia, dlaczego akurat w tym szczególnym przypadku tak się to skończyło, ale w Hieronimucie rozczarowanie utkwiło głęboko, nie mógł się z tym ot tak po prostu pogodzić.

W czasie mszy świętej usłyszał, iż wiara, choćby nie była owiększa od ziarnka gorczycy, potrafi przenosić góry. W największym stopniu zaniepokoiło go pytanie, czy w takim razie jego wiara była w jakiś sposób błędna, albowiem byłoby to jedyne wyjaśnienie, dlaczego cudowne uzdrowienie Ramboldka się nie powiodło. Hieronimus chciał koniecznie ów błąd odnaleźć.

Wprawdzie nie zabrał się on od razu za przenoszenie gór, jego oczekiwania były znacznie skromniejsze, ale w ogrodzie za ojcowskim domem znajdował się kopczyk piasku, w którym często się bawił. Teraz postanowił ten kopczyk przemieścić, nie żeby zaraz daleko, tylko o parę kroków. Wieczorami długo i głośno modlił się w łóżku o to, by niebieski ojciec zechciał udzielić mu tego małego znaku swej przychylności. Dla boskiej wszechmocy byłaby to tylko drobnostka, lecz dla niego, Hieronimusa, miałoby to jak największe znaczenie. Następnego dnia biegł pełen radosnego oczekiwania za dom. Kopczyk piasku znajdował się niezmiennie tam, gdzie przedtem.

Odtąd Hieronimus zaczął się nad tym zastanawiać, i wszystkie próby ze strony mamki, by naprowadzić go na inne myśli, trafiały w pustkę. Przyniósł sobie z kuchni ziarno gorczycy i całymi dniami wciąż od nowa się w nie wpatrywał. Jego wiara, tego był całkowicie pewien, była większa, sto albo tysiąc razy większa. Dlaczego więc nie została przez Boga przyjęta?

Zupełnie zdezorientowany wpadł na myśl, że musi Panu udowodnić, jak poważne jest jego pragnienie ujżenia cudu. Pewnego dnia, gdy Lech akurat groził wylaniem, Hieronimus wymknął się potajemnie z domu, pobiegł nad brzeg, wypłynął łódką na środek rzeki, pomyślał o Piotrze, który rzekł: >>Panie, wierzę, zarządź memu niedowiarstwu!<< i bez wahania jednym krokiem przestąpił krawędź łodzi by znaleźć się na spienionej powierzchni wody i przejść po falach. Zamiast tego porwał go wir i wciągnął w głębinę, i o mały włos utopiłby się marnie, gdyby rybacy, którzy w pobliżu temu wszystkiemu się przypatrywali, spiesznie go nie wyciągnęli.

Kiedy Hieronimusa przyniesiono do domu i Theres o wszystkim się dowiedziała, zbesztła go solidnie, osuszyła i położyła do łóżka. Skrycie była jednak z niego dumna, podejrzewała bowiem, że dziecko o tak silnej wierze zostanie kiedyś prałatem albo nawet papieżem. Ale ojcu, Nikolausowi Hornleiperowi, który akurat był znowu w podróży związanej z interesami, po jego powrocie do domu wcale o tym wszystkim nie opowiedziała.

Czas mijał, Hieronimus miał już prawie osiem lat. Większość czasu spędzał na samotnym pętaniu się po lasach i polach wokół miasta. Dawno już zrezygnował z tego, by samemu dokonać czegoś cudownego. Widocznie nie był do tego wybrany, a przyczynę znał tylko Bóg. Ale wciąż miał nadzieję, że spotka w lesie jakiegoś gнома, który by z nim porozmawiał i podarował mu czarodziejski pierścień, albo że ujrzy elfy tańczące wkoło. To pocieszyłoby go na resztę życia, tak myślał, gdyby tylko mógł sobie taką chwilę ciągle przypominać. Lecz nic podobnego nie nastąpiło.

Podczas jednej z takich wypraw został on ukąszony przez jadowitą żmiję. Nie jest pewne, czy chodziło przy tym o wypadek czy też wystawił się on celowo na niebezpieczeństwo, aby sprowokować mieszkańców świata cudów do tego by go uratowali albo choćby pozwolili umrzeć. Być może znał on słowa apostoła, że jednym z ponadnaturalnych darów, jakich Bóg użyczył swym prawdziwym dzieciom, jest odporność na ukąszenia jadowitych żmij. W rosnących bólach dociągnął się z powrotem do domu swego ojca, gdzie padł bez przytomności.

Ta historia już nie mogła zostać przed ojcem zatajona. Przywołani lekarze byli bezradni, bo było już za późno by ranę po ukąszeniu rozciąć i wyssać jad. Zaaplikowane odtrutki zbytnio nie pomagały, i przy delikatnej cielesnej kondycji chłopca trzeba było liczyć się z najgorszym.

Dnie i noce leżał Hieronimus w gorączce, rzucał się na wszystkie strony i krzyczał. Potem znów na godziny zapadał w podobne do śmierci odrętwienie. Hornleiper zawołał po księdza. Po jego wizycie chłopcu nieoczekiwanie nieco się polepszyło, odzyskał nawet jasność myśli. Jego pierwsze pytanie dotyczyło Theres.

>>Odesłałem ją<<, odparł ojciec, >>na zawsze i wystarczająco daleko, byś jej już nigdy więcej nie zobaczył.<<

>>Dlaczego, panie ojcze?<< wyszeptał Hieronimus.

>>Bo się od niej dowiedziałem,<< mówił Hornleiper, >>iż to właśnie ona jest winna tym wszystkim twoim fanaberiom, bo zawróciła ci w głowie czczą gadaniną o cudach i innych bzdurstwach. Zbyt mało się tobą zajmowałem, to prawda. Niechaj od teraz będzie inaczej, synku. Jesteś moim jedynym dziedzicem i potomkiem i winnieneś stać się po mnie przyzwoitym kupcem. Dlatego nadzedeł czas, byś zaprzyjaźnił się z rzeczywistością tego świata.<<

>>Ale ja go nie lubię, tego świata,<< powiedział Hieronimus, >>ja nieustannie tęsknię za tamtym innym.<<

>>Teraz dobrze mnie posłuchaj, chłopcze,<< najechał na niego twardo Hornleiper, >>nie jesteśmy na tej ziemi dla zabawy, cuda i niebiańskie zrządzienia należą do religii. W księgach bankowych niczego nie zgubiły, niechaj pan Bóg nas przed tym strzeże. Tam wszystko musi mieć swoją słuszność, zapamiętaj to sobie.<<

>>Czy to, co napisane jest w Piśmie Świętym nie ma swej słuszności?<<

>>Z pewnością ma.<<

>>Ale panie ojcze, czy może istnieć podwójna słuszność?<<

Nikolausowi Hornleiperowi uderzyła krew do głowy, tak silnie, że napęczniały mu żyły, i musiał zadać sobie wielki trud, by utrzymać w spokoju swą rękę.

>>Raz na zawsze,<< rzekł ochryple, >>skończ z tą błazeńską gadaniną starych bab. Zabraniam ci tego i basta! Sam zbawiciel powiedział, że błogostawiony jest, kto wierzy nie widząc znaków ani cudów.<<

>>Przecież ja wierzę, panie ojcze.<<

>>Skoro tak, po co wszędzie szukasz tego, co na nic się zdaje? Ciesz się, synu, światem, jakim on jest, bo innego wszak nie masz, i bądź mężczyzną, solidnym i uczciwym kupcem. Już to niebu wystarczy.<<

Hieronimus przymknął oczy i przez krótką chwilę milczał. Ojciec już uwierzył, że go przekonał, lecz wtedy chłopiec słabo potrząsnął głową i szepnął: >>Nie wiem jak powinienem wam to powiedzieć, panie ojcze, ale ja nie potrafię tak żyć. Czuję się tak, jakbym zawsze musiał czekać i mieć nadzieję na miłe pozdrowienie z prawdziwej ojczyzny, tylko jako znak, że nie całkiem mnie tam zapomniano, gdy jestem tu na obczyźnie.<<

Nikolaus Hornleiper w rzeczy samej nie rozumiał, co jego syn chciał przez to powiedzieć, dlatego odparł

surowym tonem: >>A cóż do karta jest w tobie takiego nadzwyczajnego, że akurat ty miałbyś być godny takiej informacji?<<

Hieronimus znowu długo się zastanawiał, zanim z wielkim wysiłkiem odpowiedział: >>Znaki i cuda, o których opowiada Pismo Święte - czy nie przydarzyły się one całkiem zwyczajnym ludziom?<<

>>Uparciuch!<< krzyknął Hornleiper, którego teraz jednak ogarnęła złość, >>Czy zawsze znajdziesz jakieś słowo na słowo twego ojca? To, o czym mówisz, to był czas łaski, gdy sam nasz Pan stąpał po tej ziemi. Teraz są inne czasy.<<

>>Wybaczcie mi, panie ojcze,<< słabiutko mruzczał Hieronimus, >>ale jak by to mogło być, żeby niebiańskie znaki zależały od dobrych albo złych czasów na tej tutaj ziemi?<<

Na to poderwał się Hornleiper, zacisnął dłonie w pięści i wybiegł z pokoju chorego, aby na ostatku jednak nie podnieść ręki na niewydarzonego syna.

Zaraz następnego dnia zaangażował prywatnego nauczyciela, aby ten przyswoił Hieronimusowi czytanie, pisanie, rachunki, geografię a także język włoski, bo utrzymywał stosunki handlowe z Genuą i Wenecją. A wybrał do tego celu człowieka uczonego w teologii, bo wobec takiego mógł on najpewniej liczyć na to, iż ten wybije chłopcu z głowy wszystkie jego duchowe rojenia i przesady: Wybór padł na pewnego kanonika nazwiskiem Anton Egerling, będący jednym z tych ludzi, którzy już za młodych lat mają wygląd starczy i kościsty. Dla niego religia oznaczała przede wszystkim stosowanie się do sztywnie pojmowanej moralności, wszemu co mistyczne albo nawet magiczne był on nieprzejednanym wrogiem. Później, mówiąc na marginesie, został on powołany jako współpracownik Świętego Oficjum w Rzymie, gdzie wykazał się obalaniem i zwalczaniem heterodoksyjnych nauk. Tak więc w ciągu kolejnych lat Egerling nauczał chłopca wszystkich tych rzeczy, których miał go nauczyć, bez zamienienia ze swym wychowankiem

choćby tylko jednego osobistego słowa. Hiernimus okazał się złym uczniem. Nie, żeby się wzbraniał, przeciwnie, starał się jak mógł, ale było mu tak, jakby musiał przeżuwać sieczkę. Żuł i żuł i dławił się i połykał jedynie pustą słomę, która stawała mu w gardle. Lecz Egerling stosował rodzaj obojętnej cierpliwości. Bez karcenia, z apatyczną twarzą rozpoczął każdy rozdział od nowa, i jeszcze raz, i jeszcze raz, jak tresuje się niepojętne zwierzę, aż mechanicznie zacznie czynić to, czego się od niego oczekuje. Hieronimus w ciągu tej nauki nic nie zyskał, coś jedynie utracił, a to swą zdolność do marzeń. Jak głodny marzy o chlebie, nie stając się przez to syty, tak on w swych nocnych marzeniach kołł tęsknotę do cudów, i budził się rankiem z pustymi rękami. Teraz został on pozbawiony nawet tej wątpliwej pociechy.

Mając lat piętnaście Hieronimus przeżył z córką jednego z sąsiadów, ładną, w swych uczuciach raczej bez polotu dziewczyną, swoją pierwszą miłosną historię. Ponieważ młodzieniec jeszcze wciąż potajemnie szukał cudowności, której w niej jednakże nie mógł znaleźć, już wkrótce owa całkiem cnotliwa historyjka zakończyła się gorzkim rozczarowaniem, które zresztą było obopólne. Hieronimus zamknął się w sobie jeszcze bardziej.

Skończył akurat siedemnaście lat, gdy jego ojciec, stary Nikolaus Hornleiper, zupełnie nagle zmarł w wyniku krótkotrwałej febry, szerzącej się w okolicy. W ciągu jednej nocy Hieronimus znalazł się w posiadaniu ogromnego majątku. W ciągu następnego czasu wiele domów kupieckich w Niemczech, ale także w Wenecji i Genui zaproponowało mu związek małżeński ze swymi córkami, aby przy pomocy rodzinnego klanu wzmocnić albo nawet rozszerzyć wspólną finansową siłę. Jednak Hieronimus wykazał się w tej kwestii całkowitym brakiem zainteresowania. Tak przeminął kolejny rok, a potem wydarzyło się coś, co wprawiło w osłupienie cały Augsburg. Hieronimus ogłosił publicznie, iż zrzeka się ojcowskiego dziedzictwa, i, nie troszcząc się choćby w najmniejszym stopniu o testamentary zapis, znikł z miasta dosłownie w ciągu jednej nocy nie zabierając ze sobą nic prócz tego, co miał akurat na sobie. Pomimo wszelkich starań magistratu i urzędników jego ojca, nie

zdołano go odnaleźć. A miało się to tak:

Niewiele dni wcześniej przybyła do miasta trupa kuglarzy, która codziennie dawała na rynku przedstawienia. Spośród akrobatów, linoskoczków, klaunów i połykaczy ognia szczególnie wyróżniał się pewien stary sztukmistrz i uzdrowiciel, który dokonywał niewiarygodnych cudów, jakich dotąd jeszcze nigdy nie widziano. Podróżował on na ciągnionym przez dwa kare konie, wysokim pudełkowatym, kruczo czarnym wozie, który jednocześnie służył mu za scenę, laboratorium, sypialnię i arsenał jego magicznych urządzeń. Wieść o jego cudownych czynach dotarła również do Hieronimusa, a ten w te pędy udał się na miejsce występu.

Doktor Tutto Eniente - co można by przetłumaczyć jako 'wszystko i nic' lub też 'wszystko jest niczym' - był małym, sprawiającym wrażenie wysuszonego, mężczyzną z niezliczoną ilością bruzd i zmarszczek na twarzy, z której pobłyskiwała para trzeźwych, kpiących oczu, i niezwykle drobnokościstych, niesłychanie ruchliwych dłoniach. Na łysej czaszce nosił osobliwą skórzaną czapkę i szeroki płaszcz z granatowego, ciemnego jak nocne niebo aksamitu, bogato haftowanego symbolami nieznanego pochodzenia. Jego głos brzmiał niespodziewanie dźwięcznie i był słyszalny z daleka, jego mowa była pokręconą mieszaniną niemieckich i włoskich zwrotów, albowiem, jak wyjaśniał, pochodził on z najniższego czubka buta, którego kształt miał jego kraj, z ojczyzny fata morgany.

Z bijącym sercem i z razu na raz rosnącym podnieceniem Hieronimus wciąż powracał na każde przedstawienie Tutto Eniente i ze wstrzymanym oddechem przyglądał się jak tamten za pomocą czarodziejskiego ekstraktu przywracał do życia zabite gołębie, jak zamieniał wodę w wino a kamienie w chleb, jak uderzeniem swej różdżki sprawiał, że z gołej ziemi wytryskiwało źródło i jak szybował w dół z wierzchołka kościelnego dachu, nie zahaczając stopą nawet o jeden kamień, jak pozwalał odcinać sobie mieczem ucho i smarując miejsce cudowną maścią znowu je uzdrawiał, bez pozostawienia choćby

jednej blizny. Jego sztuka zdawała się być niewyczerpana. Kazał sobie przynieść z rynku rybę i znalazł w niej, co wcześniej zapowiedział, złotą monetę. Sprawiał, że w ciągu krótkiego czasu z ziarenka wyrastało owocowe drzewko. Przepowiadał ludziom przyszłość z ruchu gwiazd i z linii na ich dłoniach, oraz sprawiał, że zjawiały się i przemawiały duchy zmarłych. W międzyczasie sprzedawał czarodziejskie eliksiry i maści, proch i amulety i przeróżne inne dziwne rzeczy za pomocą których dokonywał swego dzieła.

Ze względów zawodowych Tutto Eniente był wyćwiczony w przenikliwym obserwowaniu każdego pojedynczego widza, tak by ten tego nie zauważył. No i oczywiście nie uszedł jego uwadze młodzieniec, który podczas wszystkich przedstawień stał w pierwszym rzędzie i niekiedy zdawał się walczyć z omdleniem. On, który innych wprawiał w zadziwienie, już od dawna niczemu się nie dziwił. Dlatego nie był zaskoczony, kiedy po ostatnim przedstawieniu ostatniego wieczora, podczas gdy już się pakował, przystąpił do niego ów młody człowiek i żarliwie poprosił go o to, by wolno mu było z nim pójść i zostać jego uczniem. Ta propozycja była mu nawet na rękę, bowiem do niektórych sztuk potrzebował asystenta. Jego dotychczasowa pomocnica, młoda kobieta z Francji, znikła mu w rezultacie miłosnego porywu serca. Od tamtej pory musiał wykreślić ze swego programu najbardziej efektowne numery. Dlatego też zgodził się bez zbędnych ceregieli i powiedział Hiernimusowi, że tak naprawdę to właśnie z jego powodu przybył do Augsburga, bowiem jego kabalistyczne studia wykazały, iż tutaj odnajdzie swego ucznia i towarzysza wędrowki.

Tak więc oto stało się, że Hieronimus tej nocy odrzucił od siebie nie tylko ojcowski spadek, lecz także swoje dotychczasowe nazwisko, ba, cały miniony byt, i o szarym świcie na zawsze opuścił rodzinne miasto. Jako że po pewnym czasie ogłoszono go za zmarłego bądź zaginionego, majątek Hornleipera przyznano jego dalekiemu krewnemu, który, nie posiadając smykałki do interesów, w ciągu krótkiego czasu go zaprzepścił.

W ciągu następnych lat Hieronimus podróżował, teraz pod imieniem „il Matto”, z doktorem Tutto Eniente po krajach Europy. Jego nowe imię oznaczało tyle co błazen albo głupiec, a mistrz nadał mu je z dobrego powodu, była to bowiem rola, jaką musiał odgrywać podczas przedstawień. Był oferumą, której nic się nie udawało, aż wreszcie włączył się wszytkowiedzący doktor i doprowadził do szczęśliwego końca; był ofiarą, która dygotała ze strachu; był parobkiem szelmą, który dostawał lanie; wszystko to, rozumie się, nie na poważnie, lecz ku uciesze publiczności i aby dodać blasku Tutto Eniente.

Często samotnie przemierzali drogi na swym wozie od miejsca do miejsca i od jarmarku do jarmarku, niekiedy jednak przyłączali się do wagarujących grup kuglarzy. A że Tutto Eniente był mężczyzną praktycznie myślącym, wykorzystywał takie okazje, by zatroszczyć się o to, żeby jego uczeń, którego chłopięcą niewinność naturalnie nie uszła jego uwadze, został przez odpowiednie damy wtajemniczony w sztukę miłości cielesnej, przy czym nie było to wtajemniczenie akurat przesadnie skromne a już na pewno nie cudownego rodzaju. Jeśli Matto żywił jeszcze jakąś kruchą nadzieję, że uda mu się na tym polu zaspokoić jego tęsknotę za czymś tajemniczym i baśniowym, to iluzja ta prędko teraz spłonęła i przemieniła w żalną garstkę popiołu.

Ale jeszcze inne wtajemniczenie okazało się nieuniknione, i nawet jeśli odbywało się ono krok po kroku, Matto odczuwał je niemal jako jeszcze bardziej rozczarowujące, sprawiające wielki zawód. Ponieważ Tutto Eniente potrzebował świadomej współpracy swego ucznia, musiał mu na dobrą lub złą sprawę wyjawić, jakim sposobem i jakimi środkami dokonywał wszystkich swoich cudów. Jeden po drugim nauczył go wszystkich trików i sztuczek. Matto wprawdzie przyjmował to w milczeniu, ale odznaczał się nadzwyczajnym talentem. Już po trzech latach nie tylko dorównał swemu mistrzowi, lecz w niektórych przypadkach wykazywał się nawet większą biegłością. Stary szarlatan bardzo się z tego cieszył, albowiem tym sposobem zyskał godnego następcę swej sztuki, z którego był dumny niczym z własnego syna,

wprawdzie nie zrodził się on z jego lędźwi, ale jednak z jego kreatywnej mocy. Czuł też, że koniec jego ziemskiej wędrówki już niezbyt był odległy i że wkrótce będzie musiał przekazać czarodziejską różdżkę w inne ręce. Dlatego nie bez troski obserwował tego młodego człowieka, który, gdy czuł się sam i nieobserwowany, często godzinami patrzył w bezruchu przed siebie.

Pewnego wieczora, gdy z powodu ulewnego deszczu postanowili przenocować w przydrożnej stodole, stary zapytał: >>Figliolo mio, dimmi un po' - czego oczekiwałeś, gdy do mnie przyszedłeś?<<

>>Co przez to rozumiecie, mistrzu?<<

>>Oczekiwałeś prawdziwych cudów?<<

Matto milczał jakąś chwilę i zastanawiał się, następnie zrezygnowany wzruszył ramionami. >>Już nie wiem, czego oczekiwałem. I nie wiem, czego oczekuję jeszcze teraz.<<

>>Ascoltami, Matto - posłuchaj. Ty i ja, jesteśmy artystami, siamo artisti, ecco. Artyście nie wolno wierzyć w cuda, inaczej sam nie może ich produkować. Dlatego, kto wierzy w cuda, nigdy nie będzie prawdziwym artystą - mai e poi mai!<<

Matto wpatrywał się w milczeniu przed siebie. Stary usilnie ciągnął szeptem dalej: >>Czyż jeszcze nie zrozumiałeś? Nasza mestiere to kłamstwo, iluzja. Wszelka sztuka jest taka. Malarz maluje obraz, ludzie podziwiają go ze wzruszeniem, nieraz nawet płacą zań wiele pieniędzy, ale in realtà, czymże on jest? Kawałkiem płótna i garstką farby. Całej reszty wcale nie ma, non esiste! È soltanto un' illusione! Aktor doprowadza ludzi do śmiechu lub płaczu, ma tutto è finto! Albo ci wielcy poeci, opowiadają długie historie, które nigdy się nie zdarzyły i nigdy nie mogą się zdarzyć. Wszystko jest kłamstwem, ecco! I dlaczego by nie? Świat chce być oszukiwany, Matto mio. I tak istnieją dobrzy i źli łgarze oraz prawdziwy artysta, un vero artista, musi on być mistrzem kłamstwa. Musi on przekonać ludzi, że oglądają prawdziwy cud. Ludzie

chcą tego, a my, Matto, tylko spełniamy ich pragnienie. My wiemy, jak to się robi. Ecco tutto!<<

>>A prawdziwe cuda,<< zapytał chłopiec, >>nie ma ich?<<

>>Ragazzo,<< odrzekł stary wzdychając, >>jestem więcej niż trzykrotnie starszy od ciebie i wiele wędrowałem po świecie, ho girato il mondo. Słyszałem o świętych, którzy z najszczerzego zachwytu podczas odczytywania mszy zaczynają unosić się w powietrzu - purtroppo, niestety, gdy się tam pojawiłem, aby to ujrzeć, to akurat nic z tego nie wychodziło, wyjątkowo. Uzdrawiali poprzez przyłożenie dłoni, ale chorzy i tak trzy dni później umierali, poveracci. Słyszałem o słynnych alchemikach, którzy poprzez dodanie jakiegoś czerwonego proszku przemieniali ołów w złoto, la pietra filozofale, i pojechałem tam i przyglądałem się temu, okazało się, że to sztuczka, którą ja sam robiłem nawet jeszcze lepiej. In oriente - też tam byłem - słyszałem o wielkich mistrzach tajemnej nauki. Sono andato a cercarli - odwiedziłem ich, a oni gadali i gadali i wyjaśniali cały świat, il cielo e la terra, i prawili kazania o braterstwie, quei santoni lì, i o wyrozumiałości i miłości bliźniego, ale między sobą byli zwaśnieni i kłócili się niby przekupki i intrygi knuli niczym dworaki, e perchè? Bo każdy z nich chciał być tym jedynym prawdziwym Jakubem i najbardziej wtajemniczonym z wszystkich wtajemniczonych. Rozmawiałem z prorokami, którzy do tej pory rzekomo zawsze potrafili wszystko prawidłowo przepowiedzieć, bowiem Bóg personalmente albo la madonna santa objawiła im, co wkrótce się wydarzy lub kiedy nastąpi koniec świata i dojdzie do sądu ostatecznego, il giudizio universale. Oni sami w to wierzyli, sì, ci credevano davvero! Ich zwolennicy też, już się nawet na to zmusznie przygotowali. Però il mondo gira ancora - a świat wciąż się kręci, widocznie Bóg rozmyślił się, i nic z tego nie wyszło. No, Matto mio, cudów nie ma, prócz tych, których dokonujemy my sami, ecco.<<

>>A Jezus?<< spytał cichutko Matto, >>czy nie respektujecie nawet jego, mistrzu?<<

Tutto Eniente uśmiechnął się chytrze.

>>Come no!<< zawołał >>ma sì che lo rispetto, anzi! Lo ammiro, è il nostro collega più grande - respektuję go jakby to powiedzieć ze względów zawodowych. La imitatio Christi jest moim ideałem. On był jednym z nas, był z naszego rzemiosła. Figuranti un po': Najpierw zapowiada, co zamierza przedstawić, tak samo jak my. Pozwoli się ukrzyżować, potem zostanie pogrzebany, potem zmartwychwstanie i będzie trochę chodził po świecie i na koniec wstąpi do nieba. A później przedstawia to, dokładnie tak jak my. Per Bacco, che programma, ragazzo! Wiele dałbym za to, żeby dowiedzieć się jak to zrobił. Zasłużenie stał się dzięki tej sztuczce słynny na cały świat. Podziwiam go, che professionista!<<

W czasie tego przemówienia swego mistrza Matto stał się zupełnie błądy. Pomału zwrócił swoją twarz ku staremu kuglarzowi i zacinając się zapytał: >>A więc też nie wierzycie w Boga?<< >>No,<< odrzekł stary sucho. >>Ja nie. Ale założmy, że on jest - embè? On się nie ujawnia, il padre eterno, a nawet zachowuje się tak, jakby go w ogóle nie było. On milczy, On jest niewidzialny, On sprawia wrażenie, jakby zależało mu na tym, abyśmy radzili sobie bez niego. E chi sono io - kimże jestem, aby mu zaprzeczać. Jeśli On zachowuje się tak, jakby Go nie było, tak też robię i ja. Insomma, jest czy nie jest, che differenza fa? Per noi poveri mortali è lo stesso. Nam może być wszystko jedno, dunque...<<

>>Ale w takim razie jaki to wszystko ma sens?<<

>>E che ne so io, nie mam pojęcia, i wcale mnie to nie interesuje. Mogę żyć także bez sensu. Jeśli bowiem istnieje jakiś sens, tylko jemu znany, to daje nam to ben poco - serdecznie niewiele. Jeśli go jednak nie ma, po co łamiemy sobie głowy? No, no, Matto, raduj się i przestań szukać cudów. Przypadkiem trafiamy na świat, i przypadkiem znowu z niego schodzimy. Pomiędzy tym mamy czas na troszkę kuglarstwa. Niektórzy ludzie chcą być bogaci; niektórzy dążą do władzy lub jakiegoś innego szczęścia. Niewiedzący łudzą siebie samych, wiedzący łudzą innych. Ecco la differenza! E ti dico una cosa: bez nadziei i sumienia żyje się łatwiej. Allora, but-

tale via! Odrzuć je.<<

Po tej rozmowie w Matto zaczęła następować jakaś zmiana. Jeszcze nigdy, odkąd żyje, smutek nie opuszczał go całkowicie. Od czasu do czasu schodził na dalszy plan, ale zawsze i wszędzie mu towarzyszył. Teraz jednak znikał coraz skuteczniej, im dłużej myślał o słowach Tutto Eniente. Na zupełnie nieznanym mu dotąd sposobie czuł się lekki i wolny. Ponieważ nie miał w tych sprawach doświadczenia, uznał to uczucie za lekkość wolności. Naprawdę była to jednak lekkość pustki.

Niewiele miesięcy później na słomianej podściółce w kącie jakiejś wiejskiej gospody zmarł stary cudowny uzdrowiciel w wyniku rany zadanej mu przez plądrujących maruderów, bowiem przez ów kraj przewalała się akurat wojna. Nie zdołały mu pomóc wszystkie jego czarodziejskie eliksiry. Matto nie opłakiwał go, nawet go nie pogrzebał, lecz samotnie ruszył dalej w drogę. Jako że był odrzucił nadzieję i sumienie i nie szukał już żadnego sensu, nie patrzył też ani przed ani za siebie, żył tylko chwilą. Może to właśnie dlatego od owego dnia zaczęła niepowstrzymanie wschodzić jego gwiazda szarlatana.

Na wstępie zmienił po raz kolejny swoje imię. Od teraz nazywał się Conte Athanasio d'Arcana i rozpowszechniał plotkę, jakoby miał więcej niż trzysta pięćdziesiąt lat i był w posiadaniu eliksiru życia. Z własnego minionego opętania ideą cudu i tęsknotą do ponadnaturalnego wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, w jaki sposób można najlepiej zafascynować ludzi. Doprowadził do perfekcji to, co przekazał mu jego nauczyciel, i już wkrótce przerosł go pod każdym względem. Gdziekolwiek dotarł, nie przepuścił żadnej szansy rozszerzenia własnych umiejętności. Słyszał o cudotwórcach i czarodziejach pokazujących sztuczki, których zasada działania jeszcze nie była mu znana, podążał za nimi nierozpoznany, zapewniał sobie dostęp do ich aparatury i tak długo studiował daną rzecz, aż ją przejrzał, a wtedy czynił z niej coś znacznie lepszego i bardziej skutecznego. Niekiedy odkupował od nich jakąś tajemnicę za ciężkie pieniądze, których teraz nigdy mu nie brakowało.

Nie podążał już tylko od wioski do wioski i od miasta

do miasta, był on bowiem zapraszany do wyśmienitych i wpływowych domów, a nawet do książęcych i królewskich pałaców, aby swą sztuką wprawiać ich mieszkańców w zachwyty. Król Polski zorganizował nawet festyn na cześć Conte d'Arcana, a sułtan Konstantynopola całkiem na serio chciał uczynić go swym ministrem finansów, aby dzięki jego magicznym metodom raz na zawsze uzdrowić państwową gospodarkę. W Egipcie powstała sekta, która czciła go jako zmartwychwstałego Hermesa Trismegistosa, a w Hiszpanii o mały włos a skończyłby na stosie jako nekromanta, gdyby kardynałowi Wielkiemu Inkwizytorowi w porę nie zdradził i nie przyswoił kilku najlepszych czarodziejskich sztuczek, które tamten później zwykł sam demonstrować swym dostojnym gościom.

Osobliwy mrok oraz aura nietykanej melancholii, które otaczały Conte Athanasio d'Arcana, czyniła go tudzież wysoce przyciągającym dla kobiet, zwłaszcza tych wyżej urodzonych, bowiem akurat na ich przychylność nie zwracał żadnej uwagi. A że przywykł traktować siebie, własną osobę, z pewnego rodzaju obojętnym chłodem, ba, wręcz z nieuwagą, pozwalał się uwodzić, nie różniąc przy tym, czy wplątywał się w prostoduszne czy też niebezpieczne przygody, czy były one marzycielskiego czy też zdrożnego rodzaju. Jednakże każdemu poważniejszemu związkowi wymykał się z dużą zręcznością. Do czterdziestego drugiego roku życia trwał czas jego ciągle rosnącej sławy i blasku, i niemal w żadnej kronice nie brakuje imienia Conte Athanasio d'Arcana, nawet jeśli oczywiście jest ono wymieniane prawie zawsze w powiązaniu z jakimiś skandalicznymi okolicznościami.

Nie wiadomo w jakim kraju przytrafiło mu się następujące zdarzenie, które miało w jego życiu spowodować kolejny zupełnie nowy zwrot. Należy przyjąć, iż znajdował się on w trakcie ucieczki przed jakimś oszukanym mężem lub kimś wykpionym na inny sposób, kto wpadł na jego ślad, gdy on sam beznadziejnie zagubił się w dzikiej skalistej okolicy. Czy owo zdarzenie, które go tutaj oczekiwało, odbyło się na płaszczyźnie zewnętrznej ziemskiej rzeczywistości czy może w wyższym wymia-

rze jakiegoś wizjonerskiego snu, niechaj zostanie pozostawione do własnej oceny tego, kto o tym usłyszał. Conte Athanasio d'Arcana przeżył je w każdym razie z większym natężeniem aniżeli wszystko inne, co mu się dotąd przytrafiło.

Było blisko wieczora, a on zniecała znalazł się przed wysokim murem cyklopowym, który rozciągał się w obie strony nie wiadomo jak daleko. Po tym jak przez jakiś czas wędrował wzdłuż tego muru, nagle stanął przed potężną bramą, która zdawała się być z jakiegoś nieznanego, niebieskawo połyskującego metalu. Jej skrzydła były zamknięte i nadzwyczaj bogato przyozdobione obrazami i figurami. Na wysoko nad nią sklepionym łuku znajdowały się słowa, które czytał i w swym wnętrzu jednocześnie odbierał jako głos, choć wokół panowała najgłębsza cisza:

OTO JEST BRAMA
DO ŚWIATA PRAWDZIWYCH CUDÓW.
KTO JEST CZYSTEGO SERCA,
NIECHAJ JĄ PRZESTAPI.

Athanasio d'Arcana stał nieruchomo w miejscu i czytał napis wciąż od nowa. Jego duch wzdrygał się przyjąć ich treść, ale ta stopniowo wdzierła się do jego świadomości niczym rozgorzały pożar, w którym cała jego chimeryczna tożsamość spłonęła niby słomiana kukła. Cała nostalgia za ojczyzną, cała szlochająca tęsknota jego dziecięcych dni, o której myślał że dawno ją przemógł i zarzucił, wydostała się z podwójną i potrójną siłą z głębi jego duszy i rozrywała mu serce.

Wreszcie odnalazł to, czego szukał przez całe swoje życie - ale teraz było już za późno. Chciał zrobić krok w stronę bramy, aby zakłatać i poprosić o wpuszczenie, lecz w tym samym momencie ogarnął go przepotężny lęk, który go dosłownie sparaliżował. Nie mógł poruszyć ani jednego członka, pot spływał mu po twarzy. Wiedział, że za tym progiem czekało to całkiem inne, któremu musiał się oddać i wydać, nawet jeśli jego maleńkie Ja miało rozprysnąć się na miliony atomów. Wiedział, że nie mógłby już żyć, gdyby teraz tego progu nie przestąpił. I

wiedział, że nie miał do tego odwagi. Był niegodny. Na zawsze utracił prawo wejścia do swej ojczyzny.

Ale też już nie mógł odejść. Był przykuty do tego miejsca, unieruchomiony jak mucha w bursztynie. Tak stał tam przez całą noc i przez kolejny dzień.

To że kradł, kłamał i oszukiwał, nie miało tutaj żadnego znaczenia, czuł to z całą jasnością. Gdyby mordował, nawet wtedy byłoby zawsze możliwe być w sensie tego napisu człowiekiem czystego serca. Ale on zdradził i sprzedał swą najgłębszą wiarę w cudowność. Był to grzech przeciw duchowi owej krainy, grzech który nie mógł mu zostać wybaczony, bowiem on sam go sobie nie wybaczył. Pierwotne prawo, pozwalające mu być obywatelem tej krainy, zamienił na grochówkę wątpliwej sławy i bogactwa w wątpliwej zewnętrznej rzeczywistości. Jak kiedyś był obcym po tej stronie progu, tak teraz niechybnie i na zawsze stał się wygnańcem stamtąd. Każdy inny, którego los przyprowadziłby przed tę bramę, mógłby ją bez wahania przestąpić, każdy - tylko nie on. Jemu był wstęp nieodwołalnie zabroniony.

Gdy ponad dzikim krajobrazem schylił się kolejny wieczór, odwrócił się i odszedł. Podczas gdy wędrował poprzez jasną księżycową noc, starannie wychwytywał wzrokiem każdą osobliwą skałę i każde niezwykle drzewo i niezmywalnym atramentem szkicował w pamięci przebieg przebytej przez siebie drogi. Czynił to nie dlatego, żeby kiedyś może on sam mógł tę ścieżkę dla siebie odnaleźć, lecz chciał dopomóc innym - godniejszym od niego i szukającym, jak on kiedyś szukał - w odnalezieniu bramy do Świata Prawdziwych Cudów. Tym sposobem jego życie w końcu jednak okazałoby się nie zupełnie bezużyteczne. Po siedmiu dniach i siedmiu nocach powrócił, pół żywy z niedostatku i w podartym odzieniu, do świata ludzi. Jako że miał on jeszcze przy sobie pieniądze, jakiś gospodarz przyjął go do siebie i dał mu na noc pokój. W chorobie przeleżał tam prawie cały miesiąc.

W tym czasie wytworzyło się w nim wyobrażenie, iż cała ludzkość jest nieskończenie długim łańcuchem, łączą-

cym Niebo z Ziemią. Ani jedno ogniwo w tym łańcuchu nie miało samo w sobie żadnego znaczenia, każde z nich było zależne od wszystkich innych i służyło całości. I górne ogniwa nie znaczyły więcej niż te na dole. Gdziekolwiek było ich miejsce, były jednakowo ważne. Ten obraz dodał mu otuchy.

Gdy wyzdrowiał, jeszcze raz wybrał dla siebie nowe imię, gdyż stare spłonęło wraz z jego dotychczasowym bytem. Teraz zwał się on Indicavia, co znaczy 'Drogowskaz'.

Gdy ludzie go pytali, co to imię ma oznaczać, zwykł im to wyjaśniać w następujący sposób: Drogowskaz nie jest sam w sobie niczym więcej niż bezwartościowym kawałkiem drewna, zwietrzałym i może nawet spróchniałym. On sam nie potrafi przeczytać, co zostało na nim napisane, a jeśli by i mógł, to i tak nic by z tego nie rozumiał. Nigdy też nie może udać się tam, dokąd wskazuje drogę, przeciwnie, jego zadaniem jest stać, gdzie stoi. Może to być wszędzie, każde miejsce jest jednakowo dobre, oprócz jednego, tego, na które wskazuje. Jest to jedyne miejsce, gdzie byłby on całkowicie bezużyteczny i pozbawiony sensu. I właśnie dlatego, że nie jest tam, dokąd drogę wskazuje, służy tym, którzy drogi tej szukają.

Ludzie na takie gadanie tylko kiwają głowami albo uznają je za jakąś mistyfikację.

Pod imieniem Indicavia podjął więc swój stary zawód, bo innego wszak się nie wyuczył, ale odtąd wykonywał go inaczej niż kiedyś. Teraz wykorzystywał on swe umiejętności nie po to, by ludzie naprawdę wierzyli mu, iż posiada ponadnaturalne zdolności i rzeczywiście czyni cuda. Podczas każdego przedstawienia wyjaśniał publiczności, że wszystko czego dokonuje polega na zdolnościach manualnych i jest zwykłym kuglarstwem, które da się w jak najbardziej naturalny sposób uczynić zrozumiałym i pokazywanym jedynie ku uciesze widzów. Już wkrótce musiał jednak doznać doświadczenia, że akurat dlatego utracił przychylność i zainteresowanie swej publiczności. Tutto Eniente miał rację, gdy mówił, że ludzie chcą być oszukiwani. Ani wielkim panom ani prostemu

ludowi ani trochę nie zależało na sztuczkach, które dają się wyjaśnić. Niemniej gdy Indicavia zaczął do tego jeszcze publicznie ogłaszać, iż wszystkie jego pokazy nie mają być niczym innym, aniżeli wskazaniem na Świat Prawdziwych Cudów, przed którego progiem ongiś się znalazł i do którego drogę może opisać każdemu, kto poważnie jej szuka, wyśmiewano go a kilka razy został nawet pobity. Uważano go za pomyleńca albo oszusta. Dopóki oszukiwał, wierzył mu cały świat. Natomiast jego jedyna prawda została uznana za oszustwo.

Od tego czasu Indicavia nie wyjawiał swej tajemnicy i ograniczał się jedynie do wyznania, że wszystko co pokazuje jest tylko kuglarstwem. I tak ciągnął dalej od jarmarku do jarmarku i od spelunki do spelunki. Nie było to wiele, co ludzie byli mu za jego sztuczki gotowi dać, jednakże pozwalało mu przetrwać. W kolejnych latach Indicavia rozwinął w sobie niezawodny sposób wyczuwania „bezdomych dusz”, jak je nazywał ku pamięci swej własnej młodości i dzieciństwa. Nie robił przy tym żadnej różnicy pomiędzy ladacznicami a mieszczchańskimi córami, szlachcicami a włóczęgami, ludźmi bardzo wykształconymi a biednymi węglarzami. Nie ważył się oceniać czyjejs wewnętrżnej dojrzałości lub godności, albowiem wiedział, że Świat Prawdziwych Cudów przykłada całkiem inną miarę niż ziemską. Udawało mu się znaleźć sposobność przeprowadzania potajemnych rozmów z takimi ludźmi i wskazania im drogi do owej bramy. I rzeczywiście niektórzy z nich udali się w podróż.

Czas, jak wiadomo, nie tylko leczy rany, lecz także odbiera prawdziwość naszych wspomnień. Im starszy Indicavia się stawał, tym mniej był pewien tego, że kiedyś rzeczywiście stał przed ową tajemniczą bramą. Bronił się przed tym z całych sił, a i tak coraz częściej ogarniały go wątpliwości, czy owo przeżycie nie było jedynie wytworem jego własnego pragnienia, by coś takiego naprawdę gdzieś się znajdowało. Coraz bardziej i bardziej, gdy o tym z kimś rozmawiał i wskazywał drogę, zdawało mu się, że przypomina sobie tylko swe wcześniejsze wywody na ten temat. I za każdym razem rosła w nim pogarda do samego siebie. Większości z tych, którzy podążyli za jego wskazówka-

mi, nigdy więcej nie ujrzał. Przyjmował więc, że poprzez niego odnaleźli oni drogę do Świata Prawdziwych Cudów. Uczepił się tej myśli niczym rozbitek deski. Kiedyś zdarzyło się jednak, wiele lat później, że jedną z tych osób znowu spotkał. Było to w pewnym holenderskim portowym burdelu, w którym w osobie tłustej patronki rozpoznał swego czasu anielsko piękną i niewinną dziewczynę, której powierzył swą tajemnicę. Od niej dowiedział się, że w opisanym przez niego miejscu nie udało się jej owej bramy odnaleźć. Posądziła go o kłamstwo i obwiniła za zły los, gdyż właśnie ta podróż, w którą ją wysłał, doprowadziła ją do zguby.

Od tego momentu duch Indicavii zaczął doznawać pomieszania. Jedynym usprawiedliwieniem jego absurdalnego życia było jeszcze tylko to, że w zupełnej pokorze wolno mu było być przynajmniej drogowskazem. Lecz teraz nawet to okazało się być iluzją. Nie pozostało mu już nic. Rzeczywistość i fikcja, prawda i oszustwo, Bóg i świat - wszystko ukazało mu się jako niestotna złudna gra, pogmatwany sen, którego nikt nie śnił. I gdzieś w tym labiryncie szaleństwa stał on sam, drogowskaz, który wskazywał donikąd.

Zamilkł tak całkowicie, jakby utracił mowę. Brzydził się każdego słowa, i starał się nie myśleć. Resztkę pieniędzy, które mu jeszcze zostały, przepił w złodziejskich knajpach, a kiedy był już kompletnie pijany, śmiał się z pustki tego świata. Gdy kompani prosili go o pokazanie jednej z jego sztuczek, potrząsał tylko uparcie głową. Nie sądził już, że do tego wielkiego złudzenia i sennego marzenia ludzkiego bytu powinien produkować jeszcze swoje, małe i osobiste, choćby tylko dla uciechy motłochu. Przez te ekscesy jego ciało zaczęło słabnąć a głowa stawać się coraz bardziej tępa. Swą sprawność, uzyskaną w wyniku wieloletnich ćwiczeń, utracił w krótkim czasie. Na tym jednak wcale mu już nie zależało. Nie był teraz w stanie chcieć czegokolwiek. Nawet nie próbował zapobiec własnemu upadkowi, a upadł nisko. Nikt nie rozpoznałby w tym nędzym kłębku, który pochrapując leżał w ulicznych rynsztokach albo żebrał po knajpach, owego kiedyś jakże świetnego Conte Athanasio d'Arcana.

Jako że nie miał już żadnego celu, nie zważał na drogi, które przemierzał, i stało się, że wcale tego nie chcąc, dotarł w ową dziką okolicę, gdzie dawno temu ujrzał bramę do Świata Prawdziwych Cudów. Lecz tym razem bramy nie było.

(...)

Jędrzej Morawiecki

Rzeczywista płynność

a może inna opcja?
taka bardziej eko

wiesz,
podobno
placebo działa w
40 procentach

zupełnie jak żyto
zwarzone lipcowym słońcem

tamci wiedzą o tym dobrze
idą przez zboże
wierni stróżce asfaltu
(co kilka kroków próbują się jej wyrwać,
to prawda,
wtedy jednak parów
przypomina im kierunek)

ostatni rokendrolowcy
punkci bez ideologii
i śmietnikowych hasel

żołnierze armii pozbawienia

wiejszy hipsterzy
wypachnieni
starogardzką

arystokraci sportu
poza konkurencją

formują sztafetę

grejserując miękko
wyklinają skład sędziowski

idą
dźwigając
szeleszczące kryzy
od niemycia
obrzmiące purpurą

odziani
w dzinsy
kandyzowane sałatką

po biegu
zzuwają bezwstydnie
pstrokate trzewiki

przekazują następcom
czerwoną czapkę z daszkiem
uwalaną smarem

zasiadają na ławeczce rezerwowych
komentują złe dziewczęta
i bez/względnosc świata

genderowcy ostatecznej fali,
co zdekonstruowali wszelkie własne plany

spójrz!
oni już wybrali

żadnej międzypłciowej chemii

pure
bio
off

polub to!

albo poczekaj,
(przecież)
to jeszcze nie wszystko

